TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Kard. Ryś wraca do Krakowa: co to zmienia
Dlaczego poszliśmy na „Dom dobry”
Polski nacjonalizm na fali
Co kryje Wielkie Muzeum Egipskie
Błażej Król: miłość, męskość, muzyka

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 3 – 9 grudnia 2025 nr 49 (3987)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

ŻYCIE W SPEKTRUM AUTYZMU

CHCĄ BYĆ JAK WSZYSCY. JAKĄ PŁACĄ ZA TO CENĘ
STRONY 12–16



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA



POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich

WYSTAWA STAŁA

Zobacz, usłysz, poczuj

1000 LAT HISTORII

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

polin.pl

Organizator

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

Mecenas Muzeum

ORLEN

Sponsor strategiczny Muzeum

tvn | WARNER BROS. DISCOVERY

Oficjalny przewoźnik Muzeum

LOT

Działania promocyjne wokół wystawy stałej realizowane dzięki wsparciu

KORET FOUNDATION

Wspólna instytucja kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Warszawa

Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce

KS. ADAM

Boniecki: *Witamy kardynała*

Grzegorz Ryś wraca do Krakowa. Na watykańską decyzję w tej sprawie trzeba było trochę poczekać. Dlaczego tak długo? Nie wiemy i długo jeszcze nie będziemy wiedzieli. W końcu jednak zapadła i lepiej się z tego cieszyć, niż dociekać przyczyn.

Kardynał (wyjechał z Krakowa jako biskup, nie jako kardynał) Ryś obejmuje diecezję mającą za sobą lata rządów hierarchy, który wpisał się w jej historię dość osobliwie, w inny sposób niż ostatni pasterze przed nim. I tym jednak nie chciałbym się tu zajmować. Sam Ryś pracował w tym czasie w miejscu, które – ze względu na statystyki wierzących i praktykujących – uważa się w Kościele za jedne z najtrudniejszych w Polsce. On jednak zdawał się tym nie przejmować: wystarczy przeczytać relacje z jego łódzkich aktywności. Widać w nich było plan, widać było, że chciał być dla wszystkich, ale nie zamierzał być nachalny, że otwierał różne strefy zaangażowania. Istotne dla jego strategii było to, że nie chciał proponować swoim wiernym inicjatyw oryginalnych: wszystko było zakorzenione w praktykach znanych, lecz realizowane ze świeżością, nadającą tym działaniom nową siłę. Był w tym iście młodzieńczy.

Ale trzeba koniecznie dodać jeszcze jedno: jako pasterz diecezji pisał. Kolejne książki kardynała były świadectwem jego przemyśleń. I to nic, że wiele z nich zawierało teksty kazań. Kazania są przemyślane, są nieustającym dialogiem kardynała ze światem, i to nie tylko w jego warstwie zewnętrznej. Czytając, zastanawiałem się nieraz, jakim cudem miał głowę do zagadnień dalekich – jak się może wydawać – od codziennych zmartwień biskupa. Ale może pokazywał w ten sposób, że to nie są sprawy odległe? Myślę, że biskup na czasy współczesne nie może być zwolniony od pracy intelektualnej (oczywiście, nie każdy musi pisać książki...).

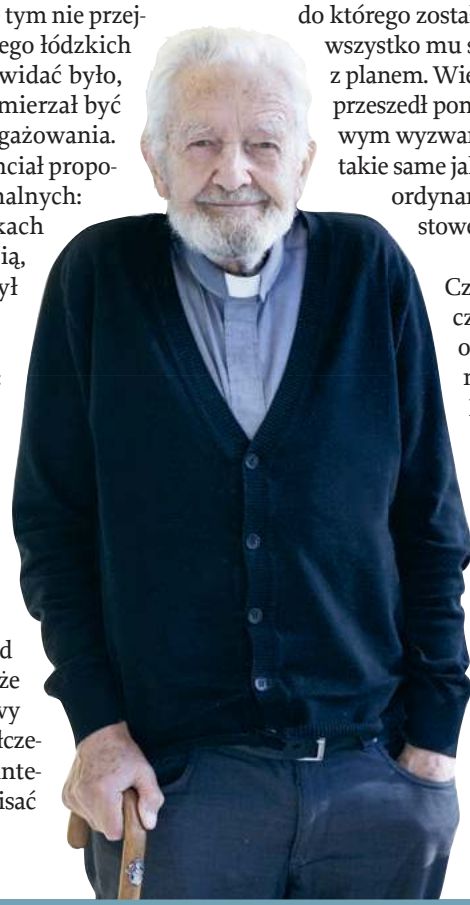

GRAŻYNA MAKARA

Nowy arcybiskup krakowski zastanie miasto zmienione. I nie chodzi o to, że inne sklepy, że nowe budynki, że nasza redakcja musiała się pożegnać z historyczną siedzibą, udzieloną „Tygodnikowi" przez kardynała Sapiehę, i przenieść za Wisłę, gdzie wynajęliśmy nowy lokal. Rzecz jest w tym, że przemiana niepostrzeżenie objęła ludzi. Są inni, niż byli wtedy, kiedy biskup Ryś udawał się do Łodzi (a z Łodzi przybywał do Krakowa nowy ordynariusz). Nie mówię, że są gorsi, niż byli, lub lepsi – są inni. Ale nowy arcybiskup krakowski też jest inny.

Kardynał Ryś... Ktoś napisał, że urząd zmienia człowieka i że jego też zmienił. Pewnie w jakimś stopniu zmienił, ale przecież to nie musiała być zmiana na gorsze. Z pewnością miejsce, do którego został posłany, nie było łatwe, z pewnością nie wszystko mu się udało, nie wszystko przebiegło zgodnie z planem. Wiele jednak wskazuje na to, że przez te próby przeszedł pomyślnie. Teraz Kraków będzie dla niego nowym wyzwaniem. Sytuacje będą nowe i bynajmniej nie takie same jak w Łodzi. Na szczęście dla Krakowa, nowy ordynariusz nie stawia na efekty ani natychmiastowe, ani błyskotliwe.

Czy dla nas w „Tygodniku" rozpoczyna się czas trudniejszy? Oczekiwania metropolity od pisma takiego, jak nasze, mogą się okazać niemożliwe do spełnienia. Nawet w czasach Karola Wojtyły spieraliśmy się z biskupem. Inna sprawa, że ewentualność sporów nas nie przeraża, a nawet cieszy; lepsza dyskusja niż lodowate milczenie.

Z radością witamy powrót do Krakowa kardynała Rysia. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

PAWEŁ MARCZEWSKI
o tym, czy przynależność do określonych klas społecznych determinuje polityczne wybory Polek i Polaków. I o tym, kogo uznajemy dziś za elity.

KATARZYNA GRONIEC
o mądrym domu, wełnianych czapkach i gorejących zimą policzkach. Opowieść o życiu, które mija w rytmie Godzinek.

BARBARA ZIEMBICKA:
Nie ośmieliłabym się namalować demona, nie z braku możliwości warsztatowych. Raczej z obawy, że nadając mu wyobrażenie, nie pozbędę się go.

Trzy kompletnie różne tematy, jeden spajający je wątek. Można go podsumować zgodnie z tytułem jednego z tekstów – „Niewidzialni” to portretowani przez **ANNĘ KORYTOWSKĄ** ludzie z ogródków działkowych, które zimą stają się dla nich ratunkiem przed bezdomnością. „Żyją bez domu, ale oficjalnie nie są bezdomni. Mają przecież prąd, a niektórzy nawet pomieszczenia ogrzewane czy węzeł sanitarny. System ich jednak nie dostrzega (...) Żyją więc w ciągłym zawieszeniu, między ulicą i altaną”.

Czego nie dostrzegamy, myśląc o – przedstawionym na naszej okładce – zjawisku autyzmu? Przecież wyznania znanych osób w spektrum drukują portale, osoby takie są też lepiej widoczne wokół nas. A jednak nie widzimy tego, co odkrywają przed nami **JĘDRZEJ GRODNIEWICZ** i **ANNA URBANEK** – ceny, jaką płacą autystycy za próby dostrojenia się do społeczeństwa. Np. tego, że aby schować „cechy kojarzone powszechnie jako autystyczne, ukrywają swoje zainteresowanie wąskimi i nierzadko dość technicznymi tematami, tracąc tym samym możliwość eksplorowania, zgłębiania i dzielenia się swoimi pasjami z innymi. Tłumiąc na co dzień mnóstwo spontanicznych reakcji, wiele osób autystycznych dochodzi do błędnej konkluzji, że są chłodne i niezdolne do odczuwania głębokich emocji”.

Kto znalazł się już w gronie 2 milionów Polaków oglądających „Dom dobry”, ten wie: równie straszna, co same sceny przemocy, jest szczelność świata, jaki zbudował wokół siebie sprawca. Bicia, upokarzania nie widzą – albo nie chcą widzieć – ludzie naokoło. W tym wydaniu nie zajmujemy się jednak już samym filmem (recenzowanym wcześniej przez Anitę Piotrowską), ale społecznym kontekstem tego zjawiska. „Nie widzimy przemocy, którą popełniliśmy lub której byliśmy świadkami, bo zagraża naszemu przekonaniu, że jesteśmy »dobrymi ludźmi«. Kiedy przemoc wychodzi na jaw, zostaje naruszone *status quo*, zakwestionowana zmowa milczenia, a wyparte uczucia wracają z dużą siłą. Trauma może trwać tam, gdzie jest milczenie” – pisze filozofka i psychoterapeutka **CVETA DIMITROVA**.



Tak, nawet szeroko już opisywane społecznie zjawiska, takie jak przemoc, bezdomność czy spektrum autyzmu, mają swoje niewidzialne gołym okiem oblicza. W „Tygodniku” mamy ambicję je przed Państwem odkrywać. ©℗

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP” piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło”.



42 Cichosza
MICHAŁ OKOŃSKI
„I kogo to obchodzi?”: ze wszystkich pytań, jakie wywołała wiadomość o zmianie na stanowisku metropolity krakowskiego, to wydaje się najciekawsze. Pozwala zobaczyć inny kraj.



64 Lubię widzieć buźki
ROZMOWA Z BŁAŻEJEM KRÓLEM, MUZYKIEM:
Działam raczej spokojnie, obserwuję i czekam na sygnały, które daje mi ciało, głowa. Daję sobie z wieloma rzeczami czas. Chcę się otwierać, ale trochę się tego cykam. Więc cykam się i otwieram.



78 Przystań przyjemności
ROZMOWA Z MAJĄ MOZGĄ-GÓRECKĄ:
Ćwiczenie uważności, uprawianie sportów czy jedzenie zostały wystawione na widok publiczny. Niewidoczność, jak bezczynność, staje się formą kontestacji.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // GRAŻYNA MAKARA // DAWID GRZELAK / MATERIAŁY PRASOWE // JAKUB SZAFRAŃSKI / KARAKTER

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Twórca na zasiłku
MONIKA OCHĘDOWSKA

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Nasze domy
CVETA DIMITROVA: *Dlaczego tyle Polek i Polaków poszło na „Dom dobry”? Może film Smarzowskiego dotyka czegoś, co wciąż niewypowiedziane?*

22 Nacjonalizm na wznoszącej fali
ROZMOWA Z PROF. PAWŁEM MACHCEWICZEM, HISTORYKIEM *o analogiach między moczaryzmem a współczesną polityczną ksenofobią*

26 Niewidzialni
ANNA KORYTOWSKA: *Ogródki działkowe: ostatnia deska ratunku przed zimą i bezdomnością*

■ ■ ŚWIAT

32 Opowieści egipskie
ROZMOWA Z JANEM NATKAŃSKIM, ARABISTĄ: *Prezydent Egiptu Abd al-Fattah as-Sisi świadomie nawiązuje do tradycji faraonów*

36 Za plecami Orbána
PIOTR OLEKSY: *W cieniu wojny i zabiegów o pokój toczy się inna gra. O Ukrainę i Mołdawię w Unii Europejskiej*

38 Lojalni przez łzy
TOMASZ OTOCKI *o Polakach mieszkających na Łotwie*

■ ■ WIARA

42 Cichosza
MICHAŁ OKOŃSKI

46 Czekanie na Szept Boga
PIOTR SIKORA: *Chrześcijańska nadzieja na spotkanie ze Słowem spełni się tylko w ciszy. Spróbuj ją w sobie znaleźć*

TEMAT TYGODNIKA

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”



12 Zamaskowani
JĘDRZEJ GRODNIEWICZ, ANNA URBANEK
W myśl paradygmatu neuroróżnorodności autyzm nie jest zaburzeniem, ale odmiennym sposobem postrzegania świata. Osoby w spektrum często chcą ukryć tę odmienność, za co płacą wysoką cenę.

14 Taka grzeczna dziewczynka

15 Neuroróżnorodność: co warto wiedzieć

■ STRONY SPECJALNE ■

30 NAGRODA BONUS 2025

62 KULTURA SIŁĄ NAPĘDOWĄ POLSKICH MIAST

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
29 OLGA DRENDA **41** ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

47 Gregorianka w smartfonie
KS. DOMINIK DUBIEL SJ: *Śpiewy gregoriańskie trafiają do serwisów streamingowych*

49 Twarzą w twarz
EDWARD AUGUSTYN *o ekumenicznym poligonie Kongresu Katoliczek i Katolików*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Najsłynniejszy lwowski batiar
STANISŁAW CALIK *o Kazimierzu Wajdzie, czyli „Szczepciu”*

■ ■ NAUKA

58 Jesteśmy gatunkiem pielgrzymów
ROZMOWA Z JUANEM LUISEM ARSUAGĄ, ANTROPOLOGIEM: *Nie mamy się czego wstydzić przed końmi czy gepardami. Nasze ciała też są doskonale zaprojektowane*

■ ■ KULTURA

64 Lubię widzieć buźki
ROZMOWA Z BŁAŻEJEM KRÓLEM, MUZYKIEM

68 Technologia i nostalgia
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Czy świat serialowy w piątym sezonie „Stranger Things” przypomina ten prawdziwy?*

70 Naród na scenie
DARIUSZ KOSIŃSKI *o pierwszej premierze Jana Klaty w Teatrze Narodowym*

73 Polecamy

74 Co nas rozgrzewa
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Shih-Ching Tsou „Left-handed girl. To była ręka... diabła!”*

75 Odwiedziny u poetki
LEKTOR *o książce Joanny Gromek-Illg „Powrót pogubionych rzeczy”*

■ ■ ZMYSŁY

78 Przystań przyjemności
ROZMOWA Z MAJĄ MOZGĄ-GÓRECKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ SPECJALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 28

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

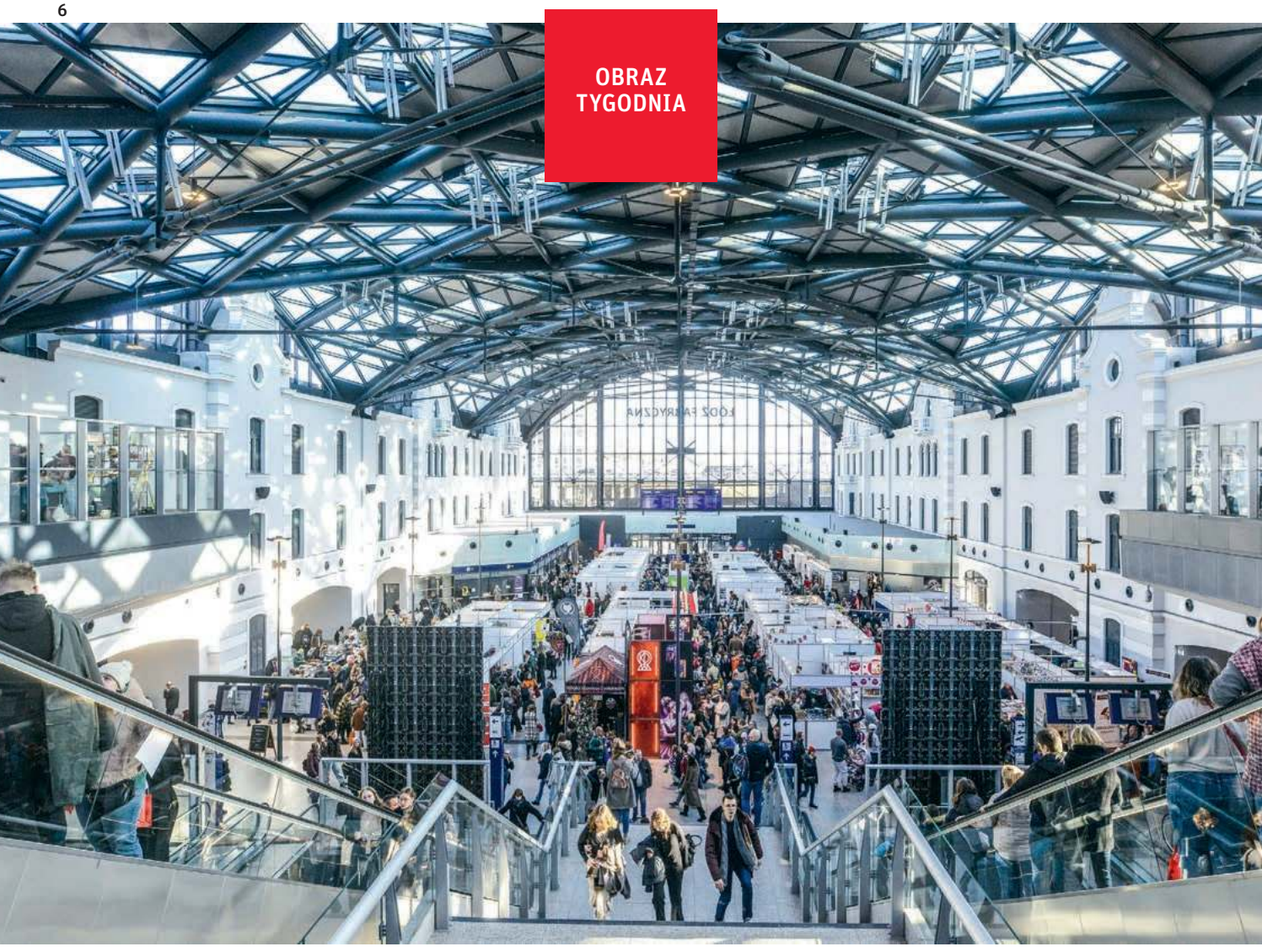

TWÓRCA NA ZASIŁKU

Już niedługo, bo od 24 grudnia, pracodawcy będą zobowiązani podawać wysokość wynagrodzenia dla danego stanowiska jeszcze przed zaproszeniem kandydata bądź kandydatki na rozmowę kwalifikacyjną. Dzięki temu łatwiej będzie ocenić, czy oferta nam odpowiada. Większość firm już dziś podaje widełki płac, toteż nietrudno sprawdzić, że zastępca kierownika dużego sklepu w Mrągowie (warmińsko-mazurskie) może liczyć na pensję 6 tys. zł brutto oraz prywatną opiekę medyczną, wyprawki szkolne i przedszkolne dla dzieci oraz paczki świąteczne. Sprzedawca w salonie optycznym w Obornikach (wielkopolskie) zarobi 7 tys. zł, a kierowca jednej z dużych firm kurierskich w województwie mazowieckim otrzyma 8,5 tys.

„Mam tak malutkie miejsce do pracy między ścianą a łóżkiem, że piszę na desce do prasowania". Ponad 90 procent osób tworzących książki zarabia mniej, niż wynosi dziś płaca minimalna.

MONIKA OCHĘDOWSKA

Łódzkie Targi Książki, 22 listopada 2025 r.

BEZ UBEZPIECZENIA | Ponieważ trudniej zweryfikować, ile zarabiają osoby tworzące kupowane przez nas książki (pisarki i pisarze, tłumaczki i tłumacze oraz ilustratorki i ilustratorzy), Instytut Książki postanowił zapytać o to ponad 600 osób, z których większość ma w swoim dorobku co najmniej 6 publikacji. Jak wynika z ogłoszonego właśnie raportu, miesięczne dochody 90 proc. twórców z tej grupy nie przekraczają minimalnego wynagrodzenia, czyli 4,6 tys. zł brutto. Nic dziwnego, że tylko 25 proc. osób publikujących, tłumaczących bądź ilustrujących kupowane przez nas książki jest w stanie utrzymać siebie i rodzinę z pracy twórczej, a pozostali łączą ją z etatem lub działalnością gospodarczą, niemającą wiele wspólnego z pracą nad publikacjami.

Co gorsza, aż 20 proc. twórców literatury nie ma dostępu do ubezpieczenia, a próby podejmowania dyskusji o zmianie tej sytuacji sprawiają, że czują się traktowani jak „domagająca się przywilejów klasa próżniacza". Obietnica prestiżu, coraz mniejszego zresztą, wciąż bywa jedynym wynagrodzeniem za pracę artysty. Jeden ze smutniejszych słupków raportu opublikowanego przez IK pokazuje, że wedle samych pisarek i pisarzy czynnikiem decydującym o pozycji w świecie literackim jest wyłącznie umiejętność budowania wizerunku w mediach społecznościowych (twierdzi tak ponad połowa badanych). Talent pojawia się w ankietach dopiero na trzecim miejscu, a oryginalność czy unikalny styl jako istotny czynnik wpływający na uznanie wskazało tylko do 12 proc. badanych.

BEZ TANTIEM | Nic dziwnego, że ponad połowa twórców i twórczyń w ciągu ostatnich dwóch lat wyzbyła się wszystkich praw do wytworów swojej pracy na czas nieokreślony, a 9 proc. w ogóle nie wie, jaką umowę podpisała z wydawcą. To oznacza, że bez względu na to, w jakim nakładzie sprzeda się książka, nad którą pracowali, nie mogą liczyć na tantiemy ani premie. Umowy, w których pojawia się jakakolwiek klauzula podejmująca temat wynagrodzenia autora czy autorki w zależności od liczby sprzedanych książek, wciąż nie są standardem – ma ją jedynie 35 proc. badanych, w tym jedynie 24 proc. osób tłumaczących i jedynie 8 proc. ilustratorek i ilustratorów (a przecież literatura przekładana z obcych języków oraz książki dla dzieci sprzedają się w sporych nakładach).

Załóżmy, że autorowi bądź autorce udaje się wynegocjować dodatkowy dochód ze sprzedaży książki, a ich tytuł okazuje się popularny. Aby jednak wypłata tantiem (w wysokości od 3 do 15 proc. od ceny książki – okładkowej bądź zbytu) była możliwa, niezbędne są dane dotyczące sprzedaży, a te z kolei nie są chętnie udostępniane wydawcom przez dystrybutorów (bywają wręcz usługą odpłatną, na którą małych wydawców nie stać). Autorka książki albo jej ilustratorka mogłyby też zarabiać dzięki wynagrodzeniom z tytułu wypożyczeń bibliotecznych, ale i te są dzisiaj symboliczne: wynoszą średnio kilkaset złotych w skali roku. Aby je urealnić, potrzebna byłaby reforma systemu komputerowego obsługującego biblioteczne zbiory – potwierdzają twórcy badania.

BEZ WSPARCIA PAŃSTWA | Raport nie pozostawia złudzeń: zawody pisarza, ilustratora i tłumacza – przez wiele dekad niepodlegające w naszym kraju jakiejkolwiek ochronie – intensywnie się pauperyzują. Twórcy alarmują, że niezbędne jest wprowadzenie ustawy regulującej rynek książki, ograniczającej oligopol dystrybutorów, hurtowników i dużych sieci sprzedaży – te prace niedawno zresztą ruszyły. Ale sama ustawa to za mało. Należy pilnie powołać krajowy fundusz na rzecz wspierania wydawnictw publikujących dobre i ważne książki, niezbędna jest większa liczba stypendiów i rezydencji dla twórców oraz standaryzacja umów wydawniczych. Należy też pomyśleć o ustawie zapewniającej zabezpieczenie socjalne osób wykonujących zawód artystyczny, która pozwoli objąć ubezpieczeniem i chronić osoby w wieku przedemerytalnym i emerytalnym, w szczególności te, które – mimo dorobku artystycznego – nie posiadają prawa do emerytury.

Nasze państwo wciąż nie dostrzega, że kultura, w tym literatura, to przestrzeń tworząca istotną i żywą wspólnotę komunikacyjną. Jeśli politycy wycofują się ze wspierania obszaru tej komunikacji, wartości, na których opierają się instytucje państwa, zaczynają być odrzucane, a ich sens podważany. W efekcie państwo, mówiąc wprost, przestaje realnie interesować własnych obywateli. Czy tego właśnie chcemy? ©℗

PIOTR KAMIONKA / REPORTER



Nasi w kosmosie

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Gdy w piątek 28 listopada amerykańska rakieta Falcon 9 dotarła na orbitę, ogłoszono sukces. „Dla [rakiety] to 500 km. Dla Polski – wielki skok w przyszłość" – stwierdził premier Donald Tusk. Powód? Falcon wyniósł na orbitę pięć polskich satelitów. To mają być nasze „oczy" w kosmosie.

Co będą tam robić? MikroSAR, dostarczony przez polsko-fińską firmę ICEYE, to pierwszy z trzech zbudowanych dla resortu obrony satelitów radarowych, które tworzą obrazy powierzchni Ziemi za pomocą mikrofal, dzięki czemu widzą przez chmury czy dym.

Z kolei trzy satelity PIAST, stworzone przez konsorcjum obejmujące m.in. Wojskową Akademię Techniczną, Creotech Instruments i Centrum Badań Kosmicznych PAN, to zaczątek zwiadowczej konstelacji budowanej na potrzeby resortu obrony. Piąty zaś satelita, PW6U polskiej firmy SatRev, zbiera dane w średniej rozdzielczości i na różnych długościach fal. Służyć ma głównie potrzebom administracji, rolnictwa czy energetyki.

W praktyce wszystkie satelity to technologia dual-use, podwójnego zastosowania.

Znaczy to, że mogą być wykorzystane tak w celach wojskowych, jak cywilnych, np. w razie klęsk żywiołowych. Docelowo w 2027 r. polski rząd ma mieć na orbicie dwanaście satelitów.

Nie dadzą one takich zdolności, jakie dają systemy NATO czy USA, ale zmniejszają ryzyko, iż ktoś zakręci nam kurek z informacją. Że takie zagrożenie jest realne, przekonali się Ukraińcy: w marcu prywatna firma Maxar odebrała im dostęp do danych, które wcześniej od niej kupowali, tłumacząc to „prośbą" z Białego Domu.

Tymczasem dostęp do stale aktualizowanych danych satelitarnych jest, czego dowodzi wojna Putina przeciw Ukrainie, kluczowy dla prowadzenia działań wojskowych. Zresztą nie tylko wojskowych – bez satelitów nie da się skutecznie działać w obliczu klęsk żywiołowych, zarządzać rolnictwem czy monitorować krytyczną infrastrukturę. Bez oczu w kosmosie państwo jest dziś ślepe.

Nasze satelity są dowodem, że polski przemysł w kosmosie radzi sobie już znakomicie. Nieco gorzej radzi sobie państwo, które – z wyjątkiem MON – jest na bakier z wykorzystaniem technologii satelitarnych. Pomóc może stworzona niedawno Agencja Rozpoznania Geoprzestrzennego i Usług Satelitarnych (ARGUS).

Jednak same satelity nie wygrywają wojen i nie zapobiegają kryzysom. Trzeba je wpiąć w systemy dowodzenia i zarządzania, szkolić analityków, budować krajowe oprogramowanie, dbać o cyberbezpieczeństwo. Bez tego kosmiczny program będzie drogim symbolem, a nie realnym narzędziem. ©



Potyczka o handel

MAREK RABIJ

Ministerstwo rolnictwa rekomenduje Polskiej Grupie Spożywczej przejęcie ok. 800 sklepów francuskiej sieci Carrefour – ta wiadomość zelektryzowała w ub. tygodniu media. Informacja okazała się prawdziwa, ale z jej autentyczności niewiele wynika.

Zacznijmy od tego, że resort rolnictwa nie ma żadnego wpływu na decyzje zarządu PGS. Grupę kontroluje Ministerstwo Aktywów Państwowych. Oba resorty na co dzień pozostają w sferze politycznego przyciągania dwóch ugrupowań partyjnych, które łączy jedynie umowa koalicyjna. Aktywów państwowych pilnuje Wojciech Balczun, zaufany człowiek Donalda Tuska. Rolnictwo pozostaje z kolei domeną PSL-u, które walczy obecnie o przetrwanie w polityce, a tak się składa, że strategicznym priorytetem Koalicji Obywatelskiej, następczyni Platformy, nie jest dziś wzmacnianie drobnych koalicjantów. Przeciwnie, Tusk gra na siebie kosztem – jak mawiają Anglosasi – junior partnerów. W tej sytuacji trudno oczekiwać, by resort aktywów państwowych przychylił się do pomysłów kolegów od rolnictwa. Polska Grupa Spożywcza, po serii nietrafionych w czasie decyzji, ma ponad 600 mln zł straty. Zakup sklepów Carrefoura to tymczasem wydatek rzędu co najmniej miliarda złotych, które trzeba by grupie przelać z budżetu. A ten trzeszczy w szwach.

Opowieści o rządowej interwencji w handel detaliczny mają już w Polsce długą brodę. I wspólny mianownik – kończą się na słowach.

W 2022 r. Jarosław Kaczyński zapowiadał przejęcie sklepów Żabka. Rok wcześniej Skarb Państwa miał też rzekomo odkupić sieć marketów od brytyjskiego Tesco, które również zwijało z Polski manatki. W 2017 r. państwo miało zainwestować w około 200 sklepów należących do sieci Mila. Żaden z tych scenariuszy oczywiście się nie ziścił, ale opowieści o tym przyniosły doraźny polityczny efekt: na krótko dały wrażenie, że bitwa o polski handel detaliczny, który bez walki państwo polskie oddało kapitałowi zagranicznemu, jest jeszcze do wygrania.

Zakup blisko 800 sklepów Carrefoura przez podmiot zależny od Skarbu Państwa mógłby być zaledwie pierwszym kroczkiem na tej wyboistej drodze. W Polsce mamy dziś około 10 tys. dużych sklepów spożywczych, z których już ponad 40 proc. należy do podmiotów zagranicznych. To one dyktują ceny skupu rolnikom oraz marże klientom. ©℗



Modlitwy nie odmawiam

EDWARD AUGUSTYN

Pierwsza zagraniczna podróż Leona XIV do Turcji i Libanu budziła zainteresowanie głównie dlatego, że była pierwsza. Dziennikarze starali się mówić i pisać z pasją o rocznicy Soboru Nicejskiego, choć wiadomo, że ekumenizm – zwłaszcza sprowadzony do oficjalnych spotkań i uprzejmych przemówień – nie ma co liczyć na „zasięgi". Podobnie jak apele o wspólne Credo czy jedną datę Wielkanocy. A nawet wyrazy wsparcia Ukrainy i troski o klimat – tematy bliskie patriarsze Bartłomiejowi.

Emocje wzbudziła dopiero wiadomość, że Leon XIV odmówił modlitwy w Błękitnym Meczecie. Rzeczywiście: podczas wizyty muezin, który pełnił rolę przewodnika po świątyni, zasugerował papieżowi, że może pomodlić się przed mihrabem (niszą skierowaną na wschód). Ten jednak odparł, że woli skupić się na słuchaniu.

W mediach związanych z tradycyjnym katolicyzmem gest Leona urósł niemal do rangi odsieczy wiedeńskiej. Zwłaszcza że trzej jego poprzednicy ulegli „niezdrowej modzie zacierania różnic pomiędzy chrześcijanami i innowiercami". Jan Paweł II modlił się w 2001 r. w Wielkim Meczecie Umajjadów w Damaszku (przy umiejscawianym tam grobie Jana Chrzciciela). Benedykt XVI sam zaproponował imamowi Błękitnego Meczetu modlitwę przed mihrabem (2006 r.). No i Franciszek, który modlitwy nikomu nie odmawiał, a w listopadzie 2014 r. modlił się w tym samym miejscu, w którym teraz Leon XIV dał odpór „islamskiej nawałnicy". Pojawiły się więc głosy o schładzaniu relacji z islamem, tak bliskim sercu argentyńskiego papieża.

To jednak wnioski zbyt dalekie. W drodze z Istambułu do Bejrutu Leon XIV mówił, że głównym celem pierwszego etapu jego podróży była rocznica soboru i wspólna modlitwa z chrześcijanami Kościołów prawosławnych (jak również rozmowy z prezydentem Erdoğanem o sytuacji na Bliskim Wschodzie i w Ukrainie). Spotkanie z przedstawicielami islamu – wraz z odśpiewaniem fragmentów Koranu – zaplanowano na drugą, libańską część pielgrzymki.

Wszystko wskazuje, że przyczyną odmowy modlitwy był – po prostu – charakter papieża. Leon XIV jest bardziej ostrożny od swego poprzednika i o wiele mniej spontaniczny. Nie lubi też zmian w programie, przygotowanym i przemyślanym w każdym szczególe. Zwłaszcza gdy dotyczy tak delikatnych kwestii jak ekumenizm i dialog międzyreligijny. ©℗

Tekst oddano do druku w południe, 1 grudnia 2025 r., przed zakończeniem papieskiej podróży.



ERCIN ERTURK / ANADOLU / GETTY IMAGES

Papież Leon XIV zwiedza Błękitny Meczet w Stambule, 29 listopada 2025 r.

NA PUNKTY

EMERYT
Andrzej Duda pochwalił się w mediach społecznościowych pierwszą wypłatą emerytury z Kancelarii Prezydenta: wyniosła 9349 zł. Kilka miesięcy wcześniej były prezydent mówił, że spodziewa się ok. 11-12 tys. zł. Dawna głowa państwa dorabia sobie obecnie prowadzeniem autorskiego programu w Kanale Zero.

PRACOWNIK
„Dla wielu ludzi, którzy mają odpowiedni status majątkowy i zawodowy, wejście do Sejmu to finansowa degradacja siebie i rodziny" – wyznał na antenie Radia Plus niezrzeszony poseł Tomasz Rzymkowski, z wykształcenia prawnik. Na jego ostatnim „pasku" z wypłatą widniała kwota 7,3 tys. zł, do czego dochodzą diety.

SONDAŻ
Z badania agencji SW Research zleconego przez Onet wynika, że 32,1 proc. Polaków liczy „na pojawienie się nowej partii, która zmieni układ sił na scenie politycznej przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r."; 42 proc. ankietowanych wydaje się zadowolona z obecnego stanu rzeczy. ©℗



Dokument o znaczeniu seksualności

ARTUR SPORNIAK

Dykasteria Nauki Wiary wydała obszerną notę doktrynalną zatytułowaną „Una caro" („Jedno ciało"), będącą pochwałą monogamii. Spodziewano się dokumentu, który rozstrzygałby niektóre trudne problemy związane z poligamią – oczekiwali tego zwłaszcza biskupi krajów afrykańskich. Czekano np. na zmianę prawa kanonicznego, które obecnie pozwala mężczyźnie żyjącemu w związku poligamicznym przy przyjmowaniu chrztu podjąć decyzję, z którą żoną zostanie, co w praktyce kończy się wyborem młodszej. Tymczasem w wielu tradycjach afrykańskich małżeństwo z pierwszą żoną ma wyjątkowy, wręcz sakralnych charakter. Te tradycje – bliskie myśleniu monogamicznemu – są zatem deptane.



Kard. Victor Manuel Fernández (na zdjęciu), prefekt dykasterii, pytany, dlaczego ten problem został w dokumencie zepchnięty do przypisu, przyznał, że zależało mu na ukazaniu bogactwa monogamii, która sama w sobie ma wielką wartość. Choć przypadki, nawet drastyczne, gdy kobiety porzucane przez przyjmujących chrzest mężów w biednych krajach subsaharyjskich umierały z pragnienia czy udaru słonecznego, są mu znane.

Zarzut teoretyzowania zamiast zajmowania się realnymi problemami jest zatem uzasadniony. Czy z tego „teoretyzowania" przynajmniej coś ciekawego wynikło?

„Una caro" jest pierwszym dokumentem Magisterium Kościoła, który główną uwagę kieruje na jednoczący aspekt seksualności – pozostałe ważne cele: prokreacyjny i utrzymujący nierozerwalność małżeństwa, jak zauważa nota, mają już bogatą literaturę doktrynalną. W dokumencie znajdziemy więc passusy o znaczeniu przyjemności i rozkoszy seksualnej dla jedności małżeńskiej. Trudno będzie teraz oskarżać Kościół o purytanizm w tej tematyce.

Najciekawsze jest to, że wskazanie samoistnej wartości jednoczącego aspektu seksualności dla budowania miłosnej relacji otwiera przestrzeń dla ewentualnej przyszłej teologii związków homoseksualnych. Choć zapewne nie było to świadomym zamiarem autorów dokumentu. ©℗

RICCARDO DE LUCA / AP PHOTO / EAST NEWS



Pod podwójną presją

WOJCIECH PIĘCIAK

To najważniejsze dni dla Ukrainy – ocenił Wołodymyr Zełenski i mógł mieć rację. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Tygodnika", wysłannicy Donalda Trumpa – Steve Witkoff (niezatapialny, mimo ujawnienia kompromitujących rozmów telefonicznych, w których podpowiadał Rosjanom, jak zyskać przychylność Trumpa) i Jared Kushner (zięć prezydenta, pojawiający się tam, gdzie jest perspektywa na duży biznes) – byli w drodze do Moskwy.

Mieli przedstawić Putinowi finalną wersję „planu pokojowego". Nie ujawniono publicznie, jak ona wygląda, tj. jaki kształt przybrał tamten nieszczęsny projekt, ujawniony 20 listopada i składający się z 28 punktów, najpewniej podyktowanych Witkoffowi i Kushnerowi przez Rosjan, i autoryzowany przez Trumpa. W trakcie nerwowego maratonu, który nastąpił podczas kolejnych kilkunastu dni, odbyło się wiele negocjacji w różnych „formatach". Najważniejsze były te amerykańsko-ukraińskie: najpierw w Genewie, a potem na Florydzie.

Tych drugich nie prowadził już Andrij Jermak. Najbliższy człowiek Wołodymyra Zełenskiego – organizator i zwornik jego systemu władzy, „rozprowadzający" i „piorunochron" – podał się do dymisji po tym, jak służby antykorupcyjne dokonały u niego rewizji. Jermak występuje w nagraniach „Mindiczgate", afery korupcyjnej w energetyce atomowej (nazwanej tak ze względu na Timura Mindicza, kolegę Zełenskiego i głównego podejrzanego). Podobno na nagraniach Jermak rozważał, jak zatrzymać służby rozpracowujące tę aferę.

„Mindiczgate", upadek Jermaka i wściekłość na prezydenta wśród Ukraińców (podobno według wewnętrznych sondaży zaufanie do niego spadło do 20 proc., gdy w maju 2022 r. ufało mu 90 proc.): wszystko to sprawia, że Zełenski jest pod coraz większą presją, podwójną – wewnętrzną i zewnętrzną. Trump wycofał się wprawdzie z ultimatum, które postawił mu po publikacji „28 punktów", grożąc wstrzymaniem pomocy w razie odrzucenia „planu". Jednak gdy idzie o nastawienie prezydenta USA, lepiej pozbyć się złudzeń.

To rzeczywiście mogą być najważniejsze dni dla Ukrainy – i wszystko jest możliwe. ©℗

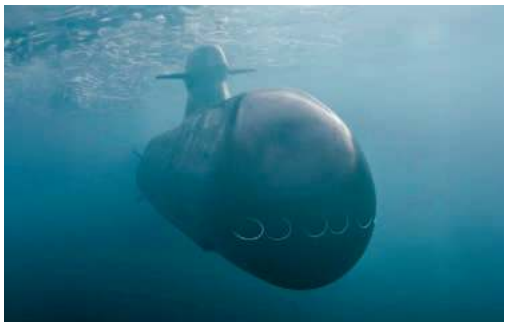

WWW.SAAB.COM

Uwolniliśmy „Orkę”

OBRONNOŚĆ ▪ Polska marynarka wojenna dostanie nowoczesne okręty podwodne. Rząd zakończył trwający od kilkunastu lat kontredans zapowiedzi decyzji w tej sprawie i odwoływania poprzednich obietnic. Trzy nowe okręty A26 Blekinge (na zdjęciu) , zamówione w ramach projektu „Orka”, przypłyną ze Szwecji. Pierwszy powinien trafić do polskich marynarzy w 2030 r., ale już w 2027 r. nasza marynarka ma mieć do dyspozycji jednostkę „pomostową”, dość wiekową, lecz po kapitalnym remoncie i wyposażoną w stosunkowo nowoczesne urządzenia do nawigacji, śledzenia oraz prowadzenia walki. Polscy żołnierze zaczną się szkolić z jej obsługi już w przyszłym roku.

W sytuacji, w której znajduje się marynarka wojenna, szybkie oddanie jej do dyspozycji okrętu zastępczego może się okazać nawet ważniejsze od wejścia do służby trzech nowoczesnych A26. Nasi podwodniacy mieli do tej pory do dyspozycji tylko jedną, poradziecką jednostkę. Zwodowany w 1984 r. ORP „Orzeł” był jednym z najstarszych na świecie okrętów podwodnych pozostających w służbie. Był – bo właśnie uległ poważnej awarii, która zapewne wykluczy go z dalszej eksploatacji i nasi marynarze stracą ostatnią jednostkę, na której mogliby się szkolić na morzu. Eksploatacja wiekowego „Orła” od dawna wiązała się zresztą z dużym ryzykiem i tylko skrajnej determinacji marynarzy Wojsko Polskie zawdzięczać będzie to, że nie utraci zdolności do podwodnych operacji na Bałtyku.

A26 Blekinge to zaprojektowane dla szwedzkiej marynarki wojennej jednostki, stworzone z myślą o operowaniu na płytkim, a więc i trudnym dla podwodniaków Bałtyku. Okręty będą wyposażone w bardzo nowoczesne systemy walki i rozpoznania. Ich słabszą stroną jest natomiast układ napędowy, oparty na silniku spalinowym, który służy do ładowania baterii elektrycznych. Trzy A26 Blekinge, które wejdą do służby w Polsce, miały pierwotnie trafić w ręce szwedzkich marynarzy, ale Szwedzi sprzedadzą je nam wraz z szerokim pakietem serwisowym. Powód? Ich marynarka wojenna skorzysta z tej okazji i całkowicie zrezygnuje z okrętów A26 na rzecz jednostek jeszcze nowocześniejszych. Sztokholm, w odróżnieniu od Warszawy, może na nie poczekać. Polska marynarka wojenna stosunkowo szybko zyska za to wciąż nowoczesne i bardzo jej potrzebne uzbrojenie.

©℗ MAREK RABIJ

Ukraińcy w Polsce: fakty i liczby

SPOŁECZEŃSTWO ▪ Jak skutecznie obalać narracje o tym, że Ukraińcy w Polsce są obciążeniem dla naszej gospodarki, swój byt opierają na świadczeniach socjalnych, a integracja społeczna jest dla nich kompletnie nieistotna? Najlepsze do tego są dane, liczby i fakty: jak te, które podaje Narodowy Bank Polski w nowym raporcie „Sytuacja życiowa i ekonomiczna imigrantów z Ukrainy w Polsce w 2025 r. Raport z badania ankietowego”. Informacje w nim zawarte zebrano podczas badań przeprowadzonych wiosną wśród Ukraińców mieszkających w Polsce (próba ok. 4 tys. respondentów ze wszystkich województw). NBP publikuje tego typu raport co roku (są również analogiczne badania dotyczące Białorusinów), co pozwala wyciągać wiarygodne wnioski. Skupmy się na kilku danych.

Dla 78 PROC. uchodźców z Ukrainy dochody z pracy są podstawowym źródłem utrzymania.

W strukturze dochodu imigrantów przedwojennych (tak w raporcie klasyfikowani są ci, którzy do Polski przyjechali przed lutym 2022 r.) dochody z pracy zarobkowej stanowią 92 proc., a w przypadku uchodźców (czyli tych, którzy przyjechali po lutym 2022 r.) to 78 procent.

W porównaniu z sytuacją sprzed roku większa grupa ma stabilne zatrudnienie, a bezrobocie jest niższe. Około 36 proc. uchodźców i 25 proc. imigrantów przedwojennych oceniało jednak, że pracują w Polsce poniżej swoich kwalifikacji. Zmienia się też to, że Ukraińcy coraz rzadziej pracują w zawodach niewymagających żadnych kwalifikacji. Raport NBP podaje również, że przeciętne wynagrodzenie Ukraińców rosło z podobną dynamiką jak w całej gospodarce. Luka pomiędzy przeciętnymi zarobkami mężczyzn i kobiet była tu jednak znacznie wyższa niż w reszcie naszej gospodarki.

81 PROC. Ukraińców w Polsce samodzielnie zaspokaja potrzeby mieszkaniowe.

Znaczna większość wynajmuje mieszkania (72 proc.), a tych, którzy kupują własne, było 9 proc. NBP podaje, że zanotowano spadek liczby osób, które mieszkają w miejscach zbiorowego zakwaterowania uchodźców; 60 proc. tam przebywających ma ponad 45 lat.

63 PROC. Ukraińców w Polsce deklaruje dobrą lub biegłą znajomość języka polskiego.

W aspektach integracyjnych język jest kluczowy. NBP wskazuje, że znajomość języka polskiego wśród Ukraińców znacznie się poprawia. Dziś tylko 4 proc. deklaruje brak takiej umiejętności. O integracji świadczą też relacje międzyludzkie: 73 proc. z badanych deklaruje, że ma przynajmniej jedną osobę wśród Polaków, do której może zwrócić się o poradę w trudnych sprawach. W przypadku imigrantów przedwojennych odsetek ten wynosi 81 proc.

Czy Ukraińcy chcą zostać w Polsce na stałe? Deklaracje te nie zmieniły się w ciągu ostatnich dwóch lat. Na dziś 51 proc. imigrantów przedwojennych i 24 proc. uchodźców chciałoby zostać w naszym kraju na stałe. Ale znaczna jest grupa, na której decyzje wiele jeszcze może wpłynąć: 37 proc. imigrantów przedwojennych i 56 proc. uchodźców nie ma jeszcze sprecyzowanych planów.

©℗ EWELINA BURDA

Lek na otyłość i natrętne myśli o jedzeniu



PIETUKHOVA / SHUTTERSTOCK

MEDYCYNA ▪ To jedno z tych odkryć, w których równie interesująca jest sama treść, jak i droga, która do niego doprowadziła.

Jak opisuje w „Nature" Mariana Lenharo, Casey Halpern z Uniwersytetu Pensylwanii i współpracownicy wcale nie planowali badać wpływu stosowanego w leczeniu otyłości tirzepatydu (nazwa handlowa: Mounjaro) na funkcjonowanie mózgu. Ich pierwotnym celem było sprawdzenie, czy głęboka stymulacja mózgu w obszarze należącym do tzw. układu nagrody pomoże osobom z otyłością i natrętnymi myślami o jedzeniu w lepszej regulacji zachowań żywieniowych.

Wcześniej ten sam zespół wykazał, że u osób zmagających się z napadowym objadaniem się dochodzi do rozregulowania aktywności obwodu neuronów obejmującego jądro półleżące – jedno z kluczowych centrów kontroli impulsów i motywacji. To właśnie ten obszar mózgu chcieli „wyciszyć" badacze, wszczepiając kilkorgu pacjentom cienkie elektrody. Wszyscy uczestnicy badania przeszli wcześniej operację zmniejszającą żołądek, ale mimo tego doświadczali epizodów niekontrolowanego jedzenia.

Tak się jednak złożyło, że jedna z pacjentek (Pacjentka 3) na początku eksperymentu zaczęła terapię cukrzycy, na którą przepisano jej tirzepatyd. Dało to badaczom możliwość zarejestrowania – jak sami piszą – pierwszy raz u człowieka, w jaki sposób lek ten wywołuje zmiany w kluczowym dla odczuwania przyjemności i motywacji ośrodku mózgu.

W ciągu pierwszych pięciu miesięcy terapii Pacjentka 3 przestała doświadczać uporczywych myśli o jedzeniu, skończyły się u niej także napady objadania się. Korelowało to z wyciszeniem aktywności jądra półleżącego. U pozostałych uczestników, którzy nie przyjmowali leku, utrzymywały się obsesyjne myśli o jedzeniu, a ich jądro półleżące wykazywało nasilone pobudzenie. Jednak w kolejnych miesiącach u Pacjentki 3 wróciły niepokojące myśli, co znajdowały także odbicie we wzroście aktywności jądra półleżącego. Wygląda więc na to, że przynajmniej u tej pacjentki wywołane terapią zmiany funkcjonowania mózgu nie były trwałe. By ustalić, czy da się te efekty przedłużyć i czy mogłyby przynieść korzyści szerszej grupie osób, potrzebne będą kolejne badania.

Nowoczesne leki na otyłość, takie jak tirzepatyd czy semaglutyd (Ozempic), opracowano pierwotnie do leczenia cukrzycy. Działaniem przypominają hormony regulujące poziom insuliny we krwi i wysyłające naturalny sygnał sytości. Ich wpływ na organizm – w tym mózg – jest złożony, ale coraz wyraźniej pokazuje, że otyłość nie jest wynikiem zaniedbania czy słabej woli, ale zaburzeniem lub chorobą, którą można leczyć. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

ZAMASKOWANI

W myśl paradygmatu neuroróżnorodności autyzm nie jest zaburzeniem, ale odmiennym sposobem doświadczania świata. Osoby w spektrum często próbują ukryć tę odmienność, za co płacą wysoką cenę.

JĘDRZEJ GRODNIEWICZ, ANNA URBANEK



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Wyobraź sobie, że dostajesz zaproszenie na ekskluzywne przyjęcie zorganizowane przez nieco ekscentryczne towarzystwo. Rzadko bywasz na takich wydarzeniach i nie do końca wiesz, jak się zachowywać. Czytasz trochę na temat panującej tam etykiety, ale podręcznik jest obszerny i zagmatwany. Ogarnia cię stres. Wiele zależy od ludzi, których tu spotkasz; są wśród nich twoi nauczyciele, lekarze, przyszli pracodawcy. Robisz wszystko, żeby się przesadnie nie wyróżniać.

Sprawy zaczynają się komplikować, gdy okazuje się, że na przyjęciu panuje dziwny zwyczaj. Kiedy jedna osoba mówi, młodsi od niej słuchają jej, stojąc na jednej nodze. Większość gości wydaje się tym faktem nieporuszona. Albo mają naturalnie silne nogi, albo po prostu ćwiczyli je w podobnych sytuacjach od wielu lat. Ty natychmiast czujesz dyskomfort, a noga, na której stoisz, szybko zaczyna boleć. Masz ochotę choć na moment postawić drugą stopę na ziemi, ale spotyka się to z sykiem niezadowolenia. Zmęczenie staje się nie do zniesienia i myślisz tylko o tym, żeby jak najszybciej wyjść.

Jeśli jesteś osobą neurotypową, doceniamy twoją wyobraźnię. Jeśli jesteś osobą neuroatypową, w szczególności autystyczną, ten scenariusz może nie wydawać się zupełnie abstrakcyjny. Możliwe, że na co dzień czujesz się i radzisz sobie podobnie, próbując odnaleźć się w sytuacjach, które wydają ci się nienaturalne. Maskujesz się, by poradzić sobie, odnieść sukces, a czasem po prostu przetrwać w świecie, w którym za „normalne" uważane jest tylko to, co neurotypowe.

Nie wyglądasz autystycznie

Kiedy osoba autystyczna dzieli się swoim doświadczeniem, a jednocześnie nie pasuje do stereotypowego obrazu autyzmu, słyszy często: „nie wyglądasz autystycznie". Takie zdziwienie wynika nie tylko z niewystarczającej wiedzy na temat spektrum i jego ogromnej różnorodności. Wiele autystycznych osób „nie wygląda autystycznie", ponieważ wkłada ogromny wysiłek w utrzymanie fasady neurotypowości. Innymi słowy, maskuje się.

Maskowanie autystyczne to świadomy lub nieświadomy proces ukrywania lub tłumienia autystycznych cech i zachowań, aby lepiej dostosować się do oczekiwań i norm społecznych. Może przybierać formę zmuszania się do kontaktu wzrokowego z rozmówcą, do noszenia niekomfortowego ubioru, by nie wyróżniać się z tłumu, czy powstrzymywania się od samoregulujących ruchów, np. kręcenia się, machania rękami czy stukania palcami. Maskowanie może obejmować ograniczanie lub modyfikację ekspresji emocjonalnej, aby nie została odebrana jako nadmierna, niewystarczająca lub niestosowna, a nawet udawanie osoby towarzyskiej i ekstrawertycznej.

Choć termin „maskowanie" jest najczęściej używany w kontekście osób neuroatypowych, w szczególności osób autystycznych, zachowania mające na celu dostosowanie się do oczekiwań społecznych nie są obce również osobom neurotypowym. Możemy myśleć o tym jako o odgrywaniu roli – ukrywaniu tego, co w danej chwili wydawałoby nam się najbardziej naturalne, na rzecz zachowań, które uważamy za społecznie oczekiwane. Pomyślmy o sztucznej życzliwości i wymuszonych uśmiechach w miejscu pracy albo o emocjonalnej powściągliwości w sytuacjach, w których naturalnie czulibyśmy i wyrażali silne emocje.

Wypaleni

Maskujemy tym więcej, im większa jest rozbieżność między naszymi naturalnymi reakcjami a normami społecznymi, a także im bardziej środowisko wymaga ścisłego przestrzegania tych norm. Osoby autystyczne zwykle maskują znacznie więcej i intensywniej niż osoby neurotypowe, ponieważ ich naturalne sposoby komunikacji i reagowania bardziej odbiegają od powszechnie narzuconych norm społecznych. Dla nich maskowanie nie jest sporadycznie stosowanym narzędziem, jak pojedynczy, wymuszony uśmiech, lecz ciągłym wysiłkiem mającym na celu przetrwanie w świecie kreowanym przez i dla neurotypowej większości.

Warto pamiętać, że spektrum autyzmu obejmuje zarówno osoby niewerbalne i potrzebujące intensywnego wsparcia w codziennym życiu, jak i osoby niezdiagnozowane do wieku dorosłego. Część z nich pozornie doskonale radzi sobie w życiu osobistym i pracy, ale płaci za to zdrowiem psychicznym.

Konsekwencje długotrwałego i intensywnego maskowania są poważne. Wyczerpanie zasobów psychicznych spowodowane nieustannym udawaniem może skutkować chronicznym zmęczeniem, znacznym natężeniem lęków, depresją, a w skrajnych przypadkach prowadzić do myśli samobójczych. Co więcej, zintensyfikowane, długotrwałe maskowanie jest uznawane za jedną z głównych przyczyn autystycznego wypalenia – stanu, który ze względu na podobieństwo symptomów bywa często błędnie diagnozowany jako depresja. Autystyczne wypalenie to głęboki kryzys, który może skutkować przejściową utratą wcześniej nabytych umiejętności lub chwilowym stanem niewerbalności. Ponadto, maskowanie może prowadzić do kryzysów tożsamości oraz braku zrozumienia siebie, swoich potrzeb i ograniczeń.

Eksperci z psychologii

Żeby zrozumieć źródła autystycznego maskowania, warto spojrzeć szerzej na mechanizmy rządzące interakcjami międzyludzkimi. Zasługę za to, że jesteśmy w stanie tak skutecznie komunikować się, budować relacje i współpracować z innymi ludźmi, powszechnie przypisuje się naszej kompetencji w zakresie tzw. psychologii potocznej, czyli praktyce przypisywania sobie wzajemnie stanów mentalnych i używania ich do interpretacji zachowań.

Kiedy widzimy, że kolega siedzący przy biurku obok zaczyna ziewać i kręcić się na krześle, możemy założyć, że najpewniej jest znudzony lub zmęczony. Możemy też podejrzewać, że zaraz wstanie. Jeśli zaproponujemy wspólne wyjście na przerwę, wdzięczność i poczucie bycia zrozumianym, które zobaczymy w jego oczach, będą zasługą właśnie naszej biegłości w psychologii potocznej.

Przyjmuje się, że psychologia potoczna składa się z dwóch komponentów. Pierwszy to tzw. zdolność czytania umysłów. Jest to umiejętność stawiania hipotez dotyczących tego, co ktoś myśli, czuje czy zamierza, na podstawie obserwacji tej osoby. Choć zwykle nie zwracamy na to uwagi, nasza skuteczność w zakresie wzajemnego czytania umysłów jest wręcz spektakularna, a przy tym przychodzi nam bez większego wysiłku.

Bez słowa robimy przejście siedzącej obok nas osobie, gdy ta zaczyna wstawać, widząc, że autobus zbliża się do przystanku. Nie jesteśmy też zaskoczeni, słysząc głos ekspedienta spieszącego nam na ratunek, po tym jak z pustym ↦

spojrzeniem zamarliśmy przed ogromnym regałem z winami z każdego zakątka świata. Nasza codzienność składa się z tak wielu podobnych sukcesów, że zwykle dostrzegamy i zapamiętujemy nie je, lecz zdarzające się okazjonalnie nieporozumienia.

Nie bylibyśmy jednak tak skuteczni w czytaniu wzajemnie swoich umysłów, gdybyśmy równocześnie swoich umysłów wzajemnie nie kształtowali. To właśnie wzajemne kształtowanie swoich umysłów jest drugim kluczowym komponentem psychologii potocznej. Każdy członek społeczeństwa od dziecka poddawany jest tego rodzaju procesowi umysłowej obróbki.

Kiedy rodzic, widząc swoje dziecko przepychające się w kolejce do zjeżdżalni, mówi: „rozumiem, że się niecierpliwisz, ale musisz poczekać, aż zjadą dzieci, które były w kolejce pierwsze", nie tylko uczy je rozpoznawać zniecierpliwienie jako doświadczenie naturalne w podobnych sytuacjach, ale też przypomina o istnieniu mniej lub bardziej formalnych zasad dotyczących korzystania ze wspólnej własności. Niedostosowanie do nich może grozić konsekwencjami, z których być może najpoważniejszą jest odstawanie od społecznych norm tak bardzo, że aż stajemy się dla innych niezrozumiali.

Umysły są różne

W uczeniu się na zjeżdżalni norm kolejkowej etykiety nie ma nic zdrożnego. Jak wspomnieliśmy, praktykom związanym z wzajemnym kształtowaniem naszego sposobu bycia zawdzięczamy łatwość, z jaką na co dzień udaje nam się porozumiewać i współpracować. Co jednak dzieje się, kiedy dominujących w społeczeństwie wzorców zachowań i nieformalnych zasad używa się do kształtowania umysłów, które doświadczają świata nieco inaczej niż większość z nas?

W myśl paradygmatu neuroróżnorodności, który był początkowo rozwijany kolektywnie przez społeczność autystyczną, a następnie m.in. przez badaczy takich jak Nick Walker i Steven K. Kapp, uznajemy, że pomiędzy sposobami, na jakie ludzie doświadczają otaczającą nas rzeczywistość, istnieje duże zróżnicowanie. Nie znaczy to, że jakiekolwiek odstępstwo od statystycznej normy powinno być interpretowane jako deficyt czy zaburzenie.

Tak jak bioróżnorodność ma pozytywny wpływ na środowisko naturalne, stabilizując rozwój ekosystemów i przynosząc korzyści wszystkim występującym w nim organizmom, tak neuroróżnorodność może mieć pozytywny wpływ na nasze środowisko społeczne. Osoby neuroatypowe, do których zaliczają się osoby autystyczne, mogą swoją unikalną perspektywą wzbogacać społeczną rzeczywistość, w której żyjemy. Dlatego też w myśl paradygmatu neuroróżnorodności autyzm nie jest zaburzeniem rozwojowym (wcześniej wyłącznie tak go konceptualizowano), a raczej jednym ze sposobów (lub całym uniwersum sposobów), na jakie można doświadczać świata.

Tu napotykamy jednak na problem związany z mechanizmami psychologii potocznej, w szczególności kształtowania umysłów. Wiele osób autystycznych przejawia w swoim zachowaniu szereg idiosynkrazji czy osobliwości. Należą do nich nadwrażliwości oraz niewrażliwości sensoryczne, wolniejsze niż u wielu osób neurotypowych ukierunkowywanie uwagi, osobliwości postawy i chodu, tiki, stereotypie takie jak kołysanie się, trzepotanie rękami, kręcenie się w kółko, kręcenie kciukami czy echolalia, czyli automatyczne powtarzanie zasłyszanych słów, fraz lub dźwięków. Tego rodzaju zachowania nie

Taka grzeczna dziewczynka



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

W dzieciństwie nie zostały zauważone przez system – bo kryteria diagnostyczne bazowały na doświadczeniach chłopców. Dziś, jako dorosłe kobiety, diagnozują się w spektrum autyzmu. I znajdują ulgę.

OTO HISTORIA ANNY: – Gdy musiałam gdzieś zadzwonić, robiłam dokładne plany tych rozmów, do wizyty w nowym miejscu przygotowywałam się sprawdzając mapę, jakbym planowała napad na bank. Nie chodziłam do fryzjera, bo *small talk* jest dla mnie nie do zniesienia. Całe życie słyszałam, że taka moja uroda. Przez lata próbowano mi wmówić, że jestem po prostu introwertyczką. Ale czy można być aż taką introwertyczną, że mdleje się, gdy wokół jest hałas i migoczące światła? Problemy z przebodźcowaniem i nadmiarem emocji doprowadziły mnie do zaburzeń lękowych. W akcie desperacji chodziłam od lekarza do lekarza. Dostałam sugestię, że może powinnam spróbować zdiagnozować się pod kątem spektrum. Od rodziny dostałam wsparcie. Odebrali to tak, jakbym całe życie kichała, a ktoś wreszcie powiedział głośno, że to katar – podsumowuje Anna.

HISTORIA JUSTYNY: – Od kiedy pamiętam, miałam problem z nawiązywaniem kontaktu wzrokowego. Lata temu przeczytałam gdzieś, że osoby, które nie patrzą w oczy, postrzegane są jako te, które kłamią. Nie chciałam, by tak o mnie myślano. Na siłę patrzyłam ludziom w oczy, bardzo się przy tym męczyłam. Gdy jesteś dorosły, nie masz co liczyć na zrozumienie i wybaczenie, powinieneś się „ogarnąć" i „przestać wymyślać". Od lat pracuję w finansach, teraz kończę studiować psychologię. Ludzie dziwią się, że skoro radzę sobie w pracy z trudnymi zadaniami, to jaki ja mogę mieć problem, żeby zadzwonić i umówić się do dentysty? A to czynność, która mnie fizycznie przerasta. Do zdiagnozowania namówiła mnie koleżanka. Miałam bardzo stereotypowe postrzeganie osób w spektrum autyzmu, na pewno nie myślałam, że ja też mogę się do nich zaliczać. Diagnoza dała mi spokój. Sytuacje, które były dla mnie trudne, nie ustąpiły magicznie, ale wiem, co się ze mną dzieje. ©℗ EB

Historie Anny i Justyny pochodzą z reportażu „Taka grzeczna dziewczynka" („TP" 20/2022), który dostępny jest w naszym serwisie: **powszech.net/spektrum**.

pasują do przyjętych norm i spotykają się z niezrozumieniem i odrzuceniem.

Dziwne? Co z tego!

Tak jak nie należy przepychać się w kolejce do zjeżdżalni, nie należy również kołysać się czy trzepotać rękami w trakcie spotkania. Na rozmowie o pracę stosowne jest natomiast, aby mieć na sobie dobrze dopasowany garnitur i utrzymywać kontakt wzrokowy z rozmówcą. A przecież osoby autystyczne mogą wykorzystywać kołysanie się lub trzepotanie rękami do regulowania swoich emocji, dzięki czemu będą w stanie znacznie lepiej skoncentrować się na spotkaniu, a noszenie ściśle przylegających do ciała ubrań lub utrzymywanie kontaktu wzrokowego bywa źródłem dyskomfortu graniczącego z bólem.

Stajemy zatem przed trudnym pytaniem: w jakim stopniu powinniśmy dążyć do unifikacji naszych społecznych zachowań i sposobów doświadczania rzeczywistości? Jak sugerują filozof Leon De Bruin i psychiatra Derek Strijbos, przesadne kształtowanie neuroatypowych umysłów na neurotypową miarę może zaowocować doświadczanymi przez osoby neuroatypowe depresją, autystycznym wypaleniem czy nawet myślami samobójczymi.

A istnieje jeszcze jedna konsekwencja przesadnego kształtowania wszystkich umysłów na neurotypową miarę, o której De Bruin i Strijbos nie mówią. W przypadku wielu osób proces ten prowadzi nie do kształtowania ich własnych umysłów, ale maski, za którą muszą się kryć, by uchodzić za neurotypowych.

Kim jestem

Dla wielu osób autystycznych maskowanie stanowi formę wchodzenia w rolę. Jednak porównanie z Robertem de Niro, który przygotowując się do swojej roli w „Taksówkarzu" Martina Scorsese, przez kilka tygodni pracował jako nowojorski taksówkarz, będzie w tym przypadku niewystarczające.

Żeby zrozumieć to doświadczenie, pomyślmy o policjantce działającej pod przykryciem w celu infiltracji groźnej grupy przestępczej. Aby jej starania były owocne, musi ona przyjąć nową tożsamość. Jej przyzwyczajenia, preferencje i sposoby reagowania na różne sytuacje muszą zostać zastąpione nowymi, spójnymi z jej przestępczym *alter ego*.

Neuroróżnorodność: co warto wiedzieć

Neuroróżnorodność to naturalna różnorodność sposobów, na jakie działają ludzkie umysły. W obrębie naszego gatunku występuje ogromne zróżnicowanie sposobów przetwarzania informacji, myślenia i odczuwania.

Osoby neurotypowe to takie, których umysły działają na sposób zgodny z tym, co przyjmujemy w naszym społeczeństwie za „standardowe" lub „normalne".

Osoby neuroatypowe to takie, których umysły działają na sposób odbiegający w jakimś aspekcie od przyjętej społecznie normy. W szczególności za neuroatypowe uznawane są osoby w spektrum autyzmu czy osoby z zespołem nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi (ADHD). Uważa się, że 10-15 proc. całej populacji to osoby neuroatypowe.

Wbrew potocznie panującej opinii, neuroatypowość nie sprowadza się do trudności funkcjonowania. Nierzadko wiąże się ona również z charakterystycznymi mocnymi stronami i zdolnościami. Wiele osób neuroatypowych wyróżnia się np. nieszablonowym sposobem myślenia, zwiększoną wrażliwością na szczegóły czy głębokim skupieniem na wybranych zainteresowaniach.

Autyzm to forma neuroatypowości, często związana z trudnościami w zakresie komunikacji społecznej oraz interakcji społecznych w wielu różnych kontekstach oraz występowaniem ograniczonych, powtarzalnych wzorców zachowania, zainteresowań lub aktywności. To zjawisko samo w sobie zróżnicowane – dlatego mówimy o spektrum autyzmu. Szacuje się, że 0,8-1,5 proc. całej populacji to osoby autystyczne, choć te dane mogą być zaniżone m.in. ze względu na fakt, że wielu autystyków, zwłaszcza dorosłych, pozostaje niezdiagnozowanych.

Większość członków społeczności autystycznej i autystycznych aktywistów – zwłaszcza wśród zwolenników paradygmatu neuroróżnorodności – woli określać się jako „osoba autystyczna" lub „autystyk", a nie „osoba z autyzmem". Stosowanie tych określeń lepiej odzwierciedla fakt, iż autyzm jest nieodłączną częścią tożsamości danej osoby, a nie „przypadłością" czy „zaburzeniem", które należy (lub da się) „wyleczyć".

© JĘDRZEJ GRODNIEWICZ

Stawka jest wysoka. Jeśli zdradzi się, np. okazując prawdziwe emocje, zostanie zdemaskowana. To może wiązać się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Po pewnym czasie nasza bohaterka może wejść w swoją rolę tak głęboko, że sama już nie będzie wiedziała, które emocje, reakcje i zachowania należą do niej samej, a które są częścią przyjętej przez nią roli. Nie inaczej jest w przypadku autystycznego maskowania.

Niektóre maskujące osoby autystyczne są w stanie w pewnym stopniu odróżnić samych siebie od maski, którą zmuszone są nosić. Jedną z takich osób cytują psycholożka Laura Hull i współpracownicy: „Potrzebuję samotności, bo wtedy mogę być sobą i nie myśleć o tym, jak postrzegają mnie inni". Wielu natomiast traci zdolność rozpoznawania tego, kim są pod maską. 39-letnia maskująca kobieta autystyczna, której wypowiedź cytują Kate Seers i Rachel Hogg, tak opisuje swoje doświadczenie: „Właściwie nie wiem, kim jestem. Kiedy myślę o noszonej przeze mnie masce, nie wiem już, co jest częścią maski, co jest częścią mnie samej, a które części maski skleiły się ze mną tak mocno, że stały się już częścią mnie".

Tego rodzaju niepewność nie pojawia się wyłącznie w kontekście maskowania. Na przykład osoby ze społecznymi zaburzeniami lękowymi mogą nie być pewne, czy decyzja o rezygnacji z piątkowego spotkania ze znajomymi została „podjęta" przez nich, czy niejako niezależnie od nich – przez zaburzenie, z którym się zmagają. Tym niemniej, zatarcie granic między sobą a noszoną przez siebie maską stanowi poważny, choć nie dość jeszcze rozpoznany koszt, który ponoszą osoby zmuszone maskować swoją neuroatypowość.

Co cię śmieszy

Zastanówmy się przez moment, skąd wiemy, co nas śmieszy. Najlepszą wskazówką bywa nasz własny śmiech. Kiedy ktoś opowiada coś, co uważam za zabawne, obserwowanie moich spontanicznych reakcji jest dobrym sposobem na dowiedzenie się czegoś o sobie – wzbogacenie swojego samorozumienia.

Wiele maskujących osób autystycznych nie zawsze uznaje za śmieszne to samo, co osoby neurotypowe, albo przetwarza humor inaczej. Jednak nie chcąc się wyróżniać, wbrew sobie przyjmuje ↦

↦ strategię śmiania się wtedy, kiedy śmieją się inni. W ten sposób traci możliwość lepszego poznania samych siebie poprzez obserwowanie swoich naturalnych, spontanicznych reakcji. Co gorsza, przez osoby neurotypowe może zostać uznanych za pozbawione gustu lub wręcz osobowości.

Podobnych przykładów jest więcej. Osoby maskujące notorycznie hamują pewne zachowania, które pomagają im regulować emocje, jak wspomniane trzepotanie rękami, co prowadzi do gorszego zrozumienia, w jaki sposób najłatwiej im radzić sobie z napięciem.

Inni, żeby ukryć cechy kojarzone powszechnie jako autystyczne, ukrywają swoje zainteresowanie wąskimi i nierzadko dość technicznymi tematami, tracąc tym samym możliwość eksplorowania, zgłębiania i dzielenia się swoimi pasjami z innymi. Tłumiąc na co dzień mnóstwo spontanicznych reakcji, wiele osób autystycznych dochodzi do błędnej konkluzji, że są chłodne i niezdolne do odczuwania głębokich emocji.

Odpowiedź na starożytne wezwanie „poznaj samego siebie" – choć dla wszystkich wymagająca – dla osób zmuszonych do ciągłego maskowania staje się niemal nieosiągalna.

Normalny, czyli jaki

Czy osoby neuroatypowe skazane są na maskowanie? A może moglibyśmy je od tego choćby częściowo uwolnić, gdyby neurotypowa większość była gotowa przesunąć się nieco na społecznej ławce, robiąc miejsce na inne sposoby doświadczania rzeczywistości?

> Dla wielu osób autystycznych diagnoza – nawet otrzymana w dorosłości – stanowi moment olśnienia. Wiele aspektów ich codziennego doświadczenia zaczyna nabierać sensu, układając się w nową, spójniejszą narrację o tym, kim są.

Jak zauważa Robert Chapman, piastujący stanowisko profesora krytycznych studiów nad neuroróżnorodnością na Uniwersytecie w Durham, odpowiedź na to pytanie wymaga głębokiej refleksji nad tym, co przyzwyczailiśmy się nazywać „normalnym". Sposoby ustalania tego, jak powinien zachowywać się i doświadczać świata „normalny" człowiek, które według Chapmana mają źródła w medycznych klasyfikacjach i ekonomicznym dążeniu do osiągnięcia pożądanej wydajności pracowników, muszą okazać się niewystarczające w zderzeniu ze zjawiskami, które dotyczą znaczeń, przeżyć oraz sensów, jakie człowiek nadaje światu, innym ludziom oraz samemu sobie.

Devon Price w książce „Autyzm bez maski" argumentuje, że dla wielu osób autystycznych diagnoza – nawet ta otrzymana w dorosłości – stanowi moment olśnienia. Wiele aspektów ich codziennego doświadczenia i wydarzeń z przeszłości zaczyna nabierać sensu, układając się w nową, spójniejszą narrację o tym, kim w istocie są. Wielu dostrzega także po raz pierwszy, co w ich zachowaniach jest wynikiem maskowania. To z kolei umożliwia im wejście na trudną ścieżkę odmaskowywania, na której często wspierają ich inne osoby neuroatypowe, mogące pokazywać im świat odbiegający od neurotypowych standardów.

Jak sugerują teoretycy tacy jak Price i Chapman, społeczna rewolucja, której motorem będą osoby neuroatypowe, może być w tym sensie zbawienna dla nas wszystkich. Za konieczność ciągłego maskowania osoby te płacą poczuciem zagubienia, a nierzadko własnym zdrowiem. Im bardziej wrażliwi będziemy na ich doświadczenie, tym prędzej dostrzeżemy, w jakie role musimy wchodzić i jakie maski musimy nosić na co dzień my wszyscy, żeby zasłużyć na skwapliwie reglamentowane, tajemnicze miano „jednego z nas". © JĘDRZEJ GRODNIEWICZ, ANNA URBANEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Jacek Stawiski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)

TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Polska elektromobilność przyspiesza

Centrum Elektromobilności i Automatyzacji Transportu otworzy się w 2026 roku dla przedsiębiorców i badaczy. Czy dzięki niemu doścignięmy europejski peleton?

Rozwój elektromobilności i automatyzacji to dziś najważniejszy kierunek zmian w światowej motoryzacji. Polska jest na dobrej drodze, by zdobyć ważną część tego rynku. Nasz kraj jest jednym z wiodących na świecie i największym w Europie producentem baterii litowo-jonowych, ma także bogate złoża miedzi, niezbędnej do produkcji silników i innych części pojazdów elektrycznych. Szybko rośnie rynek wewnętrzny – według danych PAIH w połowie roku 2025 liczba zarejestrowanych aut elektrycznych była aż o 51 proc. większa niż rok wcześniej.

Nadszedł optymalny czas na uruchomienie inwestycji, dzięki której rodzimi przedsiębiorcy z sektora motoryzacyjnego będą mogli korzystać z infrastruktury badawczej dotąd dla nich niedostępnej. Nowy ośrodek badań rozwojowych powstaje przy Sieci Badawczej Łukasiewicz – Przemysłowym Instytucie Motoryzacji (Łukasiewicz – PIMOT) w Warszawie. Producenci oświetlenia, elektroniki układów trakcyjnych, systemów ADAS, fotelików, pojazdów ciężarowych czy infrastruktury ładowania zyskują możliwość przeprowadzenia akredytowanych badań i walidacji produktów w Polsce. Oznacza to skrócenie czasu wprowadzania rozwiązań na rynek, obniżenie kosztów projektów B+R oraz większą przewidywalność procesu rozwojowego w firmach.



Automatyzacja

Założenia Centrum Elektromobilności i Automatyzacji Transportu zbudowane są wokół automatyzacji pojazdów. Umożliwia ono testowanie zaawansowanych systemów wspomagania kierowcy (ADAS) i elementów jazdy zautomatyzowanej, co daje szansę na rozwój nowego w naszym kraju rynku pojazdów autonomicznych. Precyzyjne scenariusze – od nagłego wyjścia pieszego zza przeszkody po jazdę w deszczu czy po zmroku – pozwalają budować i weryfikować algorytmy obserwacji otoczenia, wykrywania obiektów oraz podejmowania decyzji. Te możliwości znacząco zwiększą konkurencyjność polskich technologii.

Bezpieczeństwo

Filarem powstającego ośrodka jest także bezpieczeństwo motoryzacji. Posiada on zaplecze do badania pojazdów – szczególnie elektrycznych i hybrydowych – w zakresie bezpieczeństwa czynnego i biernego, odporności konstrukcji i niezawodności komponentów. Możliwe staje się testowanie scenariuszy wypadków i zdarzeń drogowych w warunkach bliskich rzeczywistym.

Alternatywna energia

Alternatywna energia i technologie jej magazynowania to jedna z kluczowych kompetencji Łukasiewicz – PIMOT. Nowa aparatura pozwala badać trwałość i bezpieczeństwo baterii, procesy ich starzenia, wpływ temperatury oraz cyklów ładowania na wydajność. Instytut zwiększa także możliwości testowania modułów magazynowania energii, układów zarządzania baterią (BMS) oraz komponentów wysokiego napięcia. Jest to element niezbędny dla rozwoju krajowych producentów baterii, autobusów elektrycznych, ciężarówek zeroemisyjnych i rozwiązań dla przemysłu, a także branży zbrojeniowej.

Wojsko

Centrum umożliwia badania ciężkiego sprzętu wojskowego. W komorze EMC doposażonej w nowoczesny stół obrotowy o nośności 50 ton można badać kompatybilność elektromagnetyczną pojazdu w pełnej konfiguracji – sprawdzić, jak systemy łączności, radarowe czy sterujące zachowują się przy różnych obciążeniach i warunkach pracy. To krytyczne dla bezpieczeństwa i niezawodności pojazdów wojskowych wyposażonych w zaawansowaną elektronikę. Wiedza o wpływie zakłóceń, odporności systemów i stabilność działania kluczowych układów w pojazdach jest niezbędna dla nowoczesnego pola walki.

Stworzenie Centrum Elektromobilności i Automatyzacji Transportu to koszt 29,5 mln złotych, z czego 24,7 mln zapewnia Unia Europejska w ramach Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności (KPO). Efektem tej inwestycji, która pozwala łączyć naukę z przemysłem, będą technologie poprawiające bezpieczeństwo, jakość środowiska i pozycję Polski w europejskiej branży motoryzacyjnej.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY
Rzeczpospolita Polska
Sfinansowane przez Unię Europejską NextGenerationEU

PRZEDSIĘWZIĘCIE JEST WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW UE W RAMACH KRAJOWEGO PLANU ODBUDOWY I ZWIĘKSZANIA ODPORNOŚCI, INWESTYCJA A2.4.1 INWESTYCJE W ROZBUDOWĘ POTENCJAŁU BADAWCZEGO, SCHEMAT B: INFRASTRUKTURA BADAWCZA – PRZEDSIĘWZIĘCIA REALIZOWANE PRZEZ SIEĆ BADAWCZĄ ŁUKASIEWICZ NA PODSTAWIE UMOWY O OBJĘCIE PRZEDSIĘWZIĘCIA WSPARCIEM NR KPOD.01.18-IW.03-0014/23 Z DN. 28.08.2024 R.

KRAJ

NASZE DOMY

Dlaczego tyle Polek i Polaków poszło na „Dom dobry”? Zaczęliśmy w końcu przepracowywać zbiorowe traumy? A może film Smarzowskiego działa tak silnie, bo dotyka czegoś, co wciąż niewypowiedziane?

CVETA DIMITROVA



Blisko dwa miliony widzów na polskim filmie: to nie zdarza się często. Można więc potraktować „Dom dobry” jak lustro, które odbija zbiorowe emocje. Pytać nie tylko o kwestie filmoznawcze (dobry czy zły, sprawnie napisany i nakręcony czy wręcz przeciwnie), ale także o diagnozę, jaką stawia społeczeństwu. O lęki, obrony i wyparcia.

Zwłaszcza że jego tematem jest przemoc domowa: fizyczna, seksualna, ekonomiczna i psychiczna. Przecież już samo patrzenie na cierpienie wywołuje silne i ambiwalentne uczucia: obciąża, nie jest neutralne. Widz nigdy nie jest tylko widzem, a poza tym film Wojciecha Smarzowskiego trafia na określony grunt – opowieści o przemocy i dominacji, o sprawcach i ofiarach, o traumie. Jak zwracał uwagę Michał Bilewicz w głośnym „Traumalandzie”, nasze społeczeństwo żyje w cieniu nieopowiedzianej historii: lęku, nieufności i trudności z przyjęciem własnej roli w przemocy.

Czy „Dom dobry” może się okazać przełomem w procesie wydobywania tej historii na powierzchnię?

Widok cierpienia

Główna bohaterka filmu – której życie stopniowo zamienia się w koszmar – w jednej ze scen trzyma książkę „Widok cudzego cierpienia”. Z pewnością nie jest to przypadkowy rekwizyt. Choć Susan Sontag pisze w niej głównie o fotografii i obrazach wojennych, to jej analiza relacji między obrazem a widzem wykracza daleko poza ten kontekst. „Obraz jako szok i obraz jako banał to dwie strony tej samej rzeczywistości” – zauważa. Ten paradoks dotyczy również obrazów przemocy domowej oglądanych na filmowym ekranie. Z jednej strony mamy wstrząs, który domaga się reakcji. Z drugiej – ryzyko zobojętnienia, gdy cierpienie staje się kolejnym „widowiskiem”.

Wielu widzów pisze, że to film bolesny, ale trzeba go zobaczyć. Inni mówią, że się go boją, przeczuwając ryzyko obcowania ze zbyt dużym obciążeniem, a może i retraumatyzacji. Obie postawy są zrozumiałe. Obraz – niezależnie od intencji twórcy – z samej swojej natury zmusza do zajęcia stanowiska, a zarazem może zwalniać z realnego działania: skoro już głośno wyraziliśmy sprzeciw i oburzenie, skoro to nie o nas, to co więcej „powinniśmy zrobić”? Obawiam się, że wielu sprawców przemocy nie tak jawnej jak pokazana w filmie może go użyć do uspokojenia swojego sumienia – „to nie ja” i „w końcu może być dużo gorzej”. Przy okazji zaspokajamy też inne, mniej szlachetne potrzeby. Kino staje się polem voyeurystycznego gestu. Podglądamy cudzy dramat, utożsamiamy się z bohaterką, a jednocześnie od niej odgradzamy,



PAWEŁ TYBORA / LUCKY BOB & WARNER BROS.

Agata Turkot i Tomasz Schuchardt w filmie „Dom dobry”

znów powtarzając w myślach: „to nie moja historia”. Albo „nie całkiem moja”.

Nawet jeśli nie całkiem, dotyka czegoś boleśnie znajomego. Może mechanizmów i emocji zasłyszanych z opowieści, bezwiednie przekazywanych, a nierzadko także doświadczeń bezpośrednio przeżytych? W takiej sytuacji pojawiają się zarówno ciekawość, jak i identyfikacja, ale też dystans do własnych przeżyć. Obraz jest szczeliną, przez którą podglądamy „ukryte” danego społeczeństwa; to, co jednocześnie wiemy i co boimy się wiedzieć. To, co czasem bywa zbyt trudne do zasymilowania.

Traumatyczne doświadczenie jest właśnie takim splątaniem: wielowymiarowym, obejmującym nie tylko relację sprawca–ofiara, ale cały kontekst zdarzenia. Wedle klasycznej definicji, trauma to wtargnięcie w umysł tego, czego jednostka nie jest w stanie przetworzyć, pęknięcie w doświadczeniu siebie i świata. Film próbuje to pęknięcie uczynić widzialnym. Pytanie brzmi: co z tym widokiem zrobimy?

Cykl przemocy

Jedna z najbardziej znanych teoretyczek traumy, Judith Herman, zwracała uwagę, że przemoc domowa polega nie tylko na biciu, ale na stopniowym wciąganiu ofiary w relację przymusowej zależności, formę psychicznego zniewolenia. Cykl przemocy – skrucha, nagroda, ponowny atak – podtrzymuje relację, jednocześnie systematycznie rozkładając zdolność do myślenia krytycznego. Z czasem uderza w poczucie sprawstwa, powoduje głęboką dezorientację co do tego, co jest „prawdą”, a co nie.

To wszystko dzieje się również tam, gdzie nie ma obrażeń na ciele. Przemoc niefizyczna – izolacja, zastraszanie, upokarzanie, *gaslighting*, kontrola ekonomiczna – może być równie niszcząca, choć nie zostawia siniaków. To jedna z pułapek odbioru filmu: tak spektakularna przemoc jak ta z „Domu dobrego” porusza i oburza, ale może też niechcący osłabiać wyczulenie na mniej widzialne, a podobnie dewastujące formy dominacji.

Jak to działa na poziomie bliskich relacji? Mechanizm jest zwykle podobny: krok po kroku osłabia zdolności percepcyjne i emocjonalne osoby, która przemocy doświadcza. Zostaje stopniowo odcięta od bliskich, zaburza się jej poczucie kompetencji. Zaczyna polegać na sprawcy jako jedynym źródle bezpieczeństwa i przetrwania. Sukcesywna utrata autonomii przypomina relację zakładnika z porywaczem – pragnienie naprawy, unikanie prowokowania agresora, nadzieja na uzyskanie łaskawszego traktowania stają się narzędziami kontroli. Herman opisuje to jako tworzenie się traumatycznej więzi, w której lęk, ↦

↦ nadzieja, wstyd i poczucie winy splatają się tak ciasno, że osłabiają zdolność do moralnej oceny sytuacji i utrwalają destrukcyjny cykl zależności.

Prace Herman były rozwijane i uzupełniane m.in. o neurobiologiczne badania nad zmianami w mózgu pod wpływem długotrwałych traumatycznych doświadczeń. Nie zmienia to faktu, że możemy wpadać w uproszczenia – widoczne również w historii psychologii. Psychoanaliza np. przez lata mimowolnie przyczyniała się do stygmatyzacji osób doświadczających przemocy, pomijając jej strukturalny wymiar. To w jednostce upatrywano rzekomych predyspozycji, choćby skłonności masochistycznych, co przesuwało odpowiedzialność z oprawcy na ofiarę. To tylko jeden z przykładów „ślepej plamki" w obcowaniu z mechanizmami dominacji.

Uzupełnienie perspektywy psychologicznej o neurobiologię czy teorię więzi nie ma na celu ani pomijania indywidualnych podatności – zwłaszcza w kontekście przekazów rodzinnych i wzorców relacyjnych – ani pełnego wyjaśnienia przemocy (czy tym bardziej jej usprawiedliwienia). Nie może zdejmować odpowiedzialności ani ze sprawcy, ani ze struktury społecznej, która pozwala przemoc reprodukować. Judith Herman zwraca uwagę, że zdrowienie wymaga nie tylko osobistej pracy, ale także zmiany społecznej: uznania tych doświadczeń oraz stworzenia warunków do odzyskania łączności i poczucia przynależności do społeczeństwa.

Tylko czy społeczeństwo obciążone licznymi traumami jest na to gotowe?

Mechanizmy obronne

Wątpliwość, czy wspólnota jest gotowa uznać przemoc jako własne doświadczenie, prowadzi właśnie do pytań o strukturalne uwarunkowania. Jedno z kluczowych brzmi: czy film wywołał masowe poruszenie, bo wreszcie wstąpiliśmy w etap „przepracowywania" zbiorowej traumy? Czy też raczej działa tak silnie, bo dotyka czegoś, co wciąż pozostaje na granicy świadomości – niewypowiedziane, a przez to rzutowane na „Dom dobry" niczym na ekran projekcyjny?

To, co wyparte i nieświadome, film umieszcza w zamkniętych wnętrzach i nieco abstrakcyjnych bohaterach, którzy z jednej strony są nam, wydawałoby się, bardzo bliscy, a zarazem – właśnie przez ten dystans: „to nie całkiem o mnie" – nieskończenie odlegli. Opowieść jakoś znajoma, choć przecież – myślimy – nie powinna taka być, dotyka wiedzy, którą wszyscy mamy z historii rodzinnych, sąsiedzkich, opowieści kolegów i koleżanek. W tym sensie film nie odkrywa niczego nowego – raczej wydobywa na powierzchnię powszechne kulturowe tabu, ujęte w obrazy tego, o czym się wie, ale o czym się nie mówi.

Prawdziwą prowokacją nie jest więc sama forma obrazu, środki realizacji czy wybór tematu. Prawdziwą prowokacją jest nadanie przemocy języka – choćby wizualnego – i wpuszczenie jej do sfery publicznej. Nawet jeśli odwrócimy wzrok, fakt, że staliśmy się świadkami, już zaistniał. Film narusza mechanizmy obronne, które dotąd nas chroniły: milczenie, bagatelizowanie, myśli o tym, że „ja taki nie jestem".

Nawet najprecyzyjniejszy opis przeżyć jednostki nie wystarcza jednak, by wyjaśnić, dlaczego przemoc może kwitnąć tak systematycznie i dotkliwie. Żeby to zrozumieć, trzeba przesunąć perspektywę – od psychiki ku strukturze. Bohaterowie „Domu dobrego", grani przez Agatę Turkot i Tomasza Schuchardta, działają tym mocniej, gdyż ekran staje się odbiciem dynamiki procesów, które czynią pewne zjawiska możliwymi. Przemoc w bliskich związkach nie rodzi się „tylko" z osobistej historii jednostki, jej doświadczeń i przekazów międzypokoleniowych – choć z nich również. Filmowy Grzesiek zdobywa się na wgląd – czy naprawdę szczery? – że nie znał innych wzorców: dziadek bił babcię, ojciec matkę. To prawda, ale nie cała. I niewiele wnosi.

System naczyń

W 2023 r. Sarah R. Meyer z Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium opublikowała wraz ze współpracowniczkami artykuł oparty na analizie ponad stu tekstów socjologicznych dotyczących przemocy. Doszły do wniosku, że przemoc nie rodzi się w osobowości jednostki, lecz w świecie, który ją otacza. To nie czyni oprawców mniej odpowiedzialnymi, ale rzuca niepokojące światło na nasze wspólne uwikłanie: systemowe, społeczne, polityczne, sąsiedzkie, rodzinne, przyjacielskie.

Według autorek, przemoc umożliwiana jest przez określony układ społeczny – złożoną sieć interakcji między normami kulturowymi, modelami rodzinnymi, relacjami sąsiedzkimi, obecnością (lub brakiem) wsparcia i kontroli.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

ZIELONA GÓRA, środa, 3 grudnia godz. 17.00, spotkanie klubowe „60. rocznica Orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich »udzielamy wybaczenia i prosimy o nie«". Piekarnia Cichej Kobiety, ul. Fabryczna 13

WARSZAWA, sobota, 6 grudnia godz. 12.00, „Miłość i odpowiedzialność, czytamy listy Anny Teresy Tymienieckiej i Jana Pawła II", rozmowa wokół tematu z 45 i 47 numeru „TP". Kawiarenka na Jazdowie, Jazdów 3/12

LUBLIN, wtorek, 9 grudnia, godz. 17.00 Kultura w „Kulturze" – rozmowa wokół książki „Sztuka w paryskiej Kulturze"; koncepcja tomu, wybór i wstęp - Elżbieta Matyaszewska. Uczestnicy: Elżbieta Matyaszewska, historyk sztuki, Zdzisław Kudelski, badacz literatury emigracyjnej i kręgu pisarzy związanych z paryską „Kulturą". Aula Klasztoru oo. Dominikanów ul. Złota 9

KATOWICE, środa, 10 grudnia godz.18.00, „Wiele wymiarów drogi". Rozmowę z o. Romanem Bieleckim, dominikaninem, publicystą, poprowadzi Jarosław Makowski, historyk filozofii, dziennikarz, publicysta. Transmisja na kanale YouTube BŚ. Biblioteka Śląska, sala Parnassos, plac Rady Europy 1

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Rola systemu nie sprowadza się do samych procedur i tego, czy działają sprawnie, ale do tego, czy w ogóle dostrzegają własne strukturalne uwikłania. Przemoc pleni się tam, gdzie logika sytuacji – problemy społeczno-ekonomiczne rodzące silne napięcia – napotyka na brak reakcji otoczenia. Tam, gdzie kruszeją więzi społeczne, przez co nikt nie chroni ofiar, a sąsiedzi i bliscy „nie chcą się mieszać". W kulturach, w których męskość łączona jest z dominacją i akceptacją użycia siły, i w których powielane są patologiczne wzorce rodzinne, traktowane jako naturalne i nieuchronne. Także w grupach rówieśniczych, gdzie przemocowe zachowania są normalizowane, nawet jeśli nikt ich tak nie nazywa.

W tym świetle traci sens wciąż powracające pytanie: „dlaczego osoba doświadczająca przemocy po prostu nie odejdzie?". Bo pomija cały kontekst, w którym ta osoba jest osadzona. Jest mnóstwo powodów, dla których ktoś systematycznie raniony i nadużywany nie może odejść. W niższych warstwach społecznych podkreśla się aspekt ekonomiczny, zależność, brak kompetencji. Ale wcale nie jest tak, że osoby lepiej wykształcone czy niezależne finansowo mają łatwość opuszczenia przemocowego związku. Zostają wciągnięte w grę manipulacji, zaprzeczeń, wstydu i poczucia odpowiedzialności, która wywraca porządek rzeczy do góry nogami i wpędza w bezradność. Warto tu przypomnieć choćby Celeste, bohaterkę graną przez Nicole Kidman w serialu „Małe kłamstewka". Wykształcenie, uroda, status, majątek, prestiż – żaden z tych zasobów nie chroni przed przemocą.

Carol Gilligan w książce „Innym głosem" pisała, że kobiety są socjalizowane do przyjmowania określonych postaw – troski, odpowiedzialności za relacje, gotowości do brania winy na siebie. A mówiąc językiem psychologicznym: do internalizowania winy i odpowiedzialności za krzywdzące zachowania innych. W pierwszej kolejności będą więc szukały przyczyn w sobie – we własnych ograniczeniach, „wadach", niedostatkach – a nie w tym, że ktoś bliski, od kogo są zależne, kto także wiele dawał, obiecywał, kochał i był kochany, może je podporządkowywać i niszczyć. Ten wzorzec nie przebiega równo według płci, ale statystycznie częściej dotyczy kobiet, co ma źródło w porządku polityczno-społeczno-kulturowym.

Przemoc nie rodzi się w osobowości jednostki, lecz w świecie, który ją otacza. To nie czyni oprawców mniej odpowiedzialnymi, ale rzuca niepokojące światło na nasze wspólne uwikłanie.

Trauma i przemoc obnażają, jak te ogólne scenariusze splatają się z indywidualnym uwikłaniem w cykle przemocy. Zrozumienia nie należy szukać jedynie w jednostce i jej psychice, ani nawet w micie romantycznej miłości (choć i on ma tu swój udział), lecz w tym, jakie elementy świata wokół ofiary – prawo, normy, kultura, sąsiedzi, rodzina – czynią odejście czymś trudnym, a przemoc czymś prawdopodobnym.

Kontekst polski

W „Domu dobrym" pokazane są nie tylko jednostkowe historie, ale cały krajobraz instytucji, norm i milczenia, wciąż w Polsce obowiązujący. Nasza uwaga kierowana jest na rolę Kościoła i patriarchatu, na zmowę milczenia w imię „dobra rodziny", zakaz prania brudów na zewnątrz, lojalności wymuszające bierność, bezradność instytucji, zaprzeczenia i uniki stosowane przez wszystkich, niezależnie od płci.

Od jakiegoś czasu obserwujemy jednak zmianę w polskim dyskursie na temat przemocy. Z pewnością niebagatelny wkład w rozumienie reprodukowanych mechanizmów i postaw miał wspomniany „Traumaland". Bilewicz, analizując traumę społeczną, pokazuje, że wspólnoty mają skłonność do konstruowania swojej tożsamości poprzez zaprzeczanie przemocy i wypieranie własnej sprawczości. Nie widzimy przemocy, którą popełniliśmy lub której byliśmy świadkami, bo zagraża naszemu przekonaniu, że jesteśmy „dobrymi ludźmi". Kiedy przemoc wychodzi na jaw, zostaje naruszone *status quo*, zakwestionowana zmowa milczenia, a wyparte uczucia wracają z dużą siłą. Trauma może trwać tam, gdzie jest milczenie.

Warto w tym kontekście przywołać również diagnozy z „Prześnionej rewolucji" Andrzeja Ledera. Twierdzi on, że modernizacja w Polsce dokonała się poprzez szereg nieuświadomionych procesów: przemoc, przesiedlenia, moralne nadużycia, zawłaszczenia. To, co było powszechną wiedzą, nie zostało wypowiedziane – a więc nie zostało przeżyte. Zostało zamrożone jako znana i nieznana zarazem historia, której ujawnienie groziłoby rozbiciem społecznej fasady. W takim milczeniu trauma się reprodukuje, przybierając inne kształty. Dlatego właśnie teorie nieprzeżytej historii i traumy społecznej tak mocno wybrzmiewają również w kontekście obrazów przemocy domowej. Dotykają głębszego, już wypowiedzianego, ale trudnego tematu historycznych i społecznych uwikłań kontekstu: Polski jako miejsca naznaczonego historią niewyobrażalnej przemocy i doświadczenia ogromnej bezradności wobec niej.

Za wcześnie, by orzekać, czy reakcja na film Smarzowskiego jest zwiastunem zmiany. Można jednak wierzyć, że nowe języki emancypacji, które ujawniły się z ogromną mocą np. podczas Czarnych Protestów, kwestionują zastaną rzeczywistość, atakują trzon tego, co uchodziło długo za normę.

Wspólnota świadków

Obraz przemocy działa jak lustro – pokazuje nie tylko to, co dzieje się między dwojgiem ludzi, ale przede wszystkim to, co dzieje się między nami wszystkimi. Widzi w nas to, czego sami nie chcemy widzieć, i przypomina, że każda przemoc – zanim stanie się sprawą psychologii czy prawa – jest sprawą wspólną.

Tylko społeczność, która potrafi zostać świadkiem, ma szansę przerwać cykl izolacji i milczenia. Jeśli więc pytamy, jak ten film ma się do nas, odpowiedź brzmi: wielopoziomowo. Nie mówi tylko o jednostkowym dramacie, ale o środowisku, które ten dramat umożliwia. O tym, że dopóki nie nauczymy się widzieć i nazywać przemocy – także tej codziennej, niefilmowej – dopóty będziemy powtarzać tę samą historię.

W kolejnych domach, pokoleniach i kontekstach. © CVETA DIMITROVA

Autorka jest filozofką i psychoterapeutką, założycielką ośrodka Znaczenia. Psychoterapia.



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Marsz Niepodległości, Warszawa, 11 listopada 2025 r.

Nacjonalizm na wznoszącej fali

PROF. PAWEŁ MACHCEWICZ, HISTORYK:

Ten sam język, co w latach 60., odnajduję we współczesnej narracji o „pedagogice hańby" czy „pedagogice wstydu", uprawianej rzekomo przez część polskich elit i historyków.

JACEK STAWISKI: Pańska najnowsza książka nosi tytuł „Narodowy komunizm po polsku". Czy nie lepiej było napisać „nacjonalistyczny komunizm"?

PAWEŁ MACHCEWICZ: Nacjonalizm ma w języku polskim negatywne zabarwienie, sugeruje konflikt i wrogość wobec innych narodów. Tymczasem „partyzanci" Moczara, oprócz wykorzystywania antysemityzmu, odwoływali się do tych wątków narodowej, niekomunistycznej tradycji, które zdecydowana większość Polaków postrzega pozytywnie: Armii Krajowej, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, obrony Polski we wrześniu 1939 roku, walki o niepodległość w XIX wieku. To nie musi być tożsame z nacjonalizmem.

„Model polskości i patriotyzmu, a także sposoby uprawiania polityki i mobilizowania poparcia społecznego w wydaniu »partyzantów« okazały się zadziwiająco trwałe i odnajdowałem je wokół siebie w rzeczywistości Polski drugiej i trzeciej dekady obecnego stulecia". O jakim modelu Pan myśli? Jakie zjawiska przypominają Panu lata 60.?

Chodzi o model polskości i patriotyzmu, w którym na plan pierwszy wysuwa się zagrożenia dla narodowej wspólnoty, przedstawia się ją jako oblężoną twierdzę, zagrożoną przez zewnętrznych wrogów, wspieranych przez wewnętrznych zdrajców, pozornie Polaków, ale w istocie służących obcym interesom.

Obcy versus Polacy. Kiedyś syjoniści (Żydzi), a dzisiaj kto? Imigranci? Bruksela? A może wszystkiemu winni są Niemcy?

Antyniemieckość w latach 60. i antyniemieckość dzisiaj – to są oczywiście punkty wspólne. Wtedy oprócz Niemców wrogami byli syjoniści, a z czasem wręcz wszyscy Żydzi. W dyskursie „partyzanckim" występował zresztą spisek syjonistyczno-izraelsko-zachodnioniemiecki, którego celem miało być zdjęcie odpowiedzialności za Holokaust z Niemców i przerzucenie jej na Polaków. Dzisiaj mamy do czynienia ze zmodyfikowaną wersją tej teorii, ale o rzekomych próbach uchylenia się przez współczesnych Niem-

ców od historycznych win też przecież słyszymy. Antysemityzm jest już w tej chwili otwarcie używany przez Konfederację Brauna, syjonistów i Żydów zastąpili zaś imigranci. Wrogiem stała się Unia Europejska, która w latach 60. po pierwsze nie istniała, a po drugie: Polacy nie mogli w ogóle wtedy marzyć, by być częścią integrującej się Europy.

Czy i dzisiaj polski nacjonalizm może liczyć na to, że kostium antyniemieckości będzie dla niego solidnym oparciem?

W latach 60. antyniemieckość miała realne podstawy polityczne i społeczne. Niemcy zachodnie nie uznawały granicy na Odrze i Nysie, wielu byłych nazistów zajmowało wysokie stanowiska w aparacie państwowym, sądownictwie i mediach – pod tym względem peerelowska propaganda nie kłamała. Wojna była dla Polaków wciąż świeżym doświadczeniem – skończyła się raptem dwie dekady wcześniej, pamięć o niemieckich zbrodniach była żywa niemal w każdej polskiej rodzinie, w wielu miastach były jeszcze widoczne ślady zniszczeń.

Dzisiaj jesteśmy 80 lat po wojnie, a demokratyczne Niemcy są naszym sojusznikiem w NATO i Unii. Fundamentem współczesnej niemieckiej kultury politycznej i obywatelskiej jest odpowiedzialność za zbrodnie narodowego socjalizmu, choć głównie te popełnione na Żydach. Dla innych kategorii ofiar, w tym Polaków, jest rzeczywiście mniej miejsca.

Z tego konsensusu wyłamuje się właściwie tylko AfD. Dlatego współczesny prawicowy dyskurs antyniemiecki w Polsce jest oderwany od rzeczywistości, kreuje kraj, którego nie ma, ale jest to potrzebne do wytwarzania poczucia zagrożenia, zarządzania lękami i fobiami, opartymi na historycznym doświadczeniu – stosunkowo już odległym, ale przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Okazuje się to skuteczne w prawicowym elektoracie, jak pokazują badania opinii, choćby Barometr Polsko-Niemiecki.

Wspomnijmy o liście biskupów polskich do niemieckich z 1965 roku – furia władz PRL w reakcji, ale i poczucie satysfakcji, że kościelna hierarchia poszła za daleko, a społeczeństwo widzi ten błąd i bardziej będzie skłonne do wspierania władz.

Gdy analizujemy partyjne czy esbeckie raporty o nastrojach, ale także dzienniki z tamtego czasu, wśród ludzi dominuje dystans, a nawet negatywne nastawienie do tego, co zrobił episkopat. Jerzy Zawieyski, działacz Klubów Inteligencji Katolickiej i człowiek bliski kardynałowi Wyszyńskiemu, uważał, że biskupi popełnili błąd polityczny i moralny – nie mieli prawa wybaczać w imieniu narodu, ani tym bardziej prosić o wybaczenie. Zawieyski notuje w dzienniku, że wierni wychodzili z kościoła w czasie odczytywania listu biskupów.

Antysemityzm – wtedy jedna z esencji moczaryzmu – dzisiaj jest esencją ruchu Brauna. Jednak prawica polska jest silnie proamerykańska, więc przejawy antysemityzmu byłyby pokazem antyamerykańskości. Czy choćby z uwagi na przywiązanie do USA jako przeciwwagi dla UE, Brukseli i Niemiec – duża część prawicy postanowi nie odwoływać się do antysemityzmu?

Politycy prawicy w większości zdają sobie sprawę, że używanie haseł antysemickich jest dzisiaj kompromitujące w oczach opinii światowej; odcinałoby od wsparcia Stanów Zjednoczonych, i to niezależnie od tego, kto jest tam prezydentem. Istnieje jednak napięcie i sprzeczność w podejściu prawicy. PiS w imię obrony dobrego wizerunku Polski zaangażował się w walkę z historykami ujawniającymi udział niektórych Polaków w prześladowanie Żydów w czasie wojny – doprowadziło to do nowelizacji ustawy o IPN, do której wprowadzono zapis o możliwości sankcji karnych dla badaczy. To zaś spowodowało kryzys w stosunkach z USA i Izraelem. Sukces Brauna pokazuje, że wciąż można zyskiwać szerokie poparcie sięgając otwarcie po antysemityzm.

W książce niewiele Pan pisze o kwestiach ukraińskich. Czy było to mało istotne, czy też powodem stały się uwarunkowania, jak to się modnie mówi, geopolityczne? Związek Radziecki był nie tylko sąsiadem. Jego interesy były nadrzędne i dlatego o problemach relacji z narodami ZSRR nie wolno było dyskutować. Moczarowcy przywołując polską tradycję nacjonalistyczną musieli mieć świadomość, że należy do niej też antyukraińskość.

Ci, którzy pochodzili z Wołynia czy Galicji Wschodniej, pamiętali o dokonanych tam masowych zbrodniach na Polakach, ale to były tematy przez władzę tabuizowane. Po pierwsze, obowiązywała przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, a jego częścią była Ukraina. Po drugie, tabuizowano to, że Polska rozciągała się tak daleko na wschód. Antyukraińskość sprowadzała się w gruncie rzeczy w PRL-u do przypominania zbrodni popełnionych przez UPA już w granicach powojennej Polski. W 1959 r. wydano książkę Jana Gerharda „Łuny w Bieszczadach", a dwa lata później na jej motywach powstał film „Ogniomistrz Kaleń". Jednak to był absolutny margines oficjalnej narracji. „Partyzanci" też tego nie podejmowali.

Tak samo tabuizowano wszelkie zbrodnie rosyjskie, co nie znaczy, że ta część polskiego społeczeństwa, która ich doświadczyła, o nich nie pamiętała. Tak na marginesie, Mieczysław Moczar tak naprawdę nazywał się Nikołaj Demko. Był synem prawosławnego chłopa spod Grodna. Nie wiadomo, o jakiej tożsamości, czy ukraińskiej, czy białoruskiej, być może nie była ona określona, ale jest pewnym paradoksem, że twórca narodowej ideologii w wydaniu komunistycznym miał korzenie częściowo niepolskie.

Pisze Pan w książce, że gdzieś podskórnie „moczarowcy" byli świadomi, iż nie można przekraczać pewnej granicy antyradzieckości – ale gdzieś chyba też odczuwali tęsknotę Polaków za antyrosyjskością. W pewnym uproszczeniu, byli za wspominaniem pewnych wydarzeń, choćby powstań przeciwko Rosji. Co stanowiło granicę? Wspomnienie Katynia?

Katyń oczywiście przedstawiano w oficjalnym dyskursie jako zbrodnię niemiecką, antyradzieckość zaś była pocałunkiem śmierci w komunistycznej elicie władzy. Istniała jednak cała gama możliwych aluzji. „Partyzanci" wzięli np. na sztandary książkę Zbigniewa Załuskiego „Siedem polskich grzechów głównych" z 1962 roku. Moim zdaniem żadna inna książka historyczna w PRL-u nie wywołała tak ogromnej dyskusji. Książka jest apologią XIX-wiecznych powstań, czy ↦

↦ w ogóle mówiąc szerzej – zbrojnej walki o niepodległość, głównie wymierzonej w imperium carskie, czyli w Rosję. Więc to po pierwsze było pewną antyrosyjskością, tylko ubraną w kostium historyczny i przedstawianą jako nie tyle antyrosyjskość, co antycarskość.

Natomiast w dyskursie moczarowskim bardzo silne było przypominanie tego, co się działo w latach 50. Na ogół bez używania słowa „stalinizm", bo ono już wówczas przez cenzurę było eliminowane. Pisano o okresie błędów i wypaczeń czy o okresie kultu jednostki. I wspominano, że zwalczano wtedy tradycję i kulturę narodową; wielu widziało, że chodzi tu o rusyfikację i sowietyzację. I wreszcie, pojawiały się też pewne aluzje w wystąpieniach Moczara – najbardziej znana pochodzi z jego wywiadu dla PAP z kwietnia 1968 r. Moczar zaatakował stalinistów i powiedział, że z tradycją narodową walczyli ci, którzy przyszli ze wschodu, przybrani w oficerskie szynele.

To była często mowa ezopowa, ale ci, którzy uważnie słuchali i czytali, wiedzieli, że chodziło o komunistów polskich, często żydowskiego pochodzenia, co Moczar też podkreślał na każdym kroku. Tych, którzy przyszli do Polski wraz z Armią Czerwoną. Na więcej nie mógł sobie pozwolić, zresztą to i tak była ryzykowna gra. Myślę, że Kreml nie udzielił Moczarowi poparcia w momencie rozgrywki o sukcesję po Gomułce w grudniu 1970 r. właśnie ze względu na jego nacjonalizm. Są przekazy, że w Moskwie mówiono, iż nie chcemy w Polsce drugiego Ceaușeascu, kolejnego przywódcy komunistycznego, który prezentowałby linię nacjonalistyczną, w domyśle przynajmniej częściowo antyrosyjską.

Wspomniał Pan o książce „Siedem polskich grzechów głównych". Pamiętam ją w księgarniach, bo w latach 80. miała wznowienia. Szeroko Pan opisuje, jak żywą dyskusję o polskiej kulturze, o sposobie prezentowania przeszłości, choćby poprzez filmy fabularne, ta książka wywołała. Jakie wnioski na dzisiaj Pan wynosi z tej dyskusji sprzed ponad sześciu dekad? Czy kultura dla polityków była ważniejsza niż dzisiaj?

W pewnym sensie tak, ale chodziło o kulturę w specyficznym rozumieniu, postrzeganą w kontekście politycznym. Dyskusja wokół książki Załuskiego zaangażowała samego Władysława Gomułkę. W pewnym momencie polecił ją przerwać, ponieważ uważał, że prowadzi do zbyt daleko idącej rehabilitacji niekomunistycznych nurtów polskiej historii, w tym powstań antyrosyjskich. Gomułka nakazał Arturowi Starewiczowi, to był jeden z jego najbliższych współpracowników w aparacie KC, napisanie artykułu do „Trybuny Ludu", w którym ta dyskusja zostanie podsumowana i zakończona.

Starewicz w trakcie pisania konsultował się z Gomułką, co pokazuje, że wówczas autorytarny przywódca partii i państwa znajdował czas na to, by ingerować w dyskusję o konkretnej książce. Tak samo filmy historyczne były traktowane niezwykle poważnie. Najważniejszą debatą na ten temat w PRL-u, a myślę, że w całym okresie Polski powojennej, włącznie z III RP, była dyskusja wokół ekranizacji „Popiołów" Stefana Żeromskiego, dokonanej przez Andrzeja Wajdę. Film wszedł na ekrany w 1965 r. i Wajda został poddany frontalnym atakom ze strony obozu „partyzanckiego". Był oskarżany o to, że wypacza dzieło Żeromskiego, kwestionuje sens walki o niepodległość u boku Napoleona oraz pokazuje zbrodnie dokonywane przez polskich żołnierzy w trakcie tłumienia powstania w Hiszpanii, a wcześniej na San Domingo.

Dzisiaj jednym z głównych sporów społeczno-politycznych jest to, jak pokazywać przeszłość poprzez kulturę. Czy to ma być jednoznaczna jej afirmacja, czy też próba namysłu nad przeszłością? Myśli Pan, że są tutaj jakieś analogie? Obserwując to, o czym się dziś w Polsce debatuje, jakie mamy dyskusje o kulturze, historii, pamięci, czy gdzieś te echa lat 60. pobrzmiewają?

Echa lat 60. widzę zwłaszcza we współczesnym nastawieniu do historii i pamięci. W dużej mierze w trakcie dyskusji o książce Załuskiego i ekranizacji „Popiołów" stworzono wzór piętnowania tych, którzy nie wpisują się jednoznacznie w gloryfikację tradycji zbrojnej walki o niepodległość. Pojawiły się wówczas głosy dziennikarzy i intelektualistów, że – owszem – należy czcić tradycję insurekcyjną, ale jednocześnie warto pytać o sensowność poszczególnych powstań, o ich skutki, często tragiczne. Były też głosy, że Polska i Polacy potrzebują innego modelu patriotyzmu, nie tylko zwróconego w przeszłość, ale też otwartego na współczesność. W tym ujęciu ważniejsze jest, żeby dobrze pracować na rzecz Polski dzisiaj, a nie rozpamiętywać przegrane powstania.

Myślę, że Kreml nie udzielił Moczarowi poparcia w momencie rozgrywki o sukcesję po Gomułce w grudniu 1970 r. właśnie ze względu na **jego nacjonalizm.**



ZBYSZKO SIEMASZKO / NAC

Mieczysław Moczar (z lewej) na spotkaniu z kombatantami, Warszawa, 1966 r.

Jednak ci ludzie, którzy mieli jakieś wątpliwości co do gloryfikacji tradycji powstańczo-niepodległościowej w wydaniu Załuskiego, byli piętnowani jako odszczepieńcy, „szydercy", jako ci, którzy są kosmopolitami, nie-Polakami, nie-patriotami. Ten sam język odnajduję we współczesnej narracji o „pedagogice hańby" czy „pedagogice wstydu", uprawianej rzekomo przez część polskich elit i przez polskich historyków. To jest moim zdaniem niemal kalka. Można by obok siebie położyć na dwóch kartkach cytaty z lat 60. i nie tak dawnych czasów, i pokazać je osobom niezorientowanym. Jestem przekonany, że duża część nie wiedziałaby, które pochodzą sprzed ponad sześciu dekad, a które są współczesne.

Musimy jeszcze omówić gorącą kwestię stosunku Polaków do Żydów.

Zwłaszcza postawy wobec Żydów w czasie wojny budziły żywe emocje. W latach 60. całkowicie marginalizuje się wiedzę, która istniała w polskim społeczeństwie, a znajdowała wyraz na obrzeżach dyskursu publicznego jeszcze w pierwszych latach powojennych, czy po październiku 1956 r. To była wiedza o tym, że część Polaków wydawała Żydów Niemcom, szantażowała ich czy wręcz zabijała. To zostało całkowicie stabuizowane w latach 60. „Partyzanci" zapoczątkowali kult Sprawiedliwych, czyli Polaków ratujących Żydów. Wyolbrzymiano ich liczbę, tak zresztą jak i dzisiaj, co miało przesłonić właśnie te negatywne postawy Polaków.

Gdy popatrzymy na dyskusje, które się w Polsce toczyły w ciągu ostatnich dwudziestu paru lat, i ataki, najpierw na Jana Tomasza Grossa, potem na historyków z Centrum Badań nad Zagładą, oraz kolejne próby instrumentalnego wykorzystywania Polaków ratujących Żydów przez dzisiejszą prawicę – to ja w tym widzę kontynuację wątków z lat 60. Często niemal dosłowną, choć metody mogą się oczywiście różnić. Służba Bezpieczeństwa w 1968 r. poszukiwała w całym kraju Żydów uratowanych przez Polaków i usiłowała ich nakłonić do deklarowania wdzięczności. Gromadzono materiały na temat pomocy dla Żydów i nakazywano prasie, by je nagłaśniała. Sprawiedliwi byli wtedy, i są dzisiaj, traktowani jako oręż polityczny i ideologiczny, sposób na poprawienie narodowego samopoczucia.



JAKUB SZAFRAŃSKI / KRYTYKA POLITYCZNA

PROF. PAWEŁ MACHCEWICZ (ur. 1966), historyk dziejów najnowszych, profesor w Instytucie Studiów Politycznych PAN, w latach 2008-2017 twórca i pierwszy dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, autor wielu książek na temat historii XX wieku. Ostatnio opublikował „Narodowy komunizm po polsku. »Partyzanci« Moczara" (wydawnictwo Krytyki Politycznej).

Znowu odwołam się do współczesności. Czy Pana zdaniem nacjonalizm będzie dominującą ideologią w Polsce? A może temperament historyka, ale też temperament w jakiejś mierze publicystyczny podpowiada Panu, że nie ma takiego niebezpieczeństwa? Czy jesteśmy w momencie, w którym sentyment nacjonalistyczny może okazać się najsilniejszym sentymentem w Polsce?

Moim zdaniem doświadczamy, i to już od wielu lat, wzrostu nastrojów nacjonalistycznych czy wręcz ksenofobicznych. Wybory prezydenckie wygrał kandydat, który wprost sięgał po hasła antyukraińskie, a w drugiej turze zwyciężył dzięki przejęciu głosów oddanych na dwóch innych nacjonalistycznie i antyukraińsko nastawionych kandydatów, w tym jednego otwarcie głoszącego kiedyś hasła antysemickie.

Gdy patrzy się na sondaże, to około 50 proc. Polaków, a niekiedy nawet więcej, popiera partie nacjonalistyczne, które łączy antyunijność, antyniemieckość i w dużej mierze antyukraińskość. Wzrost takich nastrojów, a także wrogiego nastawienia do imigrantów, to fenomen, który występuje nie tylko w Polsce, ale w większości krajów europejskich, nie mówiąc o Ameryce Trumpa. U nas widać to jednak szczególnie silnie. Na AfD w Niemczech chce głosować w końcu „tylko" jedna czwarta wyborców, jest to partia wciąż izolowana przez wszystkie inne siły polityczne.

Paliwem są nastroje antyimigranckie. W Europie Zachodniej obecność imigrantów z innych kręgów kulturowych jest rzeczywiście bardzo duża, ale u nas wciąż – ograniczona. Mamy przede wszystkim Ukraińców i dlatego nastroje antyukraińskie są w ciągu ostatnich dwóch lat paliwem dla jednej i drugiej partii z Konfederacją w nazwie, ale coraz częściej także dla PiS. Jaki będzie dalszy ciąg? Nacjonalizm ma wielką siłę mobilizującą, odwołuje się do pierwotnych instynktów, np. do poczucia przynależności do wspólnoty etnicznej. To jest identyfikacja dostępna dla każdego, najbardziej elementarna, a żyjemy w czasach zagrożeń, kiedy ludzie potrzebują wspólnotowości.

Gdzieś umknęła nam w tej rozmowie Rosja.

Paradoksem jest, że największe zagrożenie płynie z Moskwy, natomiast nasi nacjonaliści jako wroga przedstawiają bynajmniej nie Rosję, tylko Niemcy i Unię Europejską, często także Ukrainę, a w przypadku Brauna również Żydów. To podważa zakorzenienie Polski w zachodnim sojuszu. A sojusz ten jest moim zdaniem najważniejszym fundamentem i gwarancją przetrwania Polski jako kraju niepodległego i demokratycznego.

Problem w tym, czy siły – nazwijmy to – lewicowe z jednej strony, a liberalne z drugiej będą w stanie przeciwstawić się fali nacjonalistycznej. Opowieść lewicy zawsze koncentrowała się na zupełnie innych wartościach niż nacjonalizm, na sprawiedliwości i równości. Liberałowie mówili o wolności, rozwoju, modernizacji, wzroście dobrobytu. Wydaje się, że te hasła mają dzisiaj mniejszą siłę mobilizacji. Pytanie brzmi, czy lewica i liberalne centrum potrafią swoją opowieść przedstawić w równie atrakcyjny sposób, co nacjonalistyczna prawica, czy potrafią zaprezentować własne wizje wspólnoty i patriotyzmu.

Od odpowiedzi na to pytanie zależy przyszłość Polski i nasza przynależność do świata demokratycznego Zachodu. To zdawało się bezsporne jeszcze 15 lat temu, ale dzisiaj wcale nie wydaje się już pewne.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

Niewidzialni

ANNA KORYTOWSKA

SPOŁECZEŃSTWO | Z założenia to przestrzeń rekreacyjna. Jednak dla wielu ludzi ogródki działkowe to ostatnia deska ratunku przed zimą i bezdomnością. Oraz utratą godności.

Listopadowy poniedziałek, pierwsze przymrozki. Grupa streetworkerów, wolontariuszy ze Stowarzyszenia Serce Torunia rusza w teren, jak kilka razy w tygodniu. Wiedzą, kto na nich czeka, o innych potrzebujących dowiedzą się na miejscu. Przeszukujemy opustoszałe budynki i różne zakamarki przestrzeni miejskiej, a na koniec jedziemy w stronę ogródków działkowych na obrzeżach miasta, gdzie żyje część podopiecznych „Serca". Wąskie ścieżki ROD-ów o zmroku wyglądają inaczej niż za dnia. Ciemne, puste, widać tylko kontury drzewek i altanek. Latarka niewiele tu pomaga.

Najgorsza jest samotność

Krystyna ma 58 lat, na swojej działce żyje od dwóch. Ma swój pokoik, łazienkę, przestrzeń do gotowania i najważniejsze: dach nad głową. Dziś jest dobry dzień, bo wolontariusze ze stowarzyszenia przywieźli jej kuchenkę gazową, żeby miała na czym gotować.

– Życie tutaj w pewnym momencie roku zawsze zamienia się w walkę o ciepło. Opał trzeba zdobyć samemu, a nie zawsze mnie na to stać. Do tego są opłaty za szambo i wodę – wymienia. Krystyna co miesiąc dostaje rentę, niewiele ponad tysiąc złotych, więc żyje w skrajnym ubóstwie, zwłaszcza że dużo wydaje na leki. Choruje od lat na nadciśnienie, ma problemy z nogami, usuniętą śledzionę, od dłuższego czasu walczy też z depresją, ale na szczęście jest pod opieką lekarza i bierze leki.

– Przez lata żyłam pod Toruniem razem ze stosującym przemoc bratem. Strasznie był niedobry, szczególnie jak się napił. Potrafił wtedy szyby w domu wybijać. Źle traktował i naszą matkę, i mnie. Nie dało się tak żyć – wspomina Krystyna, która w końcu uciekła na rodzinną działkę. Czuje się w tym miejscu bezpieczna, ma dwa psy, które towarzyszą jej w codzienności. – To nie zimno dokucza mi najbardziej. Najtrudniejsza jest samotność. Ja nie piję i nie palę, więc trudno mi o towarzystwo. Jestem sama – przyznaje.

W dni, kiedy Krystyna czuje się lepiej i mniej bolą ją nogi, jedzie na tzw. wydawki jedzenia. To prawdziwa wyprawa, bo jej ogródek znajduje się na obrzeżach miasta, ale dzięki temu i naje się, i przywiezie w słoiku zupę na kolejny dzień. Innym razem dobrzy ludzie z „Serca" sami przywiozą jej ciepły obiad.

– Teraz, jak dostałam kuchenkę, to będę mogła wypić kawkę, herbatkę i tak zleci dzień. Tylko żeby jeszcze na tę kawkę starczyło – mówi Krystyna pośród zapadających ciemności.

Bez domu, ale nie bezdomni

Wiele osób mieszka w Polsce na działkach od miesięcy, a czasem i od lat, uciekając tam np. przed przemocą. Choć spora ich część nie ma własnego domu nawet na papierze, to paradoksalnie nie są uznawane za osoby w kryzysie bezdomności. – Altanka, nawet bez ogrzewania, z nieszczelnymi oknami i dachem, wciąż nie spełnia kryterium „braku schronienia" – mówi Michał Piszczek ze Stowarzyszenia Serce Torunia.

Definicja osoby bezdomnej w polskiej ustawie o pomocy społecznej obejmuje bowiem „osobę niezamieszkującą w lokalu mieszkalnym w rozumieniu przepisów o ochronie praw lokatorów i mieszkaniowym zasobie gminy i niezameldowaną na pobyt stały, w rozumieniu przepisów o ewidencji ludności, a także osobę niezamieszkującą w lokalu mieszkalnym i zameldowaną na pobyt stały w lokalu, w którym nie ma możliwości zamieszkania".

Tymczasem altanki, choć formalnie nie są lokalami mieszkalnymi, to dają dach nad głową, i dlatego ich mieszkańcy w systemie funkcjonują trochę „obok". Żyją w przestrzeni, której prawo nie potrafi jednoznacznie nazwać, a instytucje często omijają, bo przecież mają pod opieką poważniejsze przypadki. – Ci ludzie żyją bez domu, ale oficjalnie nie są bezdomni. Mają przecież prąd, a niektórzy nawet pomieszczenia ogrzewane czy węzeł sanitarny. System ich jednak nie dostrzega, są dla niego niewidzialni. Żyją więc w ciągłym zawieszeniu, między ulicą i altaną – wyjaśnia Michał Piszczek.

Zameldowanie w takim miejscu jest niemożliwe, bo całoroczny pobyt na działce uznawany jest przez prawo za nielegalny. Ale gdyby nie działka, ci ludzie nie mieliby dokąd pójść. – W noclegowniach i schroniskach brakuje łóżek, szczególnie zimą. Poza tym to specyficzne miejsca, wiele osób w kryzysie woli mieć swoją własną przestrzeń na działce, nawet kosztem gorszych warunków – zaznacza współtwórca Serca Torunia.

Ilu ich mamy naprawdę

Według ostatnich danych z 2024 r. w Polsce jest co najmniej 31 042 osób w kryzysie bezdomności. Liczba ta nie uwzględnia jednak ludzi mieszkających na terenie ROD-ów.

Według szacunków Polskiego Związku Działkowców, na działkach w całym kraju żyje na stałe ok. 6-7 tys. osób. – Ale z roku na rok osób w kryzysie przybywa, dlatego otworzyliśmy „Sercownię", lokal, w którym na dyżurach gościmy nawet sto osób dziennie. Wspieramy je rzeczowo, rozdajemy jedzenie, oferujemy pomoc medyczną, psychologiczną i prawną, także ludziom bez ubezpieczenia. Staramy się dowozić wszystko, co im potrzebne do przestrzeni, w których mieszkają – wyjaśnia Piszczek, a właśnie dziś dostarczył kuchenkę pani Krystynie.

Osoby mieszkające na działkach trafiają tam z różnych powodów. Rosnące koszty życia, konflikty lub trudna sytuacja w rodzinie, kryzysy psychiczne. – Prawie co piąty traci dom z powodu uzależnienia. Mamy też pod opieką osoby, które żyły „na kocią łapę" u partnera, po którego śmierci dzieci upomniały się o mieszkanie. Nagle zostają z niczym.



ANNA KORYTOWSKA

Sercownia, centrum wsparcia dla osób w kryzysie, Stowarzyszenie Serce Torunia. Toruń, listopad 2025 r.

Na terenie ogródków żyją osoby, które uciekają przed przemocą i takie, które po prostu sobie życiowo nie poradziły. To bardzo różne przypadki, ale łączy je jedno: życie w cieniu, na marginesie. Nie zwracamy na takich ludzi uwagi i nie burzą oni naszego spokoju. Działki od gwaru normalnego życia oddzielają ogrodzenia.

– Żyją tak pozostawieni sami sobie. Nie wiedzą, co robić, jak zmienić swój los – tłumaczy Michał Piszczek. – Część z nich ma zasiłek, część pracuje. Na czarno, dorywczo, bez umów, bez gwarancji, że jutro też będzie robota. Są tacy, którzy zbierają złom. Wszystkim jednak brakuje na jedzenie, na środki czystości, leki, ubrania zimowe, obuwie. Pomagamy im, jak możemy.

Są pieniądze, jest ciepło

Mieszkańcy altanek starają się przekształcić je w domy; to daje poczucie godności i utrzymywania się na powierzchni życia. Dlatego „Serce" zawiozło dziś zimowe buty trzyosobowej rodzinie mieszkającej na terenie jednego z ROD-ów w Toruniu. Poprzednie szybko się rozkleiły na wilgotnej ziemi.

Tomek mieszka tu z dorosłą córką i jej partnerem. Dwa małe pomieszczenia, kuchenka, telewizor. Na ścianach zdjęcia z dzieciństwa i stary zegar po ojcu. Jest prąd i osobna łazienka, chociaż bojler nie działa.– Jak mamy węgiel, to mamy ciepło. Jak kończą się pieniądze, jest zimno. Ratujemy się wtedy kocami – głos Tomka unosi się pośród wilgoci.

Przez wiele lat mieszkali z całą rodziną w bloku, z ojcem Tomka. – Zajmowałem się nim, codziennie obiady gotowałem. Pieniądze też się zawsze jakieś znalazły – wspomina. – A potem ojciec trafił do DPS-u i niedługo zmarł. Wtedy się podzieliliśmy: siostra zajęła mieszkanie, a mi kupiła tę działkę. Potem straciliśmy kontakt. Nie była na ostatnie święta, teraz też nie przyjedzie – mówi Tomek z bólem w głosie.

Dochodzi do siebie po zapaleniu otrzewnej. Opiekuje się nim córka Kasia; w tym czasie jej partner Robert pracuje. Na czarno, chwytając się wszystkiego, co dostępne. Trochę też pomagają starzy znajomi. – Ostatnio łóżko używane od nich dostałem. Wiążemy jakoś koniec z końcem, widzi pani, ale zima będzie trudna – mówi Robert. Michał z Serca Torunia wyraźnie zaznacza granice, w jakich działa stowarzyszenie: – Pomagamy, ale nie uważamy, że wiemy lepiej, co dla kogo jest dobre. Każdy niesie swoje własne traumy, nie znamy wszystkich ciężarów tych ludzi. Możemy im towarzyszyć, wspierać ich, proponować pracę. Reszta zależy od nich samych.

Dorota, toruńska streetworkerka, dodaje: – Jedzenie, ciepła herbata, rozmowa. Czasem tylko tyle. Ale to „tylko" potrafi pomóc przetrwać.

Jest dach, nie pada

50-letnia Jolanta w pustostanie na działkach spędzi już trzecią zimę, na szczęście pod opieką Serca Torunia. Łóżko, kilka rzeczy. Łazienki brak. Stajemy na zewnątrz, przy rozpalonym ognisku, jest znacznie cieplej niż w altance. – Nie chcę czuć się jak bezdomna. Staram się zawsze, żeby było czysto. Chociaż nie mam prądu i bieżącej wody, to mam przecież dach nad głową. Deszcz za kołnierz nie pada i to jest najważniejsze – zapewnia.

Prawdziwy dach nad głową nie zawsze był. Jola przez cztery miesiące żyła w namiocie. – Mieszkałam z partnerem w jego mieszkaniu, ale po powrocie z pracy w Niemczech rozstaliśmy się, więc mnie wymeldował. Może i dobrze się stało, bo przemoc stosował straszną. Poroniłam przez niego – twierdzi Jola, która kolejnego partnera poznała już w czasie bezdomności. Zamieszkała z nim na działce na kilka miesięcy, ale też okazał się przemocowy. – Teraz żyję z nowym, jest dużo lepiej. Do trzech razy sztuka – mówi. Jola pokazuje mi ciepły piecyk, który dla słabej i schorowanej kobiety jest prawdziwym zbawieniem. Grzeje się przy nim czekając na partnera, gdy ten łapie się dorywczych prac. Po jedzenie oboje chodzą do „Sercowni", gdzie mogą się również umyć, skorzystać z usług fryzjerki, lekarki. – Dzięki temu jakoś żyję. Mam cukrzycę, nadciśnienie, astmę: non stop potrzebuję leków. Psychicznie bardzo trudno to wszystko udźwignąć, ale choć chwile beznadziei zdarzają się bardzo często, mam dla kogo żyć. Mam mężczyznę oraz siostrę; ona co prawda mieszka daleko, ale jesteśmy w kontakcie telefonicznym. To mi dużo daje, bo wiem, że nie jestem sama – przyznaje.

Jola ma jedno marzenie. „Mieć swój kąt. Ciepły. Bez wilgoci. Bezpieczny". Gdy odjeżdżamy, ognisko przy niedokończonej altance jeszcze się tli. Przed Jolą i jej partnerem kolejna chłodna noc. W naszym samochodzie szybko robi się ciepło. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać. Naszą marką jest suwerenność:
sami odpowiadamy za publikowane tu treści i nikt poza
Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki



Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.

Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.

Zamów lub przedłuż prenumeratę i odbierz nawet

- **4 numery „Tygodnika Powszechnego” za darmo**
- **oraz dostęp do cyfrowego wydania W PREZENCIE***

KODY RABATOWE:

InPost	Roczna	~~cena 686 zł~~ **nowa cena 621 zł** z kodem: **4gr25** --> **4 numery w prezencie**
	Półroczna	~~cena 366 zł~~ **nowa cena 333 zł** z kodem: **2gr25** --> **2 numery w prezencie**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	~~cena 687 zł~~ **nowa cena 622 zł** z kodem: **4gr25p** --> **4 numery w prezencie**
	Półroczna	~~cena 367 zł~~ **nowa cena 334 zł** z kodem: **2gr25p** --> **2 numery w prezencie**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

PRENUMERATĘ MOŻNA ZAMÓWIĆ NAWET DO LUTEGO 2026 r.

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

**ABY GO AKTYWOWAĆ:*

- *Zamów i opłać prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Jeśli nie masz konta, załóż je w serwisie internetowym „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Z adresu e-mail przypisanego do konta wyślij wiadomość na **bok@TygodnikPowszechny.pl** z tematem: „Dostęp do serwisu TP w prezencie”, a w treści podaj adres pocztowy, na który zamówiono i opłacono prenumeratę.*

Po spełnieniu powyższych warunków dostęp zostanie przyznany w ciągu 14 dni.

Razem tworzymy „Tygodnik”

OLGA

Drenda: *Kruszenie*



„Niepewność jutra” – takie wyrażenie często dawało się słyszeć w pierwszych latach XXI wieku. Używali go wszyscy: związkowcy, reporterzy, hiphopowcy, ludzie zapytani na ulicy. I jeszcze drugie: „brak perspektyw”. Stały się wówczas trochę terminami-wytrychami, być może zostały podchwycone z publicystyki albo i nawet mowy trawy, ale nieco poetycka zwięzłość, a zarazem pojemność sprawiały, że pobrzmiewało w nich dotknięcie życia i realny problem. Bo też dotyczyły uczuć, które sklejały się w szarą, nieprzejrzystą, zniechęcającą mętność, przypominającą błoto pośniegowe, w coś, przez co trzeba było nie iść, a brnąć.

Uczucia te jednak wyrastały na samym konkrecie, na powszechnej niemal pewności, że po szkole nie będzie pracy, a jeśli praca będzie, to za marne pieniądze, i że całe życie będzie polegało na nieustannym łataniu coraz to nowych dziur. Była to smutna odpowiedź serca na wizję trwania, które nie wiadomo, jak długo, ale wiadomo, że będzie rozczarowujące, pełne głosów: nie ma, nie da się, nie będzie, nie można.

Może jest to jednak diagnoza wędrująca, i różne czasy, różne dekady mają swoje odmiany takiego intuicyjnego odczucia powszechnego zniechęcenia, trzeba jedynie zaktualizować swoją wizję. Różni ludzie pytają: dlaczego i młodzi, i dorośli niby mają wszystko (to znaczy: więcej niż w 2005 r.), dlaczego statystyki takie pozytywne, a są tacy obojętni, wycofani we własne sprawy, dlaczego są niezadowoleni, depresyjni, nie chcą budować, walczyć, wspinać się i entuzjastycznie starać? Przecież kiedyś człowiek nic nie miał, a chciał (podobno).

Tam, gdzie odpowiedzi nie dają liczby, może pomóc poeta, choćby i amator – grunt, by był spostrzegawczy; bywa, że to taką drogą da się ująć trafnie coś tak niewymiernego jak ducha swojego czasu. Może czas odkopać „niepewność jutra” i „brak perspektyw”, by przymierzyć je do nowej rzeczywistości. Pomogą nam one zrozumieć odruchowe przekonanie, że nic nie warto, i to, że apatia może być postawą pragmatyczną, niestety. Początek wieku to poczucie długiego trwania biedy i marazmu, stagnacji bez końca. Teraz funkcjonujemy dla odmiany w świecie mignięć, krótkich trwań, samych początków – i od razu końców. Oba warianty mogą poskutkować odruchową reakcją: „nie warto”, i, jak mawiano w staropolszczyźnie, dojutrkowością, czyli życiem z dnia na dzień.

Zróbmy małą symulację: uczyłam się na kierunku „z gwarancją sukcesu” – i co z tego, wiatr powiał z innej strony; zostałem programistą – i co z tego, skoro mnie zautomatyzują; wyprowadziłem się na wieś, by pracować zdalnie i mieć więcej czasu dla rodziny – zażyczyli sobie pracy z biura, więc to z rodziną, a nie z szefem rozmawiam na wideo. Ostatnie lata przyniosły nam do tego spektakularne zmarnowanie społecznej energii. Jakieś inicjatywy, wnioski, protesty, petycje – czy ktokolwiek je uszanował? Wszystko, co miało być stałe, zaczęło się ekspresowo kruszyć, wszystko, co próbowano schwytać, rozsypywało się w rękach.

Przez pewien czas ludzie z większą skłonnością do ryzyka starali się ograć ten mechanizm, wyprzedzając jego zasady: zgromadzić szybko maksymalnie dużo pieniędzy (zostać influencerem, ryzykownie zainwestować), wziąć forsę i w nogi – a potem cieszyć się bukietem nabytych nieruchomości. Ale i ich chyba dopadło, bo nie wszystko przecież można kupić. Po co mam urządzać mieszkanie, skoro nie wiem, czy będę w nim mieszkać – to mówią nam fotografie nowych lokali, wyposażone tak, by nie marnować energii na nadmierne cieszenie się własnym miejscem i móc jak najszybciej się z nich wyprowadzić. Rozmowa zaś o tym, czy, jakie i dlaczego w Polsce ludzie chcą zakładać rodziny, zmieniła się w pusty festiwal radosnej pogardy pod pozorem dbałości o sprawy ważne – fasadowe embargo na pogardę, o której tak dużo mówiono w czasie ostatnich wyborów, najwyraźniej się zakończyło. Wielu nie mogło się doczekać.

Nie jest to obraz radosny. Nie jest też oczywiście nowy ani jedyny i nie pierwszy raz w historii Ziemi rzeczywistość kasuje nasze plany, zanim zdążymy się nad nimi zastanowić. Albert Camus proponował, by wyobrazić sobie Syzyfa szczęśliwym, John Keats cenił „zdolność negatywną”, czyli ćwiczenie w sobie tolerancji na niepewność i brak odpowiedzi. Zawsze warto posłuchać filozofa i poety. Ale pamiętam też, kiedy dawno, dawno temu ktoś, w chwili, kiedy miałam nad i przed sobą zbyt wiele przerastających mnie spraw, stanął przy moim stole i doradził mi, bym wyobraziła sobie, jak małe są moje kłopoty z perspektywy kosmosu. Kto wie, pewnie miał trochę racji. Ale w tamtym momencie mogłam być na niego jedynie bardzo, bardzo zła. ©



OLGA DRENDA

Nie ma dobrych wyjść

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.



MAREK BEDNARZ

Przemysław Kuśmierek, Arjun Talwar, Karolina Wigura, Marta Titaniec i Piotr Cywiński – laureaci nagrody Bonus 2025. Kraków, Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, 28 listopada 2025 r.

Nagrody BONUS 2025 rozdane

MICHAŁ SOWIŃSKI

Prestiżowe wyróżnienia „Tygodnika Powszechnego" trafiły do osób, które w polskiej przestrzeni publicznej łączą, zamiast dzielić.

BONUS to nowa nagroda „Tygodnika Powszechnego" dla tych, którzy w życiu publicznym wytrwale budują porozumienie, sprzeciwiają się uproszczeniom, idą pod prąd sensacji i toksycznych emocji. Wyróżniamy dziennikarzy, twórców, liderów, społeczników i innowatorów, którzy pokazują, że uważność, rzetelność i otwartość nie tracą wartości – wręcz przeciwnie, stają się fundamentem wspólnoty.

Gala wręczenia pierwszej edycji Nagród BONUS 2025 odbyła się 28 listopada w krakowskim Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha.

KULTURA

W tej kategorii wyróżniamy twórców, którzy swoją działalnością otwierają przestrzeń dla wielu perspektyw – nie uciszając żadnego głosu i nie upraszczając wielogłosowej rzeczywistości. To nagroda dla osób pokazujących kulturę jako pole dialogu.

W finałowej trójce tegorocznej edycji Nagrody Bonus byli **DANIEL RYCHARSKI** i **DOROTA OGRODZKA**.

Laureatem Nagrody BONUS 2025 w kategorii Kultura został **ARJUN TALWAR** – mieszkający w Polsce indyjski reżyser i operator, absolwent łódzkiej Szkoły Filmowej. Jego filmy, m.in. „Listy z Wilczej", portretują życie na styku kultur i opowiadają o Polsce głosami jej nowych mieszkańców.

Kapituła wyróżniła go „za opowiadanie głosami imigrantów o Polsce i za oddawanie głosu zwykłym-niezwykłym ludziom, ich tęsknotom, przemianom i różnicom, które, jak się okazuje, aż tak bardzo nie dzielą; za pracę twórczą idealnie wpisującą się w kryteria Nagrody BONUS".

MEDIA

Nagradzamy twórców, którzy nie wzmacniają polaryzacji, odważnie prezentują pluralizm i pokazują złożoność świata bez uciekania w sensacyjne uproszczenia. To nagroda dla tych, którzy pracują na rzecz rozmowy, nie konfliktu.

W finałowej trójce znaleźli się: **JUSTYNA SUCHECKA** oraz duet **JAKUB DYMEK I MARCIN GIEŁZAK**, autorzy podkastu „Dwie Lewe Ręce".

Laureatką Nagrody BONUS 2025 została **KAROLINA WIGURA** – socjolożka, histo-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ryczka idei, wykładowczyni i publicystka „Kultury Liberalnej". Badaczka emocji społecznych i pamięci zbiorowej, laureatka Nagrody im. ks. Józefa Tischnera. Jej teksty ukazywały się również w „Tygodniku Powszechnym", „The Guardian" i „The New York Times".

Kapituła doceniła „myślenie i publicystykę ponad podziałami politycznymi i stereotypami. Opisywanie życia społecznego na przekór wszechobecnej polaryzacji – łączące refleksję intelektualną i historyczną z empatią i szacunkiem. Pisanie rzeczy po ludzku najbliższych w taki sposób, który otwiera nam wszystkim możliwość rozmowy".

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA

W tej kategorii wyróżniamy osoby, które zmieniają rzeczywistość oddolnie: poprzez codzienną pracę dla innych, budowanie mostów, przywracanie widzialności tym, których najłatwiej pominąć.

W finałowej trójce znalazły się: **ANNA KRAWCZAK** i **CECYLIA MALIK**.

Laureatem Nagrody BONUS 2025 został **PIOTR M.A. CYWIŃSKI** – historyk, działacz społeczny, dyrektor Muzeum Auschwitz-Birkenau. Strażnik pamięci, przeciwnik jej politycznego zawłaszczania, konsekwentnie broni autonomii świadectwa Ocalałych.

Kapituła uhonorowała go „za wzór służby publicznej: nawet będąc podwładnym ministrów, nie kieruje się doraźnymi interesami polityki historycznej. Przypomina, że naszą wspólnotę – przekraczającą tożsamości narodowe, religijne, genderowe – łączą zobowiązania wobec umarłych i Ocalałych".

TECHNOLOGIA

W tej dziedzinie doceniamy innowacje, które zmniejszają wykluczenie i realnie poprawiają jakość życia. BONUS honoruje technologię, która służy ludziom – buduje mosty zamiast murów.

W finale znaleźli się również: **RAFAŁ MODRZEWSKI** (ICEYE) oraz **EWA PRZEBINDA** (współtwórczyni aplikacji MÓWik).

Laureatem Nagrody BONUS 2025 w kategorii Technologia został **PRZEMYSŁAW KUŚMIEREK**, twórca platformy Migam.org.

Migam to narzędzie umożliwiające tłumaczenie na polski język migowy, korzystanie ze słownika PJM online i zestawu usług zwiększających dostępność dla osób głuchych. Od 15 lat zespół Migam wspiera komunikację w instytucjach, firmach i służbie zdrowia, łącząc społeczności i przeciwdziałając wykluczeniu.

Kapituła doceniła inicjatywę „za wzmacnianie więzi społecznych i przeciwdziałanie marginalizacji. To dowód, że technologia może być siłą integrującą – że włączanie zaczyna się od zrozumienia, iż nie wszyscy mówimy tym samym językiem".

LIDER/LIDERKA

Wyróżniamy osoby, które swoją postawą, pracą i odwagą budują wspólnotę, inspirują innych i biorą odpowiedzialność za dobro wspólne – nie dla prestiżu, lecz z przekonania.

W finałowej trójce znaleźli się: **BASIL KERSKI** (ECS, „Magazyn DIALOG") oraz **BARTOSZ PILITOWSKI** (Fundacja Court Watch Polska).

Laureatką Nagrody BONUS 2025 została **MARTA TITANIEC** – w latach 2019-2025 prezeska Fundacji Świętego Józefa KEP, współinicjatorka Inicjatywy „Zranieni w Kościele", sekretarz generalna Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów.

Od lat buduje mosty tam, gdzie najłatwiej o podział: między chrześcijanami a Żydami, między hierarchią Kościoła a ofiarami nadużyć, między polskimi rodzinami a syryjskimi uchodźcami. Stoi na straży wiary, która nie rani, lecz służy i słucha.

Kapituła – wyróżniając jej działalność humanitarną i wkład w dialog międzyreligijny – podkreśliła, że Titaniec „udowadnia, iż można walczyć o zmianę w instytucji bez jej niszczenia oraz że najsilniejsze przywództwo rodzi się z gotowości do słuchania tych, z którymi się nie zgadzamy". ©℗

Rozmowy ze wszystkimi Laureatkami i Laureatami oraz więcej o samej Nagrodzie BONUS przeczytacie na naszej stronie internetowej, a także w specjalnym dodatku, który ukaże się w numerze świątecznym („TP" 51-52).

Chcielibyśmy serdecznie podziękować naszym Partnerom – firmom i organizacjom, które wsparły nasz projekt i które na co dzień w swojej działalności pokazują, że odpowiedzialność, dialog i jakość mają znaczenie.

ORGANIZATOR: 80! Tygodnik Powszechny

PARTNER STRATEGICZNY: blik

PARTNER GŁÓWNY: Kraków

PATRONI MEDIALNI: tvn24, Trójka Polskie Radio

WSPÓŁPRACA: Fundacja Tygodnika Powszechnego

PARTNERZY: Mazowsze. serce Polski; Gdańsk; Herbewo City S.A.; mpec kraków; Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

W Krakowie Dobra Woda prosto z kranu; Wodociągi Miasta Krakowa; zaks sprzyjamy wyobraźni; Fundacja PRB; Narodowe Centrum Kultury

Projekt zrealizowany we współpracy z Narodowym Centrum Kultury

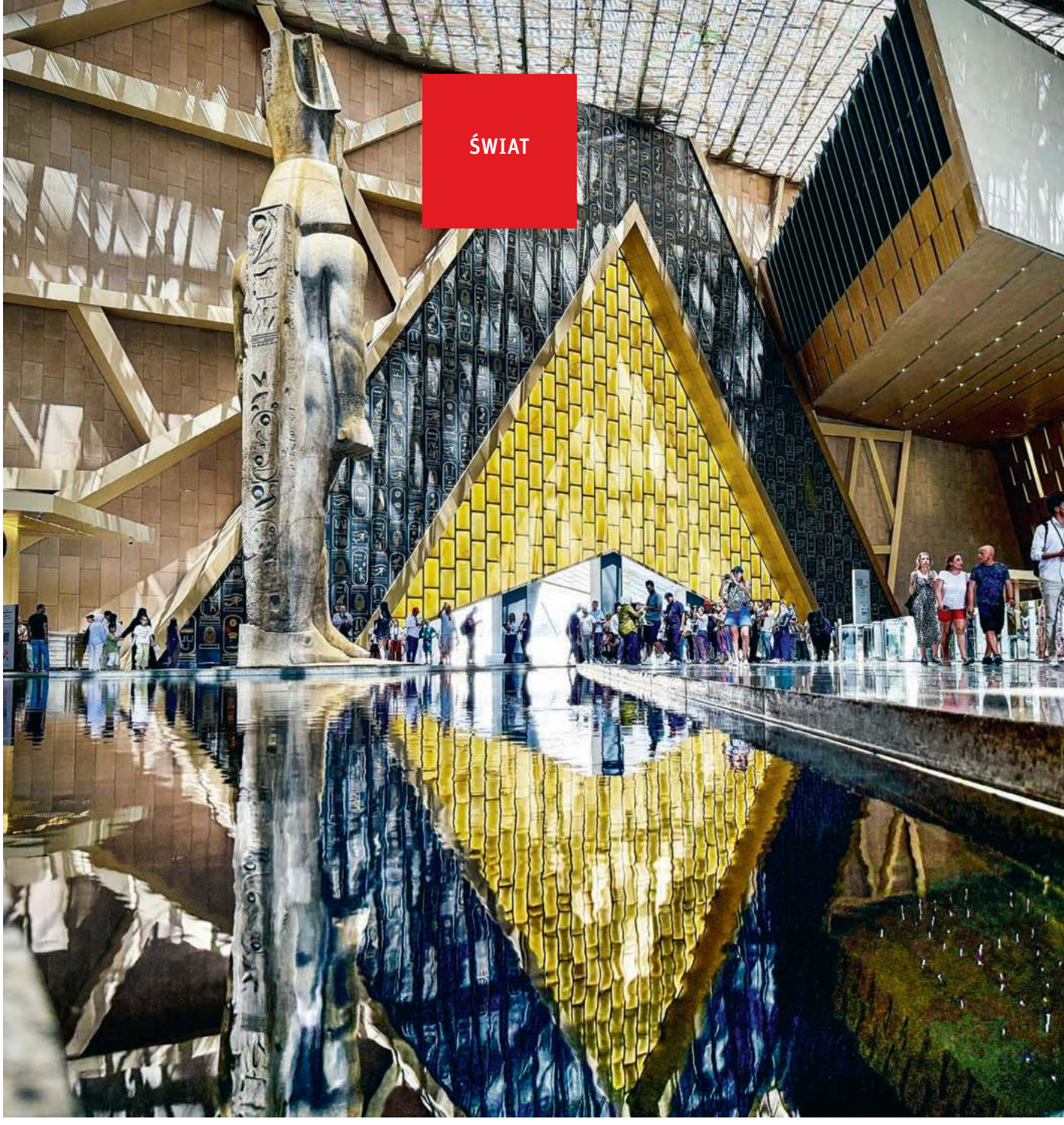

OPOWIEŚCI EGIPSKIE

JAN NATKAŃSKI, ARABISTA:

Prezydent Egiptu Abd al-Fattah as-Sisi
świadomie nawiązuje do tradycji faraonów.
Wierzy, że duże projekty utrzymają jego kraj w równowadze.
Chodzi nie tylko o otwarte niedawno Wielkie Muzeum Egipskie.



AMR ABDALLAH DALSH / REUTERS / FORUM

Główna sala Wielkiego Muzeum Egipskiego. Z lewej posąg faraona Ramzesa II, który wcześniej stał przy dworcu głównym w Kairze. Ważący 83 tony kolos został przewieziony do nowego muzeum na specjalnej platformie i dziś wita w nim gości. Giza, czerwiec 2025 r.

MARCIN ŻYŁA: Pamięta Pan swoją pierwszą wizytę pod piramidami?

JAN NATKAŃSKI: Nie pamiętam. Przyjechałem do Egiptu w 1978 r. jako pierwszy sekretarz ambasady do spraw prasy i kultury. Pochłonęło mnie kairskie życie, środowisko artystyczne tego miasta. Intensywna codzienność przysłoniła pierwsze wrażenia. Później bywałem przy piramidach wielokrotnie, jednak pierwsza wizyta nie pozostawiła w pamięci wyraźnego śladu.

Być może dlatego, że wtedy Giza wyglądała bardziej „codziennie" niż dziś, gdy przyjeżdżają tu głównie turyści. Było to wciąż barwne przedmieście Kairu, znane także ze słynnego hotelu Mena House, w którym od końca XIX w. zatrzymywali się pisarze, np. Henryk Sienkiewicz, a także politycy i dyplomaci. Tu odbywały się rozmowy prezydenta Sadata z politykami USA i Izraela o realizacji porozumień z Camp David z 1978 r. i traktatu pokojowego Egiptu z Izraelem.

Większość zdjęć pokazuje piramidy tylko z jednej strony. Dlaczego?

To świadomy zabieg. Gdyby sfotografować je od strony pustyni, byłoby widać gęste zabudowania, które już w latach 70. XX w. podchodziły niemal pod same piramidy. Byli tam turyści i handlarze sprzedający wszystko, co tylko da się sprzedać – od chłodnych napojów wyciąganych ze skrzynek z lodem po podróbki antyków. Roiło się od wielbłądziarzy. Jeśli zachowywali się zbyt natarczywie, policja ich przeganiała, ale generalnie pozwalano im działać.

Giza nigdy nie była kompletnie odcięta od miasta. Za piramidami działały kawiarnie pod namiotami, a nawet niewielkie nocne kluby. Nie były szczególnie eleganckie, tworzyły jednak specyficzną atmosferę. Innymi słowy, u stóp piramid widać było cały Egipt w miniaturze.

Miałem tu zabawną, choć wtedy stresującą przygodę. Po kolacji u rosyjskiego kolegi pojechaliśmy obejrzeć piramidy nocą. W miejscu, z którego widać je było niemal w jednej linii, na tle podświetlonego Kairu. Po dwóch minutach w szybę auta zapukał żołnierz. Na posterunku okazało się, że nieświadomie wjechaliśmy na teren wygrodzony pod przyszłą rezydencję prezydenta Sadata.

Ostatecznie nigdy jej nie wybudowano, bo chyba sami Egipcjanie uświadomili sobie, że nie jest to najlepsza miejscówka na wille rządowe. Wypuszczono nas z przeprosinami, ale dla mnie była to scena pokazująca, jak piramidy funkcjonują w realnej topografii państwa.

Kiedy był Pan w Gizie ostatni raz?

Gdy kończyłem ponowną misję dyplomatyczną w listopadzie 2008 r. Od mojego pierwszego pobytu Kair bardzo się zmienił: miasto wylało się na pustynię, powstały nowe dzielnice i wielkie centra handlowe. Jednak wokół piramid, od strony pustyni, zachowano ogromną pustą przestrzeń. Była to świadoma decyzja egipskich władz i archeologów. Zrozumiano, że jeśli coś ma pozostać nietknięte, powinien być to właśnie ten obszar.

Nawet w najbardziej zatłoczonych miejscach trafia się czasem krótki moment sam na sam z zabytkiem. Przeżył Pan taki?

Dla mnie taką chwilą było wejście do wnętrza piramidy Cheopsa. Na zewnątrz jest potężna, jest czymś niemal nieludzko ogromnym. A wewnątrz? Niskie wąskie przejście, ascetyczna komora grobowa, klaustrofobiczna przestrzeń. To zadziwiający kontrast: tysiące ton kamienia i maleńka komnata w środku. Gdy człowiek tam wchodzi, naprawdę uświadamia sobie ciężar czterech tysięcy lat.

Mówił Pan, że w rozmowach z Egipcjanami temat starożytności nie był wtedy szczególnie obecny. Dlaczego?

Dla większości z nich starożytność nie jest tematem codziennym. Życie kierowcy, sklepikarza czy urzędnika toczy się wokół takich spraw jak inflacja, szkoła dzieci, brak pracy czy ceny mieszkań. Starożytny Egipt jest dla nich rodzajem naturalnego tła, czymś tak oczywistym, że aż „niewidzialnym".

Inaczej jest oczywiście wśród archeologów, naukowców czy ludzi kultury. Mamy w Egipcie długą znakomitą tradycję polskiej archeologii śródziemnomorskiej. W 2007 r. obchodziliśmy 70-lecie pracy polskich archeologów nad Nilem, licząc od pobytu prof. Kazimierza Michałowskiego w składzie misji francuskiej w 1937 r.

W ramach tego jubileuszu udało się nam, dzięki uprzejmości ówczesnego szefa egipskiej Organizacji Starożytności dr. Zahiego Hawassa, umieścić przed Muzeum Narodowym przy placu Tahrir popiersie Michałowskiego wśród innych światowej sławy egiptologów. Zorganizowaliśmy też wystawę zabytków starożytności egipskiej odkrytych przez polskich archeologów. Jeśli czegoś jest mi naprawdę szkoda, to tego, ↦

↦ że Polacy zbyt mało wiedzą o dorobku prof. Michałowskiego i jego znakomitych uczniów i następców.

Jeszcze od czasów otomańskich trwał spór o to, na czym oprzeć tożsamość nowego państwa: na Egipcie faraonów czy też na tradycji arabskiej. Czy otwarcie niedawno, w listopadzie, Wielkiego Muzeum Egipskiego oznacza, że wzrasta znaczenie tego pierwszego?

W wieku XIX oraz w pierwszej połowie wieku XX wielu przedstawicieli egipskich elit uważało, że nowoczesną tożsamość narodu powinno się budować na dziedzictwie starożytnym. Była to idea tzw. faraonizmu, bazująca na przekonaniu, że Egipt ze swym dziedzictwem jest cywilizacyjnie odrębny od reszty świata arabskiego.

Potem przyszła jednak epoka panarabizmu, proces dekolonizacji, zimna wojna, rządy prezydenta Gamala Abdela Nassera [rządził w latach 1956-70 – red.] i to arabskie imaginarium, podbudowane islamem, stało się ważniejsze.

Wydaje się, że dziś ten spór ma charakter przede wszystkim historyczny. Egipcjanie – zarówno muzułmanie, jak też chrześcijanie, Koptowie, którzy stanowią ok. 10 proc. ludności kraju – powołują się na to, że są kontynuatorami dziedzictwa sięgającego starożytności.

Jednak władza obecnego prezydenta Sisiego świadomie odwołuje się do faraonizmu. W 2021 r. ulicami Kairu przeszła procesja z mumiami 20 faraonów. Także Wielkie Muzeum Egipskie, zbudowane w Gizie, wygląda jak powrót do starożytnego rdzenia państwa.

Owszem, ale takie odwoływanie się charakteryzowało w różnym stopniu również jego poprzedników. Jest to jednak powrót pragmatyczny. Prezydent Sisi wie, że starożytność to marka globalna. To coś, co daje Egiptowi tzw. miękką siłę, czego nie mają ani Arabia Saudyjska, ani Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Wspomniana Złota Parada Mumii, która odbyła się 3 kwietnia 2021 r., to było uroczyste przeniesienie, w wojskowej asyście, mumii przywódców starożytnego państwa ze starego Muzeum Narodowego do również nowo wybudowanego Narodowego Muzeum Cywilizacji Egipskiej.



MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

JAN NATKAŃSKI (ur. 1941) jest arabistą, był ambasadorem Polski w Kuwejcie (1994-2000) i Egipcie (2004-2008). Współautor, wraz z Agatą Kasprolewicz, cyklu podkastów „Opowieści arabskie".

Był to komunikat: „Jesteśmy spadkobiercami ogromnej cywilizacji, a państwo potrafi ją pokazać światu z rozmachem". Władze inwestują w duże projekty – w muzea, infrastrukturę, a także w nową stolicę administracyjną kraju, która powstaje 45 km na wschód od Kairu, na pustyni – bo wiedzą, że w Egipcie wielkie projekty wciąż działają na wyobraźnię.

Ta Złota Parada Mumii była częścią uroczystości otwarcia Narodowego Muzeum Cywilizacji Egipskiej. Składa się ono z kilkunastu galerii prezentujących różne okresy historii Egiptu: od czasów predynastycznych do współczesnych. Już przyciąga tłumy zwiedzających.

Na ile ten powrót do starożytności jest odpowiedzią na kryzys idei jedności arabskiej?

Po II wojnie światowej w świecie arabskim próbowano budować jedność. Powstała Liga Państw Arabskich, której celem była koordynacja polityki państw arabskich powstających na fali dekolonizacji. Jedność arabska była zwykle ważnym elementem programów także powstających po II wojnie arabskich partii politycznych, np. partii Baas. Jednak w drugiej połowie XX w. narosły rozbieżności między krajami arabskimi. Tożsamość narodową zaczęto budować na bazie przynależności państwowej.

Dziś na pytanie „kim jesteś" słyszymy odpowiedzi: Kuwejtczykiem, Marokańczykiem, Egipcjaninem. Egipt wraca do starożytnego rdzenia. Podobnie zwracają się do swej historii inne państwa arabskie, szukając w niej źródła współczesnej tożsamości narodowej. W ostatniej dekadzie robi tak np. Arabia Saudyjska. Egipt, który wciąż chce pozostać jednym z liderów świata arabskiego, sięga tu do swej wielowiekowej historii. Faraonizm, odpowiednio opakowany, właśnie temu służy.

Dlaczego powstało Wielkie Muzeum Egipskie?

Pomysł ogłosił w 1992 r. ówczesny prezydent Hosni Mubarak. Jednak wtedy Egipt nie miał pieniędzy na takie projekty. Potem ruszyła machina wielkich inwestycji. W 2002 r. zainaugurowała działalność Bibliotheca Alexandrina, nawiązująca do słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej, spalonej w I wieku p.n.e. Wcześniej w Kairze wybudowano nową siedzibę opery.

Powstał też imponujący most nad Kanałem Sueskim, oficjalnie nazywany Mostem Przyjaźni Egipsko-Japońskiej, ponieważ powstał dzięki pieniądzom z Japonii. Jest on zawieszony 70 metrów nad lustrem wody i długi na cztery kilometry. Nieco później zbudowano tunel pod Kanałem Sueskim. To są wszystko symbole nowego państwa, które aspiruje do nowoczesności.

Jaka jest rola nowych muzeów? Władza traktuje je jako element szerszej narracji?

Bez wątpienia. W Egipcie wielkie projekty zawsze niosły w sobie ideę państwowej dumy. Tak było za Nassera z tamą w Asuanie, za Mubaraka z modernizacją Kairu, tak jest dziś z Sisim.

Wielkie Muzeum Egipskie jest szóstym muzeum na świecie pod względem wielkości powierzchni wystawienniczej i największym poświęconym pojedynczej cywilizacji. Ma kilkanaście galerii eksponujących zabytki Egiptu starożytnego – od okresu predynastycznego do okresu rzymskiego włącznie.

Naturalnie, wszystkie eksponaty to zabytki egipskie i nie jest ważne, kto je odkrył. Ale mnie cieszy informacja, że w galerii predynastycznej znalazły się eksponaty odkryte przez polskich archeologów z misji w Tel El-Farcha w Delcie Nilu, kierowanej od dekad przez prof. Krzysztofa Ciałowicza z UJ. Wielkie Muzeum Egipskie ma też specjalną galerię dla ekspozycji wszystkich artefaktów z grobowca Tutenhamona, odkrytego w 1922 r.



TASOS KATOPODIS / GETTY IMAGES

Do końca tej dekady Egipt chce przyjmować ponad 30 mln turystów rocznie, a Wielkie Muzeum Egipskie to klucz do tego planu. W pobliżu władze budują też nowe lotnisko Sphinx Airport. Na zdjęciu: widok na muzeum, w tle jedna z piramid w Gizie. 1 listopada 2025 r.

Można oczekiwać, że Wielkie Muzeum Egipskie w Gizie przyciągnie też turystów.

Jednym z filarów egipskiej gospodarki jest turystyka. Daje wiele miejsc pracy i stanowi ok. 10 proc. PKB. Egipcjanie chcieliby, aby było to więcej. Do końca tej dekady Egipt chce przyjmować ponad 30 mln turystów rocznie, gdy w 2024 r. było ich 15 milionów. Wielkie Muzeum Egipskie to klucz do tego planu. Władze budują też infrastrukturę wokół piramid: lotnisko Sphinx Airport i nowe drogi.

W praktyce każdy, kto przyjedzie pod piramidy, przejdzie przez nowe muzeum. Jest to więc gigantyczna maszyna edukacyjno-biznesowa. Prezydent Sisi myśli monumentalnie: nowe miasta, wielkie mosty, elektrownia atomowa, modernizacja armii, gigantyczne inwestycje turystyczne. Patrząc na historię Egiptu, zwłaszcza po II wojnie światowej, to nie jest tylko jego sposób rządzenia: pokazać obywatelom, że państwo działa, buduje, inwestuje.

Z drugiej strony, Egipt zawsze miał ciągoty do monumentalizmu. To kraj, w którym mit państwa jest bardzo silny. Ludzie oczekują od władzy tego, czego oczekiwało się od faraonów czy mameluków: sprawności, siły i porządku. A nowe muzea są opowieścią – o ciągłości, o dziedzictwie, ale także o nowoczesności i potędze państwa.

Jak ta opowieść wygląda w Wielkim Muzeum Egipskim?

Największe wrażenie wywarła na mnie historia z pomnikiem Ramzesa II, który od 1954 r. stał przy głównym dworcu w centrum Kairu. Ten ważący 83 tony kolos, wysokości 11 metrów, został przewieziony do nowego muzeum na specjalnej platformie i dziś wita w nim gości. Niektórzy w Egipcie mówili, że to „powrót faraona do domu". Zadziałało to na masową wyobraźnię.

Niewątpliwie otwarcie Wielkiego Muzeum Egipskiego wzmacnia prestiż prezydenta. Ale jest ono także inwestycją praktyczną, bo nową. Kto chce odwiedzić Luksor, Karnak czy Dolinę Królów, jest skazany na spacerowanie w tłumach. Władza stara się temu jakoś zaradzić: buduje nowe ośrodki turystyczne, chce bardziej równomiernie rozłożyć ruch turystyczny.

Wspomniał Pan o napięciu między symboliczną wielkością a codziennym życiem.

Myślę, że prezydent Sisi wierzy, iż materialne dziedzictwo – wielkie projekty – utrzymają jego kraj w równowadze. Chodzi nie tylko o Wielkie Muzeum Egipskie. Mam na myśli także elektrownię atomową, którą za ponad 30 mld dolarów Rosjanie budują pod Aleksandrią. Kilka tygodni temu położono kamień węgielny pod budowę jej czwartego bloku.

Już w ubiegłej dekadzie powstała druga nitka Kanału Sueskiego kosztem 8 mld dolarów. Na tę inwestycję rozpisano pożyczkę narodową. Wprawdzie wydarzenia w regionie – wojna w Gazie i działalność Huthich w Jemenie – doprowadziły do spadku dochodów, który dawały statki handlowe płynące tym Kanałem, ale jest to spadek czasowy.

Dalej: Egipt zawarł porozumienie ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi o budowie Ras Al-Hikma City – nowego miasta z lotniskiem na zachód od Aleksandrii. Wartość tej inwestycji to 36 mld dolarów.

Wreszcie, za ponad 50 mld dolarów powstaje na obszarze 700 km kwadratowych wspomniana już Nowa Stolica Administracyjna. Dla porównania: Warszawa liczy 500 km kwadratowych. Budowa zaczęła się w 2015 r., a pierwsze dwa budynki, które powstały, to Wielki Meczet i katedra koptyjska. W nowym parlamencie odbyła się już inauguracja obecnej kadencji prezydenta Sisiego.

To współczesny egipski faraon?

Prezydent rządzi autokratycznie, ale nie sądzę, aby ktoś nazywał go kolejnym faraonem. Podobnie jak nie nazywano tak Mubaraka, chociaż obaj świadomie nawiązywali do tradycji dawnych władców.

Gdy przyjechałem do Kairu jako przedstawiciel Polski, w lutym 2004 r., prezydent Mubarak przyjmował akredytacje od nowo przybyłych ambasadorów tylko dwa razy w roku. Ambasad było 162, rotacja ambasadorów spora, więc podczas takiej okazji przedstawiano mu zawsze co najmniej kilkunastu dyplomatów.

Niefortunnie przyjechałem dwa tygodnie po poprzedniej uroczystości. Kiedy doczekałem kolejnej, byłem pierwszym, który złożył listy uwierzytelniające prezydentowi. Prezentacja była zwięzła, krótka, w drzwiach stał już następny ambasador. Do dziś mam, wycięte nazajutrz z gazety, zdjęcie z tej prezentacji. Na nim z jednej strony przedstawiono prezydenta, a z drugiej – każdego z ponad dwudziestu ambasadorów, w rządku, jeden za drugim.

Wie pan, co mi to przypomina? Gdy się pójdzie do dowolnego grobowca w Dolinie Królów, często można się natknąć na podobny obrazek. Z jednej strony faraon, a z drugiej – różnej rangi poddani niosący mu dary. Jeden za drugim.

© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

Za plecami Orbána

PIOTR OLEKSY Z BRUKSELI

ROZSZERZENIE UNII | W cieniu wojny i zabiegów o pokój toczy się inna, równoległa gra o Ukrainę, a także Mołdawię. Jaki jest stan tej gry? Nasz autor pytał o to w unijnej stolicy.

Członkostwo Ukrainy w Unii Europejskiej jest jednym z punktów pierwotnej wersji planu pokojowego Donalda Trumpa (tego opracowanego, jak już wiemy, z dużym udziałem Rosji), jak też jego korekty, przygotowanej przez liderów Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii.

Już od jesieni 2023 r. rozszerzenie Unii określane jest mianem „geostrategicznej inwestycji w pokój, bezpieczeństwo, stabilność i dobrobyt". Wydawałoby się więc, że w kwestii tej panuje zgoda – nawet trochę zaskakująca. Częściowo wyłamują się z niej tylko Węgry, które sprzeciwiają się otwarciu negocjacji z Kijowem.

Za tym unijnym konsensusem kryje się jednak wiele niedopowiedzeń.

DOBRE OCENY | Na początku listopada Komisja Europejska pozytywnie oceniła postępy Albanii, Czarnogóry, Mołdawii i Ukrainy w procesie akcesyjnym. Pierwsze dwa kraje są już na naprawdę zaawansowanym etapie w ich drodze do Unii. Faktyczna gra toczy się o Ukrainę i Mołdawię, które status kandydacki otrzymały w czerwcu 2022 r. Obecnie czekają na otwarcie negocjacji akcesyjnych.

Tyle że określenie „negocjacje" jest mylące. W istocie nie ma tu pola do pertraktacji – cały proces polega na realizacji wymogów Brukseli. Podobnie było zresztą, gdy do Unii wchodziła Polska.

Reformy wymagane w tym procesie od krajów kandydujących podzielono na sześć pakietów tematycznych, zwanych klastrami. Komisja stwierdziła, że w przypadku Ukrainy i Mołdawii można otworzyć negocjacje w trzech z sześciu z nich.



JACEK TARAN

Ukraińcy płacą wysoką cenę za wejście do struktur zachodnich. Na zdjęciu: miejsce pamięci na kijowskim Majdanie. Ukraina, 10 listopada 2024 r.

Ta pozytywna opinia odnosi się do klastra „kwestii fundamentalnych" (ma on największą wagę: dotyczy wymiaru sprawiedliwości, praw człowieka, bezpieczeństwa i gospodarki rynkowej), a także do klastrów „stosunki zewnętrzne" i „rynek wewnętrzny".

Jednocześnie wyrażono oczekiwanie, że do końca roku Kijów i Kiszyniów będą gotowe na otwarcie trzech kolejnych klastrów, dotyczących konkurencyjności i wzrostu; zielonej agendy, infrastruktury, energetyki i sfery cyfrowej; zasobów, rolnictwa i spójności.

BLOKADA ORBÁNA | Sytuacja jest jednak patowa: rządy państw kandydujących wdrażają reformy, Komisja Europejska ocenia je pozytywnie, ale otwarcie negocjacji nie jest możliwe ze względu na weto Węgier. Viktor Orbán otwarcie sprzeciwia się przyjęciu Ukrainy do Unii. Początkowo uzasadniał to obawą przed wciąganiem Unii w wojnę, teraz mówi o zagrożeniu dla węgierskiej gospodarki. Co ważne, jego sprzeciw nie dotyczy innych kandydatów.

O ile proces negocjacji w imieniu całej wspólnoty nadzoruje Komisja, to decyzję o otwarciu kolejnych klastrów podejmuje Rada Unii Europejskiej – organ, który gromadzi ministrów ze wszystkich państw członkowskich, odpowiedzialnych za tematykę, nad którą obraduje Rada. Decyzja ta musi zostać podjęta jednomyślnie, dlatego bez zgody Węgier proces formalnie będzie stać w miejscu.

KREATYWNOŚĆ | Komisja i pozostałe państwa członkowskie próbują zaradzić tej blokadzie na kilka sposobów. Przede wszystkim, prace techniczne i proceduralne są nieustannie realizowane, by nie tracić czasu. Co więcej, to sama Komisja nadaje im tempo, do czego została zobligowana przez 26 członków Rady – wszystkich poza Węgrami.

To sytuacja bez precedensu, gdyż dotąd w przypadku rozszerzenia urzędnicy na każdym etapie czekali na decyzje polityczne. Teraz chodzi jednak o to, by osiągnąć stan, w którym otwarcie poszczególnych klastrów mogłoby być już tylko formalnością, po której szybko nastąpi ich zamknięcie.

Bruksela i Kijów czekają więc na wybory parlamentarne na Węgrzech, które odbędą się w kwietniu 2026 r. Jest nadzieja, że jeśli Orbán straci władzę, to nowy rząd wycofa weto w sprawie członkostwa Ukrainy. A jeśli Orbán przetrwa, to jest nadzieja, że po wyborach będzie bardziej skłonny do rewizji swego stano-

wiska – w zamian za profity dla Węgier i jego obozu.

MOBILIZACJA | Na kwiecień czeka też Mołdawia, której los został związany z losem Ukrainy. W wyborach parlamentarnych, które odbyły się w Mołdawii pod koniec września br., proeuropejska Partia Działania i Solidarności utrzymała samodzielną większość, mimo działań dezinformacyjnych i destabilizujących ze strony Rosji i lokalnych sił z nią związanych.

Mołdawia stała się więc przykładem świadczącym, że idea integracji europejskiej nadal mobilizuje masy społeczne, a odporność na działania Moskwy jest możliwa. Co więcej, realizacja skutecznych reform w tym niewielkim, liczącym 2,7 mln mieszkańców kraju wydaje się bardzo realna.

Kiszyniów zapowiada, że zakończy negocjacje akcesyjne w 2028 r., a Komisja potwierdza, że to możliwe. Nieoficjalnie natomiast obóz rządzący Mołdawią mówi coraz częściej o roku 2027, dzięki czemu wstąpienie tego państwa do Unii byłoby możliwe rok później – przed następnymi wyborami prezydenckimi. Chodzi o to, by nie wystawiać na kolejną próbę społeczeństwa, które bierze na swe barki koszty reform.

ZAKŁADNICZKA | Rzecz jednak w tym, że Rada Unii wydaje zgodę na otwarcie kolejnych etapów wspólnie dla Ukrainy i Mołdawii. Ma to wymiar praktyczny i symboliczny.

Po pierwsze więc, słyszymy argument, że sama Mołdawia nie ma takiej wagi, która nakazywałaby popychanie procesu akcesyjnego do przodu, więc korzysta na związaniu jej z większą sąsiadką. Po drugie zaś chodzi o to, że wyprzedzenie Ukrainy przez Mołdawię byłoby ciosem dla tej pierwszej – uderzyłoby w sferę godności narodu walczącego o wolność. Mogłoby to się odbić negatywnie na relacji Kijowa z Brukselą i stosunku Ukraińców do Unii.

Rozdzielenie tego duetu – tak, by Mołdawia nie była swoistą zakładniczką – nie jest jednak niemożliwe. To decyzja polityczna, nie prawna. W przeszłości w takiej sytuacji były Albania i Macedonia Północna. Negocjacje tej drugiej zahamowała Bułgaria, ze względu na konflikt w sferze pamięci i tożsamości. Po jakimś czasie Rada rozdzieliła oba państwa w procesie decyzyjnym.

Kiszyniów po cichu liczy na podobne rozwiązanie, jeśli węgierskie weto wobec Ukrainy będzie trwać. To jednak kwestia drażliwa, niepodnoszona publicznie. Z góry wiadomo, że przeciwne rozdzieleniu będą np. Litwa, Łotwa i Estonia, które swe stanowisko w tej kwestii mocno wiążą z oczekiwaniami Kijowa.

NADDNIESTRZE | Z Mołdawią związany jest jeszcze jeden problem, który obrazuje obecny model polityki rozszerzenia Unii. Polega on na dążeniu do postępów tam, gdzie są one możliwe bez względu na przeszkody, które w przyszłości się pojawią. W tym wypadku chodzi o Naddniestrze: separatystyczną republikę, w której stacjonują rosyjskie jednostki.

W ostatnich latach charakter relacji między władzami Mołdawii a prorosyjskimi separatystami znacząco się zmienił. Dotyczy to zwłaszcza sfery energetycznej: dziś dostawy gazu do Naddniestrza są zależne od dobrej woli Kiszyniowa. Ponadto rząd Mołdawii przestał kupować od separatystów prąd.

W efekcie Naddniestrze funkcjonuje dziś na granicy wydolności gospodarczej i budżetowej, przez co jego utrzymywanie jest coraz mniej atrakcyjne dla rządzących nim oligarchów. Jego ludność jest zaś w coraz gorszym położeniu.

Można narysować dwa scenariusze rozwiązania tego problemu. Według pierwszego, sam proces wchodzenia Mołdawii do Unii, przy jednoczesnym zwiększaniu nacisku na władze Naddniestrza, stworzy warunki dla jego reintegracji.

Drugi scenariusz to „wariant cypryjski". Cypr przyjęto do Unii w 2004 r., ale ta jego część, na terenie której funkcjonuje separatystyczna i wspierana przez Turcję republika, została wyjęta z tego procesu do czasu uregulowania konfliktu. Podobnie Mołdawia mogłaby dołączyć do Unii, zawieszając funkcjonowanie unijnego prawa i unijnych profitów na terenie Naddniestrza. Byłby to zresztą dodatkowy „kij i marchewka" dla jego reintegracji.

WOBEC KORUPCJI | Kiszyniów obawia się dziś przede wszystkim tego, że nadmierne skupianie uwagi na problemie Naddniestrza obudzi obawy wśród części europejskich elit. Ten mechanizm wykorzystuje już Rosja, która regularnie prowokuje małe kryzysy energetyczne w Naddniestrzu. Wstrzymując dostawy gazu do swojego protektoratu, chce pokazać Europie, że Mołdawia to przede wszystkim problemy.

Z kolei dla Ukrainy wyzwaniem, które uderza w jej wizerunek jako przyszłego członka Unii, jest – obok wojny – korupcja. Obecnie w Brukseli dominuje narracja, że fakt, iż ukraińskie służby (NABU i specjalna prokuratura antykorupcyjna SAP) zdołały ujawnić tzw. Mindiczgate – schemat korupcyjny, w który zaangażowany był Timur Mindicz i inni ludzie z otoczenia prezydenta Zełenskiego – świadczy o tym, jak bardzo zmienia się kultura polityczna tego państwa.

Europeizacja jest tu zaś przedstawiana jako czynnik jednoznacznie pozytywny, który nie tylko ogranicza patologie, ale powoduje również, że sami Ukraińcy stawiają przed sobą cel szerszy niż „tylko" walka z rosyjskim najeźdźcą.

ZA PLECAMI | Trudno zaprzeczyć, że integracja z Unią jest zarówno ideą, jak też realnym procesem, dzięki którym Ukraina ma szansę stać się lepszym państwem, gwarantującym szanse rozwoju zarówno swoim obywatelom, jak i sąsiadom. Takiej Ukrainy potrzebuje Polska, Europa Środkowa i cała Unia.

Jednak wspomniane problemy, na razie odsuwane na dalszy plan, mogą rozpalić jeszcze wyobraźnię europejskiej opinii publicznej. Nietrudno wyobrazić sobie, że w przypadku przejęcia władzy w którymś z państw unijnych przez siły niechętnie Ukrainie lub sprzyjające Rosji – jak np. skrajnie prawicowe Zjednoczenie Narodowe we Francji – posłużą za pretekst do zablokowania rozszerzenia.

Dlatego czas gra tak ważną rolę. Węgierska blokada jak na razie opóźnia jedynie formalne decyzje, a nie realne procesy. Pytanie jednak, jak wielu europejskich przywódców chowa się tak naprawdę za plecami Orbána?

Moment, w którym Budapeszt wycofa swoje weto, może być prawdziwym sprawdzianem dla idei rozszerzenia jako „geostrategicznej inwestycji" Unii Europejskiej. ©

Autor pracuje na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i Instytucie Europy Środkowej w Lublinie; jest stałym współpracownikiem „TP".

Lojalni przez łzy



TOMASZ OTOCKI Z ŁOTWY

POLSKA MNIEJSZOŚĆ | Polacy żyjący nad Dźwiną nie budzą takiej uwagi Warszawy jak ich rodacy na Litwie. Sprzeciwu nie wywołuje nawet ograniczanie ich stanu posiadania przez państwo łotewskie w ostatnich latach.

Mimo ciosów wymierzonych w działalność polonijną – takich jak przekształcenie polskich szkół w łotewskojęzyczne czy likwidacja audycji radiowej założonej jeszcze przez Itę Kozakiewicz, zmarłą w 1990 r. legendarną założycielkę Związku Polaków na Łotwie – tutejsi Polacy mają sukcesy. Właśnie zakładają Związek Młodych Polaków, a w stołecznej Rydze rozwija się stowarzyszenie „Silesia".

W dwumilionowym kraju żyje ich ok. 38 tysięcy. Opowiedzmy o ich kłopotach.

DOKRĘCANIE | – Trochę mnie poniosło, chyba się rozpisałam – przyznaje w wymianie zdań Krystyna Kunicka-Dzalbe, sekretarz Związku Polaków na Łotwie.

Jednak ma ona prawo do emocji. Wylicza: – Władze łotewskie, kolokwialnie mówiąc, dokręcają nam śrubę w wielu dziedzinach. Od 1 stycznia 2026 r. nie będzie nadawana w Łotewskim Radiu audycja „Nasz Głos", stworzona 36 lat temu przez Itę Kozakiewicz. Nie będzie funkcjonować polska strona portalu LSM, czyli państwowe medium nie chce już polskich tekstów, bo niby nie ma takiej potrzeby.

Kunicka-Dzalbe mówi, że pewne zjawiska na Łotwie zaczynają przypominać jej okres międzywojennej dyktatury Kārlisa Ulmanisa, gdy po 1934 r. prawa mniejszości polskiej zostały ograniczone.

Media to nie jedyny problem. Rok temu została zamknięta polska szkoła podstawowa w Krasławiu, jedna z czterech funkcjonujących dotąd w kraju. Nie z powodu złośliwości samorządu – po prostu, miejscowi Polacy nie posyłali do niej dzieci, szkoła od lat była „na kroplówce" łotewskich władz, a przede wszystkim państwa polskiego.

Mimo wszystko to poważna strata. Krasław, historyczne gniazdo Platerów, to ważny punkt na mapie polskości w dawnych Inflantach Polskich, obecnie zwanych Łatgalią. Wciąż działa tu lokalny oddział Związku Polaków na Łotwie, a Ośrodek Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą wysyła nauczycielkę z Polski, by wykładała język w miejscowej szkole mniejszościowej „Varavīksne".

SZKOŁY | Większą stratą niż zamknięcie małej szkoły w Krasławiu jest całkowite przejście szkół mniejszości na nauczanie w języku państwowym. Stosowna ustawa, uchwalona kilka lat temu, w swojej intencji wymierzona jest w mniejszość rosyjską (stanowiącą jedną czwartą populacji; to głównie potomkowie ludzi osiedlonych tu w czasach sowieckich – część z nich bywa nielojalna wobec państwa). Jednak uderzyła rykoszetem w mniejszości narodowe, które odrodziły się po 1989 r.

Odrodzenie polskiej społeczności to zasługa m.in. wspomnianej Ity Kozakiewicz: patriotki Polski i Łotwy, działaczki Łotewskiego Frontu Narodowego, pierwszej prezeski odrodzonego Związku Polaków. Wraz z Łotyszami, 4 maja 1990 r. zagłosowała w ówczesnej Radzie Najwyższej łotewskiej republiki za niepodległością kraju od Związku Sowieckiego.

– Mam żal do władz za wszystkie wdrożone w ciągu ostatnich 30 lat reformy. Doprowadziły do tego, że w szkołach polskich język polski jest nauczany w takim samym wymiarze jak język obcy. Moja córka na przykład w siódmej klasie ma tygodniowo trzy lekcje polskiego i trzy lekcje angielskiego – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Kunicka-Dzalbe. To żal wielu Polaków nad Dźwiną, mało słyszalny w Warszawie.

Pomijając kwestie proporcji językowych w szkole, polscy nauczyciele starają się je uczynić polskimi szkołami „z ducha". – Mamy imprezy patriotyczne, świetlice, zespoły, harcerzy, lecz to już nie to samo, co kiedyś – dodaje sekretarz Związku Polaków na Łotwie, narzekając jednocześnie na słaby udział lokalnych pedagogów w życiu polonijnym.

SILESIA | Podsumowując: Polacy nad Dźwiną rzeczywiście dostali ostatnio w kość. Jedna sprawa to szkoły, druga – media polonijne. Na ograniczenie ich praw nie zareagowała Warszawa, zajęta tematyką choćby Polaków na Litwie, mających większą siłę przebicia.

Nie oznacza to jednak, że Polacy na Łotwie się poddają.

Mariusz Duka, Polak z Górnego Śląska, który kilkanaście lat temu osiedlił się w Rydze i znalazł tu łotewską żonę, właśnie sfinalizował imprezę, którą prowadzi od kilku lat w ramach swojego Stowarzyszenia na rzecz Relacji Polsko-Łotewskich „Silesia".

To festiwal filmów polskich w Rydze. Odbywa się regularnie jesienią i jest oczkiem w głowie Duki (choć „Silesia" prowadzi jeszcze masę innych aktywności kulturalnych w stolicy). Jako jeden z ekspatów, którzy są aktywni w Rydze, Duka patrzy w przyszłość optymistycznie – inaczej niż Kunicka-Dzalbe (jej rodzina od pokoleń mieszka w Inflantach).

– Uważam, że polskość na Łotwie ma się dobrze, jest widoczna, aktywna



TOMASZ OTOCKI

Łotewscy Polacy są lojalni wobec państwa, w którym żyją, mimo że ich prawa są ograniczane. Na zdjęciu: sala pamięci w polskiej szkole w Rzeżycy, listopad 2025 r.

i obecna w życiu publicznym. Choć zamknięcie szkoły w Krasławiu było symbolem zmieniających się czasów, równocześnie rozwijają się nowe ośrodki, jak Polskie Centrum im. Jana Pawła II w Rydze, pełniące ważną rolę w życiu kulturalnym i edukacyjnym – mówi Mariusz Duka w rozmowie z „Tygodnikiem".

Według niego największym wyzwaniem jest dziś utrzymanie kontaktu z młodzieżą i docieranie do nowych pokoleń.

ENTUZJAŚCI | Młodzi Polacy na Łotwie ostatnie lata nieco przespali. Kiedyś aktywnie funkcjonował założony w 1998 r. w Rydze Związek Młodych Polaków na Łotwie; później zaprzestał działalności. – Młodzi Polacy mają obecnie tyle zajęć, tyle możliwości, że po prostu przez lata ignorowali działalność polonijną – mówi mi jedna z nauczycielek polskich szkół na Łotwie (trzy obecnie istniejące są w Rydze, Rzeżycy i Dyneburgu).

Teraz kilku młodych entuzjastów z Gimnazjum Polskiego im. Stefana Batorego w Rzeżycy chce odrodzić organizację. Wspiera ich Związek Polaków na Łotwie, kierowany obecnie przez Pēterisa Dzalbego, lokalnego polityka z Łatgalii. Jest on przedstawicielem młodego pokolenia działaczy, w 2023 r. zastąpił Ryszarda Stankiewicza w roli prezesa.

– Pomysł wyszedł od nas. Potrzebowaliśmy miejsca, gdzie młodzi Polacy mogliby działać razem, rozwijać zainteresowania i dbać o polską kulturę. Na początku chcieliśmy stworzyć małe stowarzyszenie tylko dla Rzeżycy. Ale po rozmowie z pierwszą dyrektorką naszej szkoły, Walentyną Szydłowską, zdecydowaliśmy, że lepiej będzie działać w całym kraju – mówi „Tygodnikowi" Renāts Kondrovs.

Ten 18-letni uczeń szkoły polskiej właśnie został prezesem organizacji.

SPECYFIKA | Organizacja młodych ma historycznych poprzedników. W okresie międzywojennym na Łotwie działał Związek Polskiej Młodzieży Katolickiej. Po 1940 r., gdy kraje bałtyckie zostały anektowane przez Związek Sowiecki, cała działalność polska została stopniowo skasowana. Polskie szkoły na Łotwie przetrwały gdzieniegdzie tylko do 1948 r.

Dlatego tak trudno było odrodzić polskość nad Dźwiną. Inaczej niż w sąsiedniej litewskiej republice sowieckiej – gdzie przed upadkiem komunizmu w 1991 r. istniały polskie szkoły i zespoły ludowe, a w kioskach można było nabyć „Czerwony Sztandar" (propagandowy, ale polskojęzyczny), łotewska republika sowiecka całkowicie pozbyła się Polaków z przestrzeni publicznej.

Dopiero w latach 70. XX w. zaczął działać „Polonez", stowarzyszenie Polaków z Rygi, w którym swe pierwsze kroki stawiała Ita Kozakiewicz. To m.in. dzięki niej odrodziło się tu szkolnictwo polskie, w latach 90. XX w. działające jeszcze ze sporym polskim komponentem, a dziś właściwie całkowicie złotyszyzowane.

Od czasu reformy oświatowej, która weszła w życie kilka lat temu, język polski wykłada się w tych szkołach jako przedmiot. To odróżnia polskie szkoły nad Dźwiną od tych na Wileńszczyźnie, gdzie młodzi Polacy uczą się po polsku matematyki, geografii czy chemii.

LOJALNOŚĆ | Dyrektorka polskiej szkoły w Rzeżycy, Olga Burowa, w rozmowie z „Tygodnikiem" ma zresztą wątpliwości, czy przeniesienie modelu litewskiego na Łotwę miałoby sens.

– Sytuacja szkół polskich w obu krajach różni się pod względem uwarunkowań prawnych, historycznych i demograficznych. Model nauczania z szerszym wykorzystaniem języka polskiego, podobny do tego funkcjonującego na Wileńszczyźnie, niewątpliwie sprzyjałby pielęgnowaniu języka, tradycji i tożsamości polskiej – przyznaje Burowa.

Jest jednak małe „ale": – W warunkach łotewskiego systemu edukacji najbardziej właściwy pozostaje model zintegrowany: szkoła, w której nauczanie odbywa się w języku łotewskim, przy równoczesnym utrzymaniu silnego komponentu polskiego w zakresie języka, historii, kultury i działalności pozalekcyjnej.

Trochę brzmi to jak wypowiedź poprawna politycznie – nauczyciele polscy nie lubią wychylać się z krytyką władz łotewskich. Co odróżnia ich od pedagogów rosyjskich, którzy brali udział w protestach przeciw reformie oświaty na Łotwie.

Polacy przyjęli inną taktykę. „Nie jesteśmy krzywdzeni" – podkreślała wiele razy w rozmowie z mediami nieżyjąca już była prezeska Związku Polaków na Łotwie, Wanda Krukowska, gdy Łotysze wprowadzali kolejne reformy.

To charakteryzuje łotewskich Polaków od dawna: pełna lojalność wobec państwa, w którym mieszkają, nawet za cenę rezygnacji z części swoich praw. Podczas moich kolejnych podróży miałem możliwość usłyszeć wiele razy, jak Polacy znad Dźwiny dziwili się rodakom z Litwy, „zadzierającym" z władzami w Wilnie.

PRZYSZŁOŚĆ | Mimo gorzkich słów pod adresem państwa, Krystyna Kunicka-Dzalbe stara się o pogodę ducha. Choćby za sprawą aktywnej działalności Związku Polaków na Łotwie, który w 2022 r. obchodził stulecie i jest jedną z najstarszych organizacji polonijnych działających w regionie.

– Polskość na Łotwie powinna się dostosowywać do współczesnych warunków, możliwości i potrzeb. Wybitny Łotysz Rainis mówił: „Będzie istniał ten, kto się zmieni". W tej chwili nie chodzi o to, abyśmy mieli liczbowo więcej członków jako Związek Polaków. Chodzi bardziej o jakość, o osoby, które będą aktywnie działać albo przynajmniej aktywnie uczestniczyć w wydarzeniach dla nich organizowanych – mówi „Tygodnikowi" sekretarz polonijnej organizacji. ©

TYGODNIK POWSZECHNY



Lepsze strony życia

Zamów nowe
Wydanie Specjalne „Tygodnika Powszechnego”
na sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ELIZA

Kącka: *Cicho*



Płock, taksówka, jazda na dworzec. Mijamy więzienie. „A wie pani, oni mają za dobrze”. „Aha”. „No nie sprawdzałem, ale ludzie mówią, że raj normalnie. Telewizor gra. Hotel”. „U, pewnie zależy, z kim się siedzi”. „No niby, ale chyba tam ogólnie nie ma subtelniaków. Ciężkie kary tu siedzą”. „Uhm”. „Wie pani, jak stado gawronów, hyhy. Ja czasem metafor używam. Przepraszam”. „Nie ma za co”. „Oj, różnie. Jeden gość mnie szurnął z roboty za metafory”. „Jak to?”. „No, zwyczajnie. Powiedział, że w warsztacie nie będzie tego słuchał. Pani się nie śmieje”. „Przepraszam”. „No, wrażliwy był. Żona, znaczy ta jego, mi powiedziała, że go to upokarza. A mnie się czasem wymsknie”. „Jasne”. „Klient mi jeszcze nigdy z wozu za to nie wyszedł”. „Ja tam lubię”. „Metafory? To napiwek poproszę”. „Hehe, proszę”. „A wracając do więźniów, to jak miałem kryzys, przez moment kombinowałem, jak tam się dostać. Żeby ktoś mnie utrzymywał. A potem pomyślałem, że się nie godzi tak żyć. Kiedy na chorych nie ma”.

Płock, samotna przebieżka przez miasto. Z dworca ku skarpie. Ziąb i smutek blokowisk, ale gna człowieka nadzieja na Wisłę i inne miasto, miasto w mieście, które schodzi ku wodzie. Schodzi, by podłapać aurę. Spółka z rzeką nakłada na budynki fluid tajemniczości, emancypuje z banału architektury płaskiej, bez asysty natury. Idę ku ulicy Themersonów. Deszcz zacina poziomo, gdy staję na rogu. Wrażenie, że nie ma tu nic: tyły boiska, plecy budynków, pustynia. Jak droga dostawcza na zapleczu magazynów, bezludzka. Wyciągam telefon i robię zdjęcie wylotowi ulicy z tablicą patronacką.

Obserwuje mnie staruszka z torbą na kółkach: „Pani tu sprawdza coś?”. „Ja? Nie”. „To po co robi zdjęcia, jak tu nic nie ma”. Uśmiecham się: „No właśnie dlatego”. Bada: „Pani musi być kontrolerka”. „U, ale jaka?”. „Co ja tam wiem. Nasłali. Zawsze nasyłają”. „Ale tu, na tę ulicę?” „Tu? Absurd! Tu nic nie ma”. Cofam się, ale zatrzymuje: „Ja przy Sienkiewicza mieszkam, porządna ulica”. „Ba, porządny patron”. Ucieszyła się: „A tak! Nie jakieś amerykańskie pomioty”. „Themersonowie? Themerson był stąd”. „Jakie tam »stąd«, toż widać, że nie”. „Urodził się tu”. Zirytowała się: „Pani, na to wpływu nie ma, kto się w Polsce urodzi”. „Ta, można przegapić i pozwolić”. „Nie przerywać! Nigdy nie będzie stąd. Ja nie muszę uznać”. Ruszyła. Minęłam pośpiesznie jej obrysowany złością profil. „Nie muszę uznać” – powtarzała.

Autobus z Lublina do Rzeszowa, wieczór późny. Większość pasażerów przysypia, jazda krótka. Po przekątnej sprzeczka. „Ludzie jadą, kobieto, nie przeszkadzaj”. „Ja też jadę”. „Bo ci bilet kupiłem”. „Odszczekaj, co na kebabie powiedziałeś”. „Ale co?”. „Że na próbę jesteśmy razem”. „A nie?”. „Człowieku, to już trzy lata trwa”. „I?”. „Mam dwadzieścia cztery”. „I?”. „Ślub albo do rodziców wracam”. „To trzeba było o tym wcześniej myśleć”. „Że?”. „Ja nierodzinny”. „Tak?! To po co na nasze groby jechałeś?”. „Bo mogłem. Ciszej mów”. „Nie będę ciszej! Jak ty mogłeś dziadziusiowi znicza palić?”. „Każdemu można”. „Nie! Na mój grób ja zapraszam”. „Ty jeszcze żyjesz”. „Wysiadaj”. „Nie mogę”. „Wysiadaj z mojego autobusu”. „Do Rzeszowa nie ma przystanków”. Starsza odwraca się: „Proszę pani, nie wszyscy muszą słuchać o waszej rodzinie”. „Ja z nim nie mam rodziny!”. Wskazuje na mnie: „Siadaj z tą facetką!”. Przegrupowaliśmy się.

Dworzec lubelski. Zapas czasowy, więc chwytam zapiekankę. I krążę z plecakiem. Siadam, próbuję wyciągnąć książkę, ale że się zaklinowała, to wykładam kable, torbę z ubraniami. Potem upycham. Przyglądają się dwie dziewczyny, żłobiące klawiaturę tipsem. I gość po pięćdziesiątce, który zahibernował w szoku poznawczym. W końcu przesiada się na moją grzędę siedzeń. „Czy można niedyskretnie?”. Przemieszczam kable: „A owszem”. „Pani Eliza?”. „Aha, tak”. „Dziękuję”. Przesiadł się na swoje miejsce. Dojadam zapiekankę, dziewczyny plotkują i śmieją się nerwowo. „Nie-mago”. „Głupi-jest”. „Jest na placu Wolności, pisze”. „Wbijamy?”. „Żartujesz, on tu wbija”. „Tu nie ma nic”. „Ty jesteś”. Patrzą się na mnie z rozbawieniem. Chyba mnie mają za bezdomną świata, w którym się nawołują. Gość przemyślał i znów się przysiada. „Pani Eliza?”. „Tak, owszem, skończyłam zapiekankę”. „Ja właśnie w tej sprawie”. „Aha?”. „Bo ja myślałem, że niemożliwe, że to pani”. „Ale dlaczego?”. „Bo pani zjadła zapiekankę. No i w ogóle”. „Ę? W ogóle?”. „No tak bezpańsko jakoś, nie wiem. Ja myślałem, że się wtedy inaczej żyje”. „Zależy. Ja nie”. Spojrzał niejasno. Nie wiem, czy z aprobatą. Obserwował mnie do odjazdu.

Rozmowa z mamą. „Ja już nigdzie nie chcę istnieć, za dużo”. „Bólu?”. „Bólu. Wiesz, ty sobie piszesz, wymyślasz, ty masz swoje konszachty. Ja nie mam tego”. „Masz nagi ból”. „Nie wiem, możesz sobie to nazwać, jak chcesz. Z choroby w chorobę”. „Wiem”. „Nie wiesz. Nie wiesz, ja zawsze miałam kogoś na plecach, od dzieciństwa. Ty dużo przy córce, a ja od zawsze. Zawsze ktoś, kto mnie przejmował. Nie mam już siły”. Milczymy. „Nie mam już siły, zawsze chciałam się przydać, zawsze uważałam, że jestem nieważna. Ale nie wytrzymuję. Źle wybierałam”. „Nie, mamo”. „Źle wybierałam. Zawsze uważałam, że trzeba wybrać życie. Ale dlaczego mnie wybrało, że muszę. Nie wiem. Cicho”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono” (Nagroda Nike 2025).

WIARA

CICHOSZA

„I kogo to obchodzi?": ze wszystkich pytań,
jakie wywołała wiadomość o zmianie na stanowisku metropolity krakowskiego,
to wydaje się najciekawsze. Pozwala zobaczyć inny kraj.

MICHAŁ OKOŃSKI

Jasne: Kościół katolicki wciąż pozostaje w nim jedną z najpotężniejszych instytucji publicznych, i potęgę tę można mierzyć zarówno statystykami chodzących na niedzielne msze (29 proc., choć są takie diecezje, w których liczba *dominicantes* przekracza 60 proc., i takie, w których wynosi 17 proc.), jak i majątkiem (sama parafia mariacka w Krakowie, z której proboszczem wojował dotychczasowy metropolita, jest właścicielką kilku kamienic, a do tego hotelu, pensjonatu, ośrodka wypoczynkowo-rekolekcyjnego i sporej liczby gruntów).

Zarazem jednak z ostatniego Narodowego Spisu Powszechnego „wyparowało" w porównaniu z poprzednim 6,6 mln katolików; przynależność do Kościoła zadeklarowało niewiele ponad 70 proc. Polaków. Jak wynika z badania IBRiS dla PAP, w ciągu ostatnich dziewięciu lat instytucja ta straciła zaufanie blisko jednej czwartej społeczeństwa: obecnie deklaruje je tylko 35,1 proc. Polaków, podczas gdy w 2016 r. było to 58 proc. Odsetek osób deklarujących brak zaufania wzrósł niemal dwukrotnie – z 24,2 proc. w 2016 do 47,1 proc. w 2025 r.; badacze zwracają uwagę, że dynamika tej zmiany należy do najintensywniejszych w dziejach ich sondaży.

Prześniona rewolucja

Ów spadek widać właściwie wszędzie. Co do mitu o wpływach Kościoła hierarchicznego na polską politykę, dla wszystkich jest już chyba jasne, że stał się on – właśnie – jedynie mitem. W ostatnich kampaniach wyborczych głos Kościoła był w zasadzie nieobecny – jakby nawet tradycyjnie podpierający się jego autorytetem politycy prawicy zrozumieli, że list biskupa czy kazanie proboszcza nie jest już tak skuteczne jak przed laty.

Miniona dziewięciolatka to przecież nie tylko rządy abp. Marka Jędraszewskiego w Krakowie (ten akurat nigdy nie krył swoich politycznych sympatii...). I nie tylko seria wstrząsających opinią publiczną doniesień na temat skali wieloletniego krzywdzenia wykorzystaniem seksualnym oraz systemowego tuszowania przestępstw z tej sfery w Kościele („Tylko nie mów nikomu", film braci Sekielskich, miał premierę w 2019 r.), a także skandali zupełnie bieżących (orgia na plebanii w Dąbrowie Górniczej odbyła się w 2023 r.). To także czas, w którym ujawniło się coś, co Jacek K. Sokołowski określił w „Transnarodzie" mianem prześnionej rewolucji seksualnej.

„U progu XXI wieku, zwłaszcza w większych miastach, wspólne zamieszkiwanie bez ślubu, rutynowe stosowanie antykoncepcji i zmiany partnera życiowego stały się zjawiskiem całkowicie normalnym i społecznie akceptowalnym. Co jednocześnie nie przeszkadzało temu pokoleniu tłumnie zjawiać się na niedzielnych mszach": zdaniem Sokołowskiego Kościół przez kilka dekad akceptował dwójmyślenie i nie domagał się od wiernych rygorystycznego wcielania swoich nauk w życie. Ale potem przyszło orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie tzw. kompromisu aborcyjnego, którego istotę autor „Transnarodu" zdefiniował dosadnym skrótem, że kompromisowość „polegała wyłącznie na tym, że aborcja była z łatwością dostępna nielegalnie, zaś oferujący ją lekarze nie byli – mimo obowiązującego prawa – ścigani".

W trakcie tej dziewięciolatki – dokładnie w październiku 2020 r. – władza PiS i stojący wówczas u jej boku Kościół hierarchiczny spróbowały zakończyć grę pozorów, mówiąc Polakom: „Teraz będziecie konserwatywni naprawdę". I usłyszały „Wy...ć!", nie tylko od Polski wielkomiejskiej, ale także powiatowej. Głos ten był naprawdę donośny i został przez polityków wzięty pod uwagę: podczas kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy w 2020 r. próba zogniskowania emocji wokół sporu o osoby LGBT nie przyniosła zysków wyborczych i kandydat wycofywał się z niej rakiem.

Powtórzmy: nie tylko w wielkich miastach to, co głosi Kościół instytucjonalny, przestało mieć znaczenie. Nawet jeśli nie wszyscy kaznodzieje na prowincji zdążyli to zauważyć, zarówno w kwestiach dotyczących etyki seksualnej, jak i np. stosunku do migrantów czy relacji polsko-niemieckich, biskupi mówią swoje, a Polacy myślą i robią swoje.

Ależ tak, oczywiście: sednem kościelnego nauczania nie są kwestie obyczajowo-światopoglądowe, tylko dobra nowina o zmartwychwstaniu Jezusa. Problem w tym, że słuchając kościelnych liderów, czasem trudno w to uwierzyć. ↦

Kardynał Grzegorz Ryś jeszcze jako biskup na Światowych Dniach Młodzieży w Krakowie. Ul. Gołębia, 31 lipca 2016 r.



GRAŻYNA MAKARA



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Kuria metropolitalna przy ul. Franciszkańskiej 3 i „papieskie okno" zamurowane na polecenie abp. Marka Jędraszewskiego – symbol jego rządów w archidiecezji krakowskiej, 10 marca 2023 r.

Gdzie sens

↦ Miejsce opustoszałe po chrześcijaństwie nie zostało zaanektowane przez rozum, lecz przez myślenie magiczne, astrologię, wróżbiarstwo i tożsamościowe fundamentalizmy – ta diagnoza skłoniła Tomasza Stawiszyńskiego do napisania jednej z najgoręcej dyskutowanych książek ostatnich lat. „Wraz z pandemią, wojną, perturbacjami politycznymi, rosnącym poczuciem wielopoziomowego zagrożenia tworzy to mieszankę wyjątkowo skomplikowaną i – mam wrażenie – wybuchową. Z całą zaś pewnością pogłębiającą ogólne poczucie dezorientacji, niepokoju i zagubienia, które odzywa się w zarówno zbiorowym, jak i jednostkowym życiu; w natrętnie powracających pytaniach: co robić, za czym się opowiedzieć, w czym upatrywać sensu, gdzie szukać wytchnienia i nadziei?" – czytam we wstępie do „Powrotu fatum".

„W niepewności – pisze dalej Stawiszyński – chwytamy się rozmaitych kół ratunkowych. Sprawiają one jednak – oto paradoks – że nasza sytuacja staje się jeszcze mniej stabilna. Rosnący popyt na ezoterykę – w najróżniejszych jej wcieleniach: od wróżbiarstwa po specjalistyczne i drogie usługi »programowania przeznaczenia«, od gazetowych horoskopów po »aktywację kundalini« za pośrednictwem Instagrama – jest tego najlepszym przykładem".

Nawet tworzące się na obrzeżach instytucjonalnego Kościoła dynamiczne ruchy – z popularnymi guru typu ks. Dominika Chmielewskiego, przewodzącego do niedawna tzw. Wojownikom Maryi, czy Grzegorza Brauna, objeżdżającego parafie z filmem „Gietrzwałd 1877. Wojna światów" – wydają się być z tego porządku, również ze względu na pojawiające się w ich przekazie ezoteryczne i antynaukowe, odwołujące się do objawień prywatnych fantazje.

„Doświadczamy podobnego procesu, jaki w USA określa się mianem »katolickiego MAGA«", pisał kiedyś o tym zjawisku w „TP" Marcin Kędzierski, dodając: „Wspólnota ta ma poczucie własnej siły – wie, że hierarchia boi się i nie ma ochoty interweniować, bo w obliczu pędzącej sekularyzacji może rozwój narodowego katolicyzmu sprzedawać jako sukces Kościoła. Także w sensie ekonomicznym, co nie jest bez znaczenia dla bardzo wielu polskich biskupów".

Głucha noc

„Głucha noc, na ulicach ciągle cicho"... Mamy więc z jednej strony kompromitację i kapitulację instytucjonalnego Kościoła, z drugiej zaś klimat, któremu Taco Hemingway poświęcił „Cichoszę": klimat, w którym „uczy kultura nie mówić o bólu", w którym „Mój ziomo Boris na życie się targał", w którym „nie ma Jezusa i nie ma Szatana, a wszystko przemija jak Panta Rhei".

Miasto opisywane przez 35-letniego rapera to już nie jest miasto, w którym „nie ma Mickiewicza i nie ma Miłosza", o papieżach nie wspominając – jak to z „Cichoszy" starszego o pokolenie Grzegorza Turnaua, do którego Taco Hemingway się oczywiście odwołuje. „Nikt nie rozmawia w tym mieście (nikt) / Płacisz dwie stówy za sesję, (po co?) żeby kłamać terapeucie? / (Potem) kłamiesz ciągle też na necie, żyjesz od dekady w metaversie".

Stawiszyński uważa, że (cytuję jego ostatni felieton z „TP") „w społeczeństwach złożonych z coraz bardziej samotnych jednostek, skazanych na współzawodnictwo, zantagonizowanych i permanentnie wzmożonych przez polaryzację i modne ideologie, używanych przez korporacje i polityków do realizacji własnych egoistycznych celów, niezbędna jest perspektywa, która pozwoli na wyjście poza logikę siły i pieniądza, na odbudowę potrzaskanej wspólnoty". Jego zdaniem perspektywę tę może dać właśnie chrześcijaństwo, nawet jeśli – żeby wyrazić językiem filozofii to, co Taco Hemingway nazwał językiem rapu – współczesna kultura „podąża raczej za Nietzschem i jego Dionizosem, nie zaś za Chrystusem".

Ale we współczesnej polskiej debacie ten głos Stawiszyńskiego jest – przynajmniej na razie – osamotniony.

Gaudeamus!

W świetle opisanego wyżej pomieszania i kryzysu (nazwijmy go z braku lepszego słowa: duchowym), ale też w świetle statystyk, od których zacząłem tekst, można by właściwie uznać, że wiadomość o zmianie lokatora Franciszkańskiej 3 – nawet jeśli mówimy o miejscu, które zamieszkiwali kardynałowie Sapieha, Wojtyła czy Macharski, czyli postaci uważane niegdyś za duchowych i politycznych przywódców tego kraju – powinna być właściwie przyjmowana ze wzruszeniem ramion.

Powinna, ale nie jest: informacje o przeprowadzce z Łodzi do Krakowa katolickiego biskupa klikają się w internecie od dobrych kilku dni, a w mediach społecznościowych huczy od komentarzy. Prawicowi publicyści tyleż martwią się osadzeniem na historycznej stolicy „patrona liberalnej Polski" (jak określił Rysia Piotr Semka), co składają hołdy abp. Jędraszewskiemu. Publicyści bardziej liberalni cieszą się, że przynajmniej z Krakowa zabrzmi bardziej ludzki głos Kościoła („Gaudeamus! W końcu dobra zmiana w Kościele krakowskim" – pisze Adam Szostkiewicz).

Eksperci od kościelnej instytucji trzeźwo przestrzegają z kolei, że zmieni się tak naprawdę niewiele: w episkopacie Ryś pozostanie głosem mniejszości (wyrazisty przykład sprzed kilkunastu zale-

dwie dni to niezależna od biskupa i kościelnych struktur komisja ds. wykorzystywania seksualnego nieletnich w latach 1945-2025, powołana przez niego w Łodzi po tym, jak jego koledzy z episkopatu wyhamowali prace nad powołaniem komisji ogólnopolskiej), choć samą nominację uznają za wyraz zaufania kolejnego już papieża dla wychowanego na osiedlu Podwawelskim 61-latka.

Oczywiście trudno abstrahować od tego wymiaru przeprowadzki kard. Rysia, który realnie zmieni relacje międzyludzkie w archidiecezji krakowskiej: na miejsce człowieka odizolowanego od swoich księży, a nawet biskupów pomocniczych, otoczonego dworem zauszników i unikającego dialogu, za to podejmującego decyzje niszczące wieloletnie nieraz zaangażowania, przychodzi ktoś, do kogo dostęp jest łatwy (pod warunkiem, że nie jest w Rzymie; to może być problem, jaki zapewne mieli w Łodzi...). Być może nowy metropolita nie spełni wszystkich pokładanych w nim nadziei, ale przynajmniej nie będzie łamał kręgosłupów – mówią znawcy tutejszych realiów.

Z innej planety

„Dotychczasowa (bardzo ryzykowna) strategia kardynała Rysia opierała się na przekonaniu, że trzeba spokojnie robić swoje, a zwłaszcza »siać słowo«, rzucać ewangeliczne ziarno – z nadzieją, że wyda ono owoc w przyszłości" – tak Zbigniew Nosowski podsumował sposób funkcjonowania dotychczasowego metropolity łódzkiego „w trudnych układach kościelnej polityki". „Czy jednak strategia ta okaże się owocna także w szerszym, kluczowym wymiarze: skuteczności sakramentu zbawienia, jakim ma być Kościół?" – zapytał naczelny „Więzi".

Można to pytanie sformułować prościej albo niekościelnym językiem. Bo może bardziej dojmujące niż fakt, że co drugi Polak patrzy na katolickiego biskupa z nieufnością, jest poczucie – z pewnością

Co kard. Ryś powie ludziom, którzy klikali w wiadomość o jego nominacji, nawet jeśli uważają, **że nie ma ona najmniejszego przełożenia na ich życie?**

podzielane przez dużo większą grupę rodaków – że z ust owego biskupa nie dowie się niczego o tym, jak żyć. Że jego język – nawet jeśli jasno wskazuje, że sensu, wytchnienia i nadziei można upatrywać w historii Jezusa (dokładnie tej kwestii poświęca zresztą swój „Okruch" z bieżącego numeru „TP") – brzmi dla tylu mieszkańców gwałtownie laicyzującego się kraju jak głos z innej planety.

Kiedy półtora roku temu został kardynałem, zamieściliśmy w „Tygodniku" jego obszerny portret. Znalazł się w nim obrazek ze zorganizowanego w Atlas Arenie spotkania ewangelizacyjnego dla młodych, przed którym poprosił łódzkich współpracowników o zrobienie ulicznej ankiety z pytaniem: „Jakie pytanie zadałbyś Bogu, gdybyś mógł?". Odpowiedź, wokół której ostatecznie potoczyła się rozmowa, brzmiała: „nie mam pytań do Boga". Zaczął od przeprosin: „Przepraszam, bo 12 lat uczymy was religii, a w efekcie macie Boga, który jest abstrakcyjnym, teoretycznym pojęciem. Nie wierzę, że nie macie pytań – każdy człowiek je ma. Tylko że wy waszych pytań nie zadajecie Bogu, bo On nie jest w waszym życiu kimś na tyle ważnym, żeby zadać mu istotne pytania".

Plac Zbawiciela

Wciąż mam przed oczami fotografię, która znalazła się na okładce „Transnarodu". Zrobił ją jedenaście lat temu telefonem komórkowym Jakub Szymczuk na warszawskim placu Zbawiciela – symbolicznym „zbawiksie", tym od „sojowego latte", ulubionego rzekomo napoju lewicowych brodaczy, a z pewnością ulubionego oręża, którym uderzają w nich prawicowi publicyści. Na pierwszym planie młodzi bawią się w kawiarnianym ogródku, ulicą idzie – niezauważana przez nich – procesja Bożego Ciała, a w tle widać niespaloną jeszcze instalację Julii Wójcik.

Fotografia przedstawia światy równoległe. Niekoniecznie nawet agresywnie zwrócone przeciwko sobie, raczej przekonane o niemożliwości i bezsensie spotkania. Jak u początków europejskiego chrześcijaństwa, kiedy Paweł z Tarsu próbował opowiadać zgromadzonym na ateńskim Areopagu o nieznanym Bogu, by usłyszeć wyższościowe: „Posłuchamy cię o tym innym razem".

Nie interesuje mnie polityczne znaczenie powrotu kard. Rysia do Krakowa. Nie patrzę na episkopat jak sowietolog na Kreml: nie zastanawiam się, na ile wzrost jego znaczenia w hierarchii zmieni murszejącą instytucję. Przyznam, że mniej interesuje mnie również to, na ile krakowski Kościół pod jego przewodnictwem stanie się bardziej otwarty, synodalny, wspólnotowy (choć zdaję sobie sprawę, że dla wielu czytelników mojego pisma ma to znaczenie fundamentalne). Najbardziej mnie interesuje to, co może powiedzieć ludziom, którzy klikali w wiadomość o jego nominacji, nawet jeśli wydawało im się, że nie ma ona najmniejszego przełożenia na ich życie. Co może im powiedzieć o nieznanym Bogu.

Może Stawiszyński ma rację, gdy pisze, że szukamy kół ratunkowych w najróżniejszych miejscach, a mamy je na wyciągnięcie ręki. Pewnie będzie okazja zapytać o to nowego metropolitę krakowskiego – akurat pod tym względem znamy go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie będzie unikał rozmowy, nie tylko zresztą z „Tygodnikiem Powszechnym".

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Dla jednych ekran komputera lub smartfona to naturalne okno na świat, dla innych – bariera wymagająca oswojenia. Coraz bardziej jaskrawe, międzypokoleniowe różnice w korzystaniu z technologii stawiają nas przed wielkim wyzwaniem, jakim jest cyfrowa edukacja dorosłych. Kluby Rozwoju Cyfrowego proponują nowy model uczenia się – oparty na relacji, bezpieczeństwie i wspólnym odkrywaniu cyfrowych ścieżek.

Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | KRC Kluby Rozwoju Cyfrowego

MATERIAŁ PROMOCYJNY



KOFANA12 / SHUTTERSTOCK

Czekanie na Szept Boga

PIOTR SIKORA

MEDYTACJA | Chrześcijańska nadzieja na spotkanie ze Słowem spełni się tylko w ciszy. Spróbuj ją w sobie znaleźć.

Nadchodzi czas, gdy doby stają się najciemniejsze w roku. Dziennej jasności boleśnie mniej, nocnej czerni nużąco więcej. Las też dawno przestał już świecić złotem brzóz, czerwienią buków i rudym blaskiem dębów. Kolory spadły między drzewa, nawilgły, zbrązowiały i zgasły. W powietrzu zostały już tylko szare kreski bezlistnych gałęzi. Gdy podnoszą się mgły, można dostrzec zarys kości Ziemi. Natura zwalnia tempo, zastyga prawie nieruchomo. Godzi się z nadejściem czasu odpoczynku i regeneracji.

A chrześcijanie czekają na brzmienie Słowa. Jeśli ich nadzieja się spełni, to tylko szeptem, nie krzykiem, ani nawet nie tak głośno, jak sąsiad mówiący zdawkowo „dzień dobry", gdy mijasz go rano: on wyprowadza psa, ty w drodze do pracy.

Zrozumiała jest – w tym czasie zapewne szczególnie – ludzka potrzeba światła, dźwięków, wspólnoty. Dlatego teraz właśnie świąteczne jarmarki, dodatkowa muzyka w handlowych galeriach, światełka na mostach, słupach wzdłuż ulic i dookoła miejskich placów. Niech będą! Niech świecą! Niech grają! Niech unosi się zapach grzańca i grilla spomiędzy ozdobnych straganów! A jednocześnie...

ZNAJDŹ CZAS | A jednocześnie, jeśli rzeczywiście chcesz usłyszeć Szept, konieczne może być zupełnie inne ćwiczenie. Może warto zacząć od czegoś takiego:

Znajdź każdego dnia trochę czasu (możesz zacząć od pięciu minut, w miarę upływu dni spróbuj poszerzać ten okres). Wiem, ta myśl może rodzić wątpliwości, ten pomysł może wydać się niemożliwy do realizacji. A jednak – skoro Ziemia zwalnia, zapracowana, choć nosi całą ludzkość i wszystkie źdźbła świata, dlaczego Ty nie możesz? Spróbuj zatem znaleźć chwilę o możliwej dla Ciebie wielkości. Znalezioną opróżnij z wszelkich społecznościowych powiadomień, z wiadomości o tym, co przydarzyło się komuś gdzie indziej, z pompujących dopaminę ruchów palcem po ekranie smartfona, z liter na kartkach książki, z głosu rozmowy, dźwięków muzyki, z ruchów żuchwy (nieważne, czy to chipsy, czy zdrowy, warzywny posiłek).

Im bardziej pusty będzie to czas, tym lepiej. Bez żadnych dźwięków, w możliwie całkowitej ciemności. Bez intensywnych zapachów. Bez smaku. Z jak najdelikatniejszym, najbardziej neutralnym dotykiem ubrania. Bez ruchu ciała – poza mimowolnym mruganiem powiek oraz zawsze się dziejącym (nie próbuj tu nic zmieniać) oscylowaniem przepony i biciem serca, tętnem krwi.

NICZEGO NIE OCZEKUJ | Niech będzie to czas, w którym zostawisz wszelkie pragnienie jakiejkolwiek zmiany (zostawisz – czyli nie pójdziesz za nim, ale także nie będziesz z nim walczyć), czas, od którego nie będziesz niczego oczekiwać (także tego, że nie pojawią się w nim Twoje oczekiwania, albo że – jeśli już się pojawią – uda Ci się od nich uwolnić, lub sam ten czas uwolni Cię od nich). Niech będzie to czas, którego upływu nie będziesz kontrolować (może to zrobić za Ciebie timer w smartfonie lub stary, mechaniczny budzik).

Niech będzie to czas, w którym pozwolisz sobie tylko być, nie próbując być żadnym sobą (N.N., mężem, matką, córką, bratem, studentką, sprzedawcą, kierowniczką, chorym, staruszką, osobą na drodze duchowego rozwoju...). Niech to będzie czas, w którym czyste istnienie bez żadnych określeń swobodnie płynie w tej, tutaj, przestrzeni...

NICZEGO NIE ZMIENIAJ | Może się, oczywiście, zdarzyć (kusi mnie, by napisać: najprawdopodobniej się zdarzy), że zatrzymawszy się w tym opróżnionym czasie, odkryjesz, że tak naprawdę nie sposób jest go opróżnić. W miejsce dźwięków, kolorów, smaków, a także w miejsce Twoich czynności mogą wtargnąć (zapewne wtargną) albo nuda z impulsem, by opuścić tę próżnię, albo – przeciwnie – myśli, uczucia, obrazy. Ciało może potrafisz zatrzymać, lecz im bardziej ono znieruchomieje, tym większego rozpędu nabierze umysł: w przeszłość, w przyszłość, gdzie indziej... Ciemność, cisza..., lecz ileż się tuż za oczami kłębi! Wtedy warto pamiętać: w tym czasie nie musisz nic zmieniać. Możesz pozwolić: a niech tam się kłębi! Zobacz tylko, czy Ty-która/y-istniejesz-bez-żadnych-określeń możesz cicho widzieć, co nadchodzi i mija – czy to jak spokojna rzeka, czy to jak rwący, wzburzony potok, czy jak rytmiczny ruch fal, czy jak gładka tafla jeziora... ©℗

Gregorianka w smartfonie

KS. DOMINIK DUBIEL SJ

LITURGIA | Śpiewy gregoriańskie z przestrzeni sakralnej trafiają do sal koncertowych i serwisów streamingowych. Skąd ich rosnąca popularność?

Ten cudny śpiew pomaga skupić się na modlitwie, kiedy dookoła gwar i brak ciszy. Jakbym przeniosła się jedną nogą w ten niewidzialny świat duchowy". „Te śpiewy podnoszą mnie na duchu w tych trudnych czasach". „Cisza i ukojenie dla steranego życiem człowieka!". „Coś wspaniałego, nawet dla takich osób jak ja, które nie są za bardzo religijne". To tylko kilka z wielu komentarzy pod nagraniami śpiewu gregoriańskiego w wykonaniu mnichów benedyktyńskich z opactwa w Tyńcu. A jeśli dobrze się rozejrzeć po YouTubie, znajdziemy tam masę najróżniejszych filmów z całego świata z milionami odtworzeń. Od surowych nagrań modlących się mnichów, przez profesjonalne schole gregoriańskie, po projekty łączące estetykę gregoriańską z muzyką popularną – kiczowate, ale pod względem zasięgów skuteczne.

Fenomenu popularności śpiewu gregoriańskiego nie da się jednak sprowadzić do internetowego trendu. Rosnąca liczba kursów i warsztatów, koncerty i łacińskie liturgie, rozwijające się pomimo ostrożności, z jaką Watykan traktuje tradycjonalistów, wydają się wskazywać, że „własny śpiew liturgii rzymskiej" – jak określają go oficjalne dokumenty kościelne – nie tylko ma się dobrze, ale też skutecznie obsługuje duchowe potrzeby bardzo wielu osób. I to nie tylko tych konfesyjnie zadeklarowanych.

Zwrot konserwatywny

Jedną z przyczyn jest zapewne przybierający na sile nurt tradycyjno-konserwatywny w Kościele. Według badań przeprowadzonych niedawno na zlecenie Francuskiego Obserwatorium Katolicyzmu we współpracy z tygodnikiem „Famille Chrétienne" oraz radiami RCF i RND, dla 60 proc. księży w wieku od 25 do 34 lat ważną kwestią jest tzw. pokój liturgiczny, czyli zgodne współistnienie dwóch form rytu rzymskiego. 46 proc. z nich sprawuje liturgię także po łacinie tyłem do wiernych. Młodzi francuscy księża także w kwestiach moralnych wykazują zdecydowanie bardziej konserwatywne przekonania niż ich starsi współbracia.

Podobne tendencje można też dostrzec w Polsce wśród duchownych i wśród świeckich. Popularność twórców internetowych o poglądach nacechowanych niechęcią do ostatnich papieży i współczesnego nauczania Kościoła katolickiego, postrzegających wszystko, co nowe, jako przejaw „modernizmu", daje do myślenia.

W dynamicznie zmieniającym się świecie baumanowskiej „płynnej nowoczesności" znaczące grupy katolików szukają poczucia bezpieczeństwa w odrzuceniu zmian i powrocie do „złotego wieku", rozumianego przez nich głównie jako czasy po Soborze Trydenckim, a przed Soborem Watykańskim II. To wizja świata, w której Kościół rzymskokatolicki jest potężną, silnie zhierarchizowaną instytucją, rozdającą karty na wszystkich polach życia społecznego i jasno określającą, co jest dobre, a co złe.

W tym świecie – jak pisał kiedyś zaczepnie w jednej ze swoich książek Andrzej Sapkowski – wszystko jest czarno-białe, a wszystkie pola jednakowe. Kto zaś nie chce się dopasować – „niech będzie wyklęty", zgodnie z tradycyjną formułą soborów przed *Vaticanum II*. A że według starożytnej maksymy *lex orandi – lex credendi* (modlitwa liturgiczna wyraża to, w co wierzymy), ów świat, pieczołowicie rekonstruowany w stylu tradycjonalistów, najlepiej wyraża się w mszy trydenckiej. Mamy w niej jasną hierarchię i strukturę (nawiązującą *nota bene* do społeczeństwa feudalnego), a każdy ruch, słowo i gest są ściśle określone.

Muzyką organicznie związaną z celebracją w tym rycie jest śpiew gregoriański, który na przestrzeni wieków powstawał nie jako „oprawa muzyczna", ale właśnie jako integralna część liturgii. Choć popularność mszy trydenckich jest bardziej złożonym zjawiskiem i nie sprowadza się do zarysowanego wyżej syndromu oblężonej twierdzy, z pewnością wzmacnianie się postaw konserwatywnych wśród katolików jest jednym ze źródeł wzrastającego zainteresowania śpiewem gregoriańskim.

Wyrafinowana muzyka jednogłosowa

Śpiew, jaki można usłyszeć najczęściej na tradycyjnych liturgiach, nie należy zwykle do głównego nurtu odnowy śpiewu gregoriańskiego, która dokonuje się w różnych miejscach świata. W polskim kontekście ciągle dominuje tzw. metoda solesmeńska. Utworzona przez benedyktyńskiego mnicha André Mocquereau ze słynnego opactwa w Solesmes, wpisywała się w starania papieża Piusa X, by śpiew gregoriański stał się powszechny i dostępny dla wszystkich wiernych. Metoda polegała na maksymalnym uproszczeniu interpretacji wysublimowanych śpiewów gregoriańskich. Choć na skutek pogłębionych studiów sam o. Mocquereau odwołał swoje założenia, uznając, że prowadzą do wypaczenia i zniekształcenia muzycznych skarbów kościelnej tradycji liturgicznej, metoda poszła w świat i funkcjonuje do dziś. Zwykle właśnie ze względu na „niski próg wejścia" dla zainteresowanych tym rodzajem śpiewu.

Podobnie sprawa ma się z tzw. szkołą francuską Marcela Pérèsa, opierającą swe założenia wykonawcze na traktacie muzycznym XIII-wiecznego dominikanina Hieronima z Moraw. Również w tym przypadku, by zacząć śpiewać, zasadniczo wystarczy elementarny słuch muzyczny, zapał... i zamiłowanie do technik wokalnych nawiązujących do estetyki charakterystycznej dla Kościołów wschodnich, na Korsyce czy w świecie arabskim. Być może właśnie to egzotyczne, orientalne brzmienie, jakie nadają śpiewowi gregoriańskiemu miłośnicy teorii Pérèsa – obok uproszczonego podejścia do materiałów źródłowych – stoi u podstaw popularności muzyki gregoriańskiej w tym wydaniu.

Prawdziwy renesans śpiewu gregoriańskiego, dynamicznie rozwijającego ↦

↦ się głównie wokół ośrodka Papieskiego Instytutu Muzyki Sakralnej w Rzymie, w Polsce zaś zaledwie raczkującego, ma swoje źródła w dociekaniach *stricte* naukowych, określanych jako szkoła semiologiczna. W tym przypadku mamy do czynienia ze skrupulatnym badaniem źródeł obejmujących głównie repertuar powstały w VIII wieku, a spisany nieco ponad sto lat później (który *nota bene* w XIII wieku – kiedy to powstał wspomniany traktat Hieronima z Moraw – wchodził już w fazę dekadencji). Szkoła semiologiczna zakłada komparatystyczne badanie symboli, za pomocą których skrybowie zapisywali muzyczną interpretację poszczególnych słów w utworach gregoriańskich, w celu najbardziej realistycznego przybliżenia się do sposobu, w jaki wykonywano tę muzykę w czasach, gdy powstawała.

Na temat interpretacji każdego z nich powstały całe artykuły i prace naukowe. Jeden z prominentnych polskich ekspertów w dziedzinie semiologii gregoriańskiej prof. Michał Sławecki z Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie zwraca uwagę, że podejście to umożliwia interpretację śpiewu gregoriańskiego najbardziej zgodną z najważniejszym jego założeniem: nadrzędną rolą słowa względem muzyki. Melodia i rytm śpiewów gregoriańskich wynikają z naturalnych akcentów słownych i mają na celu podkreślenie wyrażanych treści. Śpiew gregoriański, posługując się tekstami z Pisma Świętego oraz pism Ojców Kościoła, pełni funkcję kerygmatyczną i jest w swojej istocie proklamowaniem Dobrej Nowiny.

Te założenia doprowadziły do idealnej syntezy słowa i muzyki, jaka nigdy więcej w dziejach muzyki nie zaistniała. „To najbardziej wyrafinowana muzyka jednogłosowa, jaką wytworzyło zachodnie średniowiecze. Jest to po prostu dzieło sztuki" – podkreśla Sławecki. Ze względu na kunszt artystyczny, utwory te były przeznaczone do wykonywania przez profesjonalnych muzyków, stąd nieporozumieniem jest upraszczanie ich w taki sposób, żeby były możliwe do wykonania dla wszystkich uczestników liturgii. Taka praktyka nigdy nie miała miejsca. Zwykli wierni wykonywali tylko najprostsze śpiewy, a nie wszystkie wymagające specjalistycznej wiedzy i umiejętności kompozycje.



EAST NEWS

Mnich cysterski przed księgą chorałową w opactwie Matki Bożej z Poblet, Hiszpania 2011 r.

Choć zakrawa to na paradoks, w pewnym sensie bliżej tej pierwotnej tradycji wykonawczej są dziś zawodowi artyści, nieraz nawet niezwiązani z Kościołem, pieczołowicie rekonstruujący niuanse najstarszych zabytków muzyki gregoriańskiej i wykonujący ją w świeckiej przestrzeni, jak dzieje się w wielu miejscach zachodniej Europy. Tym sposobem, choć wyrwane ze swego naturalnego liturgicznego kontekstu, śpiewy gregoriańskie „trafiają pod strzechy" sal koncertowych i serwisów streamingowych, tworząc niezwykłą atmosferę w domach ludzi różnych narodów i kultur. „Najlepsza nuta do nauki – pozdro od ateisty" – czytamy w jednym z komentarzy pod nagraniami modlących się benedyktynów.

Od pradźwięku do liturgii

Być może na fenomen popularności śpiewu gregoriańskiego należałoby spojrzeć jeszcze bardziej źródłowo, sięgając do samych początków muzyki jako takiej.

Włoski teolog, kompozytor i organista Sergio Militello w swojej książce „Teologia della musica" podkreśla religijne korzenie najbardziej pierwotnych doświadczeń człowieka związanych z dźwiękiem. Według naukowych ustaleń Militello, dźwięk od zawsze kojarzony był przez ludzi z tajemnicą, gdyż jego pochodzenie nie miało swego początku w człowieku, lecz poza nim (szum wiatru, huk wodospadu, grzmot, śpiew ptaków etc.). Człowiek, dostrzegając, jak głębokie i intensywne efekty wywoływały w nim owe dźwięki natury, zaczął przypisywać je jakiemuś Bytowi spoza swojego codziennego doświadczenia. Bytowi przemawiającemu w swoistym języku, który domaga się interpretacji i odpowiedzi, by móc wejść z nim w jakąś formę relacji, zwłaszcza w kontekstach wymagających przebłagania, prośby o pomoc czy dziękczynienia.

Konteksty te wraz z ludzkimi próbami wchodzenia w dialog z bóstwem doprowadziły do powstania pierwszych rytuałów religijnych. Na ich potrzeby zaczęto wytwarzać proste instrumenty, imitujące dźwięki natury, w celu komunikacji z ową wymykającą się codziennemu doświadczeniu Transcendencją. Rytuałom towarzyszyło nieraz składanie ofiar lub wykonywanie gestów, będących już formą zorganizowanego ruchu kultycznego. Początki muzyki są więc ściśle związane z rzeczywistością religijną, rytualną, kultyczną.

Podobna intuicja zawarta jest w wielu azjatyckich mitologiach i opowiadaniach dotyczących początków świata. Według niektórych z nich, wszechświat narodził się jako eksplozja „pradźwięku". Również Pismo Święte pełne jest dźwiękowych odniesień: od porządkowania pierwotnej materii sprawczymi słowami JHWH w opisach z Księgi Rodzaju, przez przedstawianie muzyki jako rzeczywistości sprzyjającej czynnościom prorockim (por. 1 Sm 10, 5-6; 2 Krl 3, 15), aż po ukazanie śpiewu jako formy modlitwy najbardziej adekwatnej, by wyrazić doświadczenia, w których zwykłe słowa to za mało. Bodajże najważniejszym przykładem może być tu pieśń śpiewana przez Izraelitów po przejściu przez Morze Czerwone (por. Wj 15), którą Joseph Ratzinger uważał za wzór wszelkiej późniejszej muzyki liturgicznej.

Właśnie z tradycji muzycznych Izraela, związanych z bezpośrednim kontaktem z Bogiem, ostatecznie wywodzi się śpiew gregoriański. Być może właśnie całkowite ukierunkowanie na Boga sprawia, że ten rodzaj śpiewu w najczystszy sposób nawiązuje do pierwotnego związku muzyki z rzeczywistością transcendentną, co jest wyczuwalne nawet dla osób wywodzących się z innych tradycji religijnych i religijnie obojętnych.

Muzyka – ziemia święta

Może trochę wbrew pozorom, każda muzyka ma w sobie coś z boskości. Jeden z najważniejszych teologów XX wieku Hans Urs von Balthasar w swojej książce „Rozwój idei muzycznej" pisał: „Muzyka jest formą, która najbardziej zbliża nas do ducha, jest najcieńszym przesłaniającym go nam woalem. Dzieli jednak tragiczny los każdej sztuki: musi pozostać tęsknotą, a więc czymś prowizorycznym. Tęsknota jest w niej najsilniejsza właśnie dlatego, że muzyka znajduje się najbliżej ducha, nie mogąc go jednak całkowicie ogarnąć (...). Stanowi ona graniczny punkt tego, co ludzkie, na tej granicy zaś zaczyna się to, co Boskie".

Choć szwajcarski myśliciel miał zapewne na myśli raczej muzykę swoich ulubionych klasycznych kompozytorów, na czele z Wolfgangiem Amadeuszem Mozartem, to ostatecznie jego myśl pozostaje prawdziwa wobec każdego rodzaju muzyki. Na marginesie warto zauważyć, że praktycznie cała współczesna muzyka europejska ma swoje korzenie w śpiewie gregoriańskim, ale to temat na osobny artykuł.

Śpiew gregoriański, ze swoją niebanalną melodyką i swobodnym, podporządkowanym słowu rytmem, przywodzącym na myśl inny świat, wykracza poza zabieganą codzienność, której ton nadają kolejne prostokąciki zapychające wolne przestrzenie naszego smartfonowego kalendarza. I w najbardziej bezpośredni sposób daje nam odczuć, iż obcujemy z czasoprzestrzenią będącą „ziemią świętą", wobec której odczuwamy tajemniczy respekt i za którą wszyscy tęsknimy. Niezależnie od tego, jak ją rozumiemy i nazywamy.

© KS. DOMINIK DUBIEL SJ

Twarzą w twarz

EDWARD AUGUSTYN

EKUMENIZM | Jedność mimo różnic, Credo bez *filioque*, błogosławieństwo biskupki. Ekumeniczny poligon Kongresu Katoliczek i Katolików.

Kaplica dominikanów przy ul. Zielonej w Łodzi wypełniła się już przed ósmą rano do ostatniego miejsca. Niedzielna msza była jednym z punktów programu dwudniowego (22-23 listopada) forum Kongresu Katoliczek i Katolików (KKiK). I mało kto się spodziewał, że będzie jego najważniejszym wydarzeniem.

WYDARZENIE | Wokół ołtarza stanęli, ubrani w szaty liturgiczne, duchowni wszystkich reprezentowanych na forum chrześcijańskich wyznań. Homilię wygłosiła biskupka Paulina Hławiczka-Trotman z Kościoła luterańskiego w Wielkiej Brytanii, przy odmawianiu Credo opuszczono słynne *filioque* (słowa o pochodzeniu Ducha Świętego „od Ojca i Syna", które były przyczyną podziału chrześcijaństwa na wschodnie i zachodnie), komunii udzielano wszystkim chętnym, bez względu na wyznanie, a na koniec mszy „pontyfikalnego błogosławieństwa" – jak zapowiedział ks. Andrzej Stefański, przewodniczący koncelebrze, na co dzień pracujący w Belgii – udzielili oboje biskupi obecni na mszy: wspomniana już bp. Hławiczka-Trotman i bp Tomasz Puchalski z Reformowanego Kościoła Katolickiego.

GOŚCINNOŚĆ | Taka formuła była zaskoczeniem, także dla praktyków międzywyznaniowego dialogu, bo przepisy nie pozwalają na „msze ekumeniczne" (możliwe są jedynie wspólne nabożeństwa i spotkania modlitewne). Ojciec Maciej Biskup OP, jeden z organizatorów forum, zapewnia jednak, że duchowni innych Kościołów „nie sprawowali Eucharystii", tylko „stali z boku, jako goście". Nie ukrywa jednak, że wiele osób mogłoby nie zrozumieć tak szerokiej „otwartości ekumenicznej". Dlatego proszono, by nie robić zdjęć podczas liturgii, a zwłaszcza nie publikować ich w mediach społecznościowych (drugim powodem były groźby, jakie otrzymywała bp. Paulina – brytyjska policja ustaliła, że pochodziły z Polski).

Kościół katolicki nie uznaje „eucharystycznej gościnności", a zgodę na interkomunię wydaje rzadko (ma ją np. wspólnota w Taizé). Księża w wielu krajach niespecjalnie się tym przejmują, wychodząc z założenia, że skoro encyklika „Ecclesia de Eucharistia" Jana Pawła II dopuszcza interkomunię „w pewnych sytuacjach i pod pewnymi warunkami", to sami mogą sobie te sytuacje i warunki określać. Z zasady też nie ma zgody na głoszenie homilii przez duchownych innych wyznań. Zwłaszcza w Polsce. W dodatku nasi biskupi lubią „reglamentować" ekumenizm – na spotkania z nimi zasługują jedynie przedstawiciele Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej. Dlatego m.in. unikają spotkań z bp. Puchalskim, którego uważają za „samozwańczego" (podobnie jak jego wspólnotę, często określaną jako „Kościół LGBT"). Być może to był powód, dla którego żaden z członków polskiego episkopatu nie zgodził się na udział w ekumenicznej dyskusji w czasie łódzkiego forum.

RÓŻNORODNOŚĆ | Długo też – jak mi opowiadano – trwało namawianie kard. Grzegorza Rysia, by pojawił się na imprezie Kongresu. On również nie uczestniczył w ekumenicznym panelu, ale wziął udział „w modlitwie z Taizé" w sobotni wieczór. Metropolita łódzki (forum odbywało się na trzy dni przed ogłoszeniem jego nominacji do Krakowa) przyznał, że ekumenizm w Polsce często ogranicza się do jednego Tygodnia Jedności Chrześcijan, a przez resztę roku ↦



MACIEJ BISKUP OP / MATERIAŁY PRASOWE

Międzyreligijna modlitwa o pokój na zakończenie forum Kongresu Katoliczek i Katolików. Łódź, 23 listopada 2025 r.

↦ mało kogo obchodzi. Mówił o znaczeniu bezpośrednich kontaktów, o czym zresztą obecnych na forum nie musiał przekonywać – rozmowy w kuluarach, przy obiedzie i kawie, były być może nawet owocniejsze niż panele dyskusyjne, niczego tym ostatnim nie umniejszając. (Szczególnie cenne były panele ukazujące kobiecą perspektywę dialogu ekumenicznego i międzyreligijnego).

Doświadczenie jedności było najmocniejszym przeżyciem uczestników forum. Różnice wynikające z wyznania (osiem denominacji chrześcijańskich), religii (chrześcijaństwo, judaizm, islam i buddyzm), narodowości i kultur (panel poświęcony imigrantom), tożsamości seksualnej (przedstawiciele środowisk LGBT oraz osoby po korekcie płci) znikały, gdy ludzie spotykali się twarzą w twarz, rozmawiali, wspólnie się modlili.

SPRAWCZOŚĆ | Jedna z uczestniczek panelu o imigracji zapytała, czy tego typu spotkania i dyskusje nie sprowadzają się czasem do „przekonywania przekonanych". Zamknięcie się w jednej bańce grozi wszystkim konferencjom, konwentom i kongresom. Organizatorzy łódzkiego forum nie zaprzeczali, że jest ono spotkaniem ludzi o podobnych poglądach, którzy potrzebują „zastrzyku energii" na cały rok pracy w swoich środowiskach.

– Można być przekonanym, ale i tak tracić wiarę w to, że zmiana w Kościele jest możliwa – mówi s. Barbara Radzimińska, jedna ze współzałożycielek KKiK. – Potrzebujemy takich spotkań także po to, by dzielić się doświadczeniem i podtrzymywać nadzieję.

– Pamiętajmy też o relacjach, które się na takich spotkaniach nawiązują albo są podtrzymywane – dodaje o. Maciej Biskup. – Oraz że dla niektórych osób są one szansą odkrycia swojej sprawczości w Kościele, której tam, gdzie żyją, nie zawsze mogą zaznać.

Dominikanin wierzy, że forum może być okazją poszerzania horyzontów także dla doświadczonych działaczy KKiK, bo ci, którzy na co dzień zajmują się ekologią czy pomocą ofiarom przestępstw seksualnych, mogą nie być „emocjonalnie i merytorycznie związani" z kwestiami ekumenizmu czy imigracji.

– Myślę, że nawet osoby zaangażowane w działania Kongresu doświadczają tu momentów przełomowych. Jak choćby dzisiejsza Eucharystia – mówi o. Biskup. – Wszystko to ma w sobie prawdę procesu, który się dokonuje, choć pomału.

PRZEPROSINY | Najwolniej dokonuje się zmiana mentalności: odchodzenie od stereotypowego myślenia, porzucanie językowych kalk. Także wśród organizatorów i działaczy Kongresu, którego celem jest uczynienie Kościoła przestrzenią otwartą dla wszystkich. Łódzkie forum zaczęło się od przeprosin za niefortunne słowa dwóch organizatorów wydarzenia – o. Pawła Gużyńskiego i Filipa Flisowskiego – jakie pojawiły się w przeddzień spotkania na łamach „Magazynu Gazety Wyborczej". Pierwszy z nich przywołał opinię, że Kongres Katoliczek i Katolików są „jak Luter i Kalwin, którzy chcieli zniszczyć Kościół". Drugi pozwolił sobie na wyższościowy ton wobec innych środowisk tzw. Kościoła otwartego w Polsce (m.in. „Więzi" czy Klubów „Tygodnika Powszechnego"), uznając ich za „działaczy kanapowych". Te słowa mocno zabolały wiernych i duchownych protestanckich, zaproszonych na forum, a także osoby ze wspomnianych środowisk „otwartego katolicyzmu", zaangażowane w organizację i przebieg spotkania.

– To była niefortunna wypowiedź o. Pawła – tłumaczył nieobecnego na forum z powodu choroby współbrata o. Maciej Biskup. – Jego intencją nie było deprecjonowanie Kościołów reformacji, ale pokazanie, że wielu biskupów czy katolików traktuje Kongres jak *quasi*-reformację. Wypowiedź niezręczna, bo odwołująca się do stereotypów, które dotykają nasze siostry i braci z Kościołów mniejszościowych.

Dominikanin tłumaczył też drugą wypowiedź: – „Osoby kanapowe" są w każdej organizacji, także u nas, w Kongresie. Są też w Kongresie bardzo aktywne i zaangażowane osoby z Klubów „Tygodnika", które właśnie „wstały z kanapy", by użyć sformułowania papieża Franciszka.

– My się z tamtymi opiniami po prostu nie zgadzamy – mówi krótko s. Barbara Radzimińska.

Słowa kard. Rysia z sobotniego wieczoru, że „czasem bardziej jesteśmy podzieleni w obrębie jednego Kościoła niż pomiędzy różnymi wyznaniami", nabrały w tym kontekście bardzo konkretnego wymiaru. Choć oczywiście nie do wewnętrznych problemów KKiK kardynał je odnosił. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Między przezroczystością a oporem. Jak uczymy się świata za ekranem?

Cyfrowe doświadczenie nie jest takie samo dla wszystkich. Dla jednych ekran komputera czy smartfona to okno na świat, otwierane codziennie szeroko tuż po obudzeniu. Dla innych to zamknięty i nieprzenikniony system, z którego trudno korzystać, i który jeszcze trudniej zrozumieć.

Międzypokoleniowe różnice w oswajaniu nowych technologii stają się dziś coraz bardziej widoczne, a edukacja cyfrowa dorosłych jawi się jako jedno z kluczowych wyzwań współczesności. Dla pokolenia wychowanego w epoce internetu ekran to niemal przedłużenie zmysłów – coś oczywistego, co nie zatrzymuje na sobie uwagi. Dla osób starszych komputer czy smartfon pozostają jednak nieprzezroczyste: wymagają poznania, zrozumienia, a często także przełamania lęku. W języku teorii mediów można powiedzieć, że technologia jest przezroczysta tylko wtedy, gdy nie przeszkadza w kontakcie z treścią, nie skupia uwagi na sobie. Gdy tej uwagi wymaga, staje się barierą.

Przezroczyste dla jednych, nieprzezroczyste dla drugich

Różnica ta ma swoje źródło w sposobach edukacji. Pokolenie dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków mogło uczyć się informatyki od szkoły podstawowej. Ich poprzednicy często nie mieli tej możliwości. Weszli w cyfrowy świat bez stopniowego wprowadzenia, bez wcześniejszego kontaktu z cyfrowymi interfejsami. To tak, jakby zacząć naukę języka od czytania skomplikowanej poezji. Zgoda, również w ten sposób można się go nauczyć, ale będzie to wymagać znacznie większego wysiłku niż przyswajanie krok po kroku podstawowych słów i zwrotów.

Od produkcji do dostępu

W ciągu ostatnich dekad technologia nabrała tempa. Komputer, który niegdyś służył do tworzenia i przetwarzania danych, dziś pełni rolę pośrednika. Stał się bramą do zasobów – do chmur, platform, aplikacji. Użytkownik rzadko coś tworzy – raczej korzysta z gotowych rozwiązań. To subtelna, ale fundamentalna zmiana: z technologii produkcji przeszliśmy do technologii dostępu. A to oznacza, że uczymy się już nie tyle obsługi maszyn, co sposobu uczestnictwa w złożonych ekosystemach. Dla wielu dorosłych to właśnie ta złożoność staje się barierą. Szczególnie gdy każda nowa aplikacja wymaga rejestracji, autoryzacji i połączenia z kolejnym systemem.

Uczenie w rytmie osób dorosłych

Edukacja cyfrowa dorosłych nie może być kopią szkolnych zajęć informatycznych. Uczenie się w wieku dojrzałym czy seniorskim to proces oparty na emocjach, relacjach i poczuciu bezpieczeństwa. Zrozumienie, akceptacja błędów, tempo dopasowane do możliwości – to warunki skutecznej nauki. Nowoczesne narzędzia, nawet te oparte na sztucznej inteligencji, potrafią personalizować treści, ale nie zastąpią zaufania i wsparcia, które daje żywy kontakt z drugim człowiekiem. Dlatego tak ważne jest tworzenie przestrzeni, w której można bez lęku pytać, eksperymentować i uczyć się od siebie nawzajem.

Kluby Rozwoju Cyfrowego – trzecia przestrzeń dla rozwoju i wspólnoty

Odpowiedzią na te potrzeby mogą być Kluby Rozwoju Cyfrowego (KRC) – inicjatywy łączące edukację, animację i wsparcie społeczne. To nie tyle kursy komputerowe, co wspólnoty uczenia się. KRC oferują dorosłym przestrzeń, w której technologia staje się narzędziem, a nie źródłem frustracji. Edukatorzy i edukatorki w KRC nie pełnią roli nauczycieli, lecz towarzyszy. Ich zadaniem jest diagnozowanie potrzeb, wspieranie uczestników w ich indywidualnym rytmie oraz tworzenie bezpiecznej atmosfery, w której ekran i klawiatura przestają być barierą. Takie miejsca mogą stać się współczesnymi „trzecimi miejscami" – między domem a pracą – gdzie rozwój cyfrowy idzie w parze z budowaniem wspólnoty.

Pokolenia przed ekranem

Międzypokoleniowe uczenie się cyfrowego świata to nie tylko kwestia kompetencji technicznych, ale też wrażliwości społecznej. Spotkanie pokoleń, które wychowały się na różnych etapach rozwoju technologii, może stać się źródłem zrozumienia – nie tylko i nie tyle między człowiekiem a maszyną, ile między ludźmi. Ekran, który dziś dzieli i różnicuje doświadczenia, w odpowiednim kontekście może znów stać się przezroczysty: być nie przeszkodą, lecz oknem – nie tylko do świata, ale i do siebie nawzajem. ©

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | KRC Kluby Rozwoju Cyfrowego

REKLAMA

PAKIET wyborcza.pl + tokfm

w ofercie benefitu dla Twojej firmy

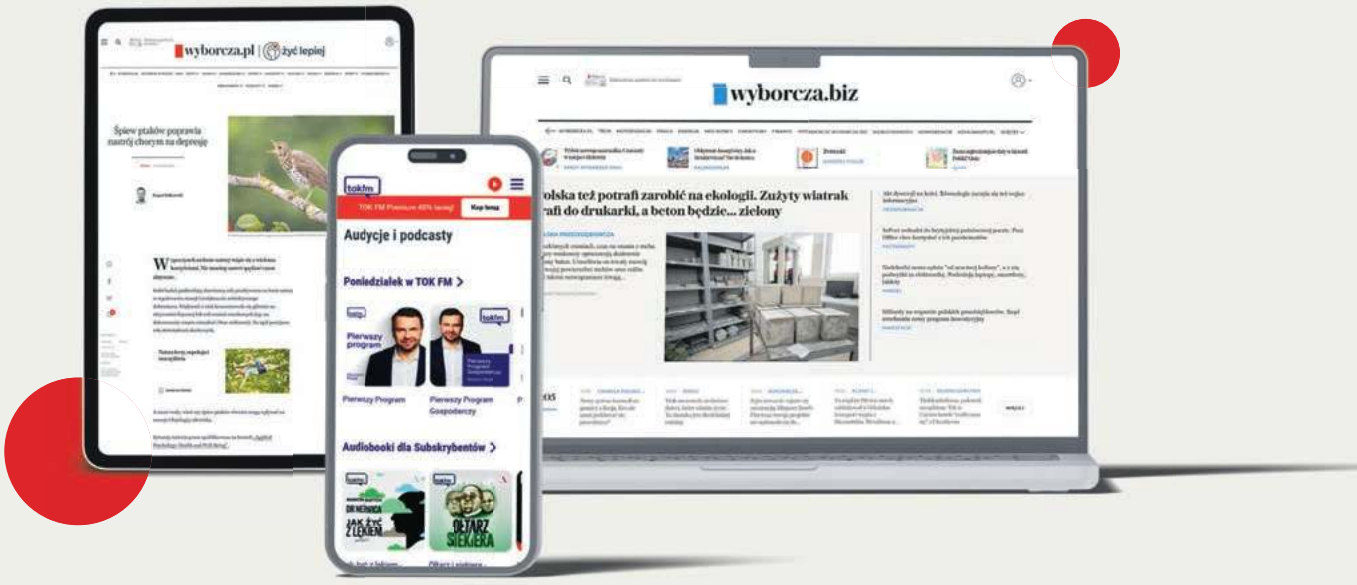

Subskrypcja Wyborcza + TOK FM to narzędzie pracy, które

POMAGA PRACOWNIKOM PODEJMOWAĆ LEPSZE DECYZJE I ROZWIJAĆ KOMPETENCJE

dzięki rzetelnym informacjom, analizom ekspertów i dostępowi do wiarygodnych źródeł każdego dnia.

Skontaktuj się z nami:

pomoc@wyborcza.pl

tel. (+48) 22 555 54 55, (+48) 519 255 455

Podaj kod TP2025 i odbierz 30% rabatu

CZYTAJ LUB SŁUCHAJ. TAK, JAK LUBISZ.

APLIKACJA SERWIS AUDIO

O. WACŁAW

Oszajca:
Sen prysł



Prorok Izajasz zapowiadał nadejście takich czasów, kiedy to „wilk będzie przebywał z owieczką, pantera ułoży się obok koźlęcia, cielę z lwem razem paść się będą, a mały chłopiec będzie je prowadził. Krowa z niedźwiedzicą żyć będą w przyjaźni, ich młode razem będą leżały, a lew, jak wół, jadać będzie słomę. Niemowlę bawić się będzie na norze kobry, dziecko włoży swą rękę do kryjówki żmii. Nie będą wyrządzać zła ani krzywdy na całej mojej świętej Górze. Bo znajomość Pana napełni ziemię jak wody wypełniają morze. W tym dniu korzeń Jessego stać będzie jako znak dla ludów! Do niego narody się zwrócą o radę, a miejsce jego odpoczynku będzie pełne chwały”. Jak na razie daleko nam do tej sielanki zarówno na świętej Górze Pana, jak i wszędzie indziej, również u nas. Do połowy listopada jeszcze można się było łudzić, że żyje się nam bezpiecznie, ale po terrorystycznych zamachach na kolei ten złoty sen prysł jak bańka mydlana i co teraz z nami będzie? Będzie tyle, ile zrobimy wspólnie i każdy z osobna. Najgorsze, co można zrobić, a już to robimy, to wrzeszczeć „Bóg, honor, ojczyzna” i skakać do gardła każdemu.

Kto jeszcze pamięta i wierzy Janowi Pawłowi II, który mówił: „Wejście w struktury Unii Europejskiej, na równych prawach z innymi państwami, jest dla naszego narodu i bratnich narodów słowiańskich wyrazem jakiejś dziejowej sprawiedliwości”. „Dziś Polska nie może wyłączać się z tej wspólnoty”. „Integracja Polski z Unią Europejską jest od samego początku wspierana przez Stolicę Apostolską”. Wreszcie: „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej! To jest wielki skrót, ale bardzo wiele się w tym skrócie mieści wielorakiej treści”.

Jeśli kogoś nie przekonuje święty papież, to pewnie i święty apostoł nic nie wskóra: „Co dawniej napisano, napisano dla naszego pouczenia (...) przyjmujcie siebie nawzajem, jak i Chrystus przyjął was na chwałę Boga”. Na innym miejscu Paweł ostrzega: „Wy zatem, bracia, zostaliście powołani do wolności (...) służcie sobie nawzajem z miłością. Przecież całe Prawo zawiera się w tym jednym nakazie: Miłuj bliźniego jak siebie samego. Jeśli natomiast jeden drugiego kąsa i pożera, uważajcie, abyście się wzajemnie nie zjedli”. Przypomnijmy też sobie, komu Jan Paweł II pomagał wprowadzać nasz kraj do Unii i kto się temu sprzeciwiał. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Wierne Słowo



Przez cały ubiegły tydzień w Liturgii czytaliśmy Jezusową mowę eschatologiczną zaczerpniętą z Ewangelii św. Łukasza (zob. Łk 21, 5-36). To nie jest łatwa mowa. Uświadamia nam, że wszystko wokół nas przemija: „niebo i ziemia przemijają” (por. w. 33a). Najpiękniejsza – i pod wieloma względami jedyna! – świątynia może zostać obrócona w kupę gruzów; z domów, miast i całych państw może pozostać jedynie „kamień na kamieniu” – przez wojny, trzęsienia ziemi czy powodzie. Wszystkie – nawet najbliższe – więzi i relacje mogą zostać nadwyrężone lub wręcz zniszczone przez zdradę, gwałt i agresję – możemy zostać zdradzeni przez rodziców i rodzeństwo, krewnych i przyjaciół (w. 15). Możemy stracić życie. Wszystko przemija. Wszystko się zmienia. Nawet biskupi się zmieniają...

W tym świecie wielkiej niepewności Jezus nam obiecuje i daje jedno doświadczenie Wieczności – kieruje naszą uwagę na to, co nie przemija i na czym mamy możliwość zawsze się oprzeć. Tym „sakramentem” Wieczności jest... Słowo Boga: „Niebo i ziemia przeminą, ale Moje Słowa nie przeminą” (Łk 21, 33). Jego Słowo nie przemija. Opisuje, objaśnia każdą sytuację. I przez nią przeprowadza. Żadna zmiana go nie dezaktualizuje. Przeciwnie, to Ono „aktualizuje” każdą sytuację, ujawniając jej sens.

Dlaczego Słowo Boga nie przemija? Odpowiedź wydawałaby się oczywista i prosta jak sylogizm: to Słowo jest Słowem Boga – Bóg jest wieczny – więc i Jego Słowo jest wieczne. Takie wynikanie spełnia z pewnością rygory logiki formalnej, jednakże dla człowieka uginającego się pod ciężarem i bólem kolejnej dramatycznej zmiany w życiu – znaczy zapewne niewiele albo nic.

Ale Słowo Boga nie przemija nie dlatego (tylko), że Bóg jest wieczny i niezmienny, ale przede wszystkim dlatego, że jest wieczny i niezmienny w Miłości. Że jest wierny. Słowo Boga jest nieodwołalne, gdyż On nigdy nie cofa raz danego Słowa. Nigdy nie wycofuje się ze swoich obietnic. Nigdy nie mówi na wiatr: „Dary i powołanie Boże są nieodwołalne!” (Rz 11, 29). Nieodwołalność Słowa Boga nie jest tylko jego „naturalną” cechą. Jest Jego decyzją. Decyzją Miłości. Naprawdę, jest się na Czym – na Kim oprzeć. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE x4



HISTORIA



NAJSŁYNNIEJSZY LWOWSKI BATIAR

Grał wesołka, choć marzył o rolach tragicznych. 120 lat temu urodził się Kazimierz Wajda, legendarny Szczepcio z międzywojennej „Wesołej Lwowskiej Fali".

STANISŁAW CALIK

1. *Kazimierz Wajda (Szczepko), lata 30.*
2. *Henryk Vogelfänger (Tońko) i Kazimierz Wajda (Szczepko) w radiu, 1937 r.*
3. *Film „Będzie lepiej". Od prawej: Kazimierz Wajda jako Szczepko, Henryk Vogelfänger jako Tońko, 1936 r.*
4. *Wojskowy zespół „Lwowska Fala" w Wielkiej Brytanii – przedstawienie pt. „Kochajmy się". Kazimierz Wajda i Mira Grelichowska, 1942 r.*
5. *Od prawej: Henryk Vogelfänger (Tońko), Stanisław Sielański (w roli woźnego Hipka) i Kazimierz Wajda (Szczepko), 1936 r.*

W Polsce międzywojennej, w latach 30. XX w., znali ich wszyscy, od najmłodszych do najstarszych. Ale nie ich nazwiska, lecz imiona postaci, w które się wcielili. Para popularnych komików Szczepko i Tońko – albo też, w gwarze lwowskiej: Szczepcio i Tońcio – była najsłynniejszym duetem międzywojennej Polski. Ich występów w audycji radiowej „Wesoła Lwowska Fala" słuchał cały kraj. Stali się jednym z symboli lat poprzedzających wybuch II wojny światowej.

Szczepko, czyli Kazimierz Wajda, urodził się 120 lat temu. Oto opowieść o nim.

TA PIERWSZA REWIA | Lwów, marzec 1929 r., ulica Akademicka. W Kasynie Literackim właśnie zakończyła się rewia „Randka pod Wiedeńską". Od trzech miesięcy z wielkim sukcesem wystawia ją teatrzyk akademicki Nasze Oczko.



4

CZESŁAW DAŃKA / NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



5

Do kierownika teatrzyku i autora rewii Wiktora Budzyńskiego, studenta prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza, podchodzi w foyer młody człowiek i nieśmiało pyta: „Czy pan kolega nie ma w planach jakiejś całej spektaklowej sztuki? Bo ja grywam w mojej dzielnice na Gródku. W Sokole! Mam już kilka sztuk zasobu. Dogrywałem też nawet w Teatrze Wielkim. A w ogóle pracuję w magistracie lwowskim. Nazywam się Kazimierz Wajda".

Debiutant bierze udział w kolejnej rewii, pod tytułem „Same hece". Po raz pierwszy próbuje sił w kabarecie literackim – gatunku, w którym wkrótce stanie się znany w całej Polsce. Budzyński uczyni z niego gwiazdę.

WOKÓŁ DWORCA | Urodzony 3 grudnia 1905 r., Kazimierz pochodzi z niezamożnej rodziny. Ojciec, Aleksander, pracuje jako konduktor na kolei; matka, Wiktoria z Oleksiewiczów, zajmuje się domem i wychowuje dzieci: Kazimierza i jego dwie starsze siostry, Stanisławę i Cecylię.

Żyją skromnie i gdy tylko właściciel mieszkania, które wynajmują, podnosi cenę, muszą się wyprowadzić. Ale zostają cały czas w tej samej okolicy – wokół lwowskiego dworca. Mieszkają przy Głowackiego 13, po roku przenoszą się na Jozafata 8 (tu rodzi się Kazimierz, najmłodszy), po kilku latach na obecną Szeptyckich 13, a przed wybuchem I wojny światowej na Barską 4.

Chłopak uczy się w c.k. II Szkole Realnej przy ul. Szumlańskich, w klasie o profilu matematyczno-przyrodniczym. Potem, już w wolnej Polsce, studiuje na politechnice. Równolegle uczęszcza do szkoły dramatycznej.

W końcu uświadamia sobie, że teatr jest dla niego ważniejszy. Opuszcza politechnikę i przygotowuje się do egzaminu aktorskiego w ZASP, który da mu prawo występowania na profesjonalnej scenie. Bierze prywatne lekcje gry aktorskiej u lwowskiego mistrza sceny Mariana Bieleckiego; w 1924 r. z powodzeniem zdaje egzamin.

DEBIUT DUETU | Latem 1932 r. Wiktor Budzyński, w tym czasie reżyser audycji literackich w Radiu Lwów, postanawia przenieść teatrzyk Nasze Oczko do eteru. Tak powstaje program rozrywkowy „Wesoła Lwowska Niedziela". Kazimierz uczestniczy w nim jako zaproszony aktor. Po pół roku odbywa się najważniejsze spotkanie w jego życiu.

Było tak: pod koniec stycznia 1933 r. Budzyński zabiera do studia swego przyjaciela Henryka Vogelfängera, z którym siedział w gimnazjum w jednej ławce. Budzyński namówił go, by opowiedział przed mikrofonem jakąś zabawną historię gwarą miejską Lwowa, zwaną bałakiem. Henryk, adwokat, przywykł do występowania, ale nie potrafi opowiadać w pustym studiu. Budzyński prosi Wajdę, także znawcę bałaku, by partnerował Henrykowi.

Tak powstaje humorystyczny duet lwowskich batiarów, „ludzi ulicy", poszukiwaczy przygód. W tym duecie ironiczny sceptyk Szczepko (Wajda) sprowadza z nieba na ziemię naiwnego marzyciela Tońka (Vogelfänger). We Lwowie nazywają ich po swojemu: Szczepcio i Tońcio.

Po roku comiesięczny program „Wesoła Lwowska Niedziela" staje się programem cotygodniowym. Pod nową już nazwą: „Wesoła Lwowska Fala". Wajda zostaje zatrudniony w radiu jako spiker. Od poniedziałku do piątku czyta wiadomości, a w niedzielę pojawia się przed mikrofonem w roli batiara. Duet Szczepko i Tońko staje się szybko główną atrakcją programu.

DIALOGI W BAŁAKU | Wajda staje się sławny w Polsce. „Wesoła Lwowska Fala" jest bowiem nadawana w całym kraju. W miastach ulice pustoszeją, gdy zaczyna się audycja. W szczytowym momencie popularności „Fala" jest słuchana przez 6 mln osób – co szóstego mieszkańca Polski.

„Wesołofalowce", jak ich nazywają, zaczynają jeździć na trasy koncertowe, a głównymi bohaterami tych występów na żywo są Szczepko i Tońko. Wkrótce koncertują samodzielnie. Sami piszą zabawne dialogi w bałaku. We Lwowie dialogi te wydają jako osobną książkę. ↦



DOMENA PUBLICZNA

Lwów na pocztówce z 1914 roku

Wtedy duet otrzymuje zaproszenia od filmowców. Odrzucają kilka propozycji, ale gdy znany reżyser Michał Waszyński proponuje im zagranie swoich popisowych postaci, lwowskich batiarów Szczepka i Tońka, zgadzają się. No jasne! To będzie pierwszy film dźwiękowy, którego akcja rozgrywa się we Lwowie. I pierwszy, w którym aktorzy będą mówić w bałaku.

NA EKRANIE | O mały włos, a pomysł z filmem by się nie powiódł. Zdjęcia planowano na sierpień 1936 r., gdy ekipa „Wesołej Lwowskiej Fali" wyjeżdżała na urlop i duet mógł być do dyspozycji filmowców.

W warszawskim pawilonie kręcą sceny we wnętrzach, a potem będą zdjęcia plenerowe we Lwowie. Jednak Szczepko, który pędzi swoim autem do Zakopanego na występ, ulega wypadkowi. Na szczęście nie odnosi poważnych obrażeń, ale utyka. Tymczasem według scenariusza on i Tońko muszą szybko chodzić i dużo biegać po lwowskich ulicach.

Zdjęcia plenerowe są kilkakrotnie przekładane. W listopadzie staje się jasne, że nie można dłużej zwlekać. Komedia liryczna „Będzie lepiej" wychodzi pod koniec grudnia 1936 r. i odnosi ogromny sukces. Na ekranie nie widać, że Szczepko czasem utyka.

Wielu słuchaczy sądzi, że członkowie duetu grają samych siebie. Jednak w realnym życiu adwokat Vogelfänger wcale nie jest marzycielem, a Wajda, w przeciwieństwie do Szczepka, daleki jest od pragmatyzmu. W maju 1938 r., znudzony czytaniem wiadomości, odchodzi z pracy spikera. Przyciąga go praca twórcza, przenosi się na stanowisko referenta aktualności w lwowskim radiu. Pensja jest mniejsza, ale robienie wywiadów i reportaży – ciekawsze.

SUKCESY I PLANY | Wajda często ma fart. W lipcu 1938 r. planuje lecieć na wakacje do Rumunii, ale w ostatniej chwili oddaje bilet. Samolot rozbija się nad wschodnimi Karpatami, załoga i pasażerowie giną.

Mieszka w elitarnej dzielnicy Lwowa Nowy Świat – najpierw przy Głębokiej 20, potem przy Szymonowiczów 16. To ulica, przy której znajdują się wille znanych osób, jeździ po niej tramwaj, zwany po lwowsku „trambalem" lub „balonem". Obok domu Wajdy są korty tenisowe i stadion.

Na początku 1939 r. reżyser Waszyński kręci kontynuację przygód Szczepka i Tońka – liryczną komedię „Włóczęgi". Film odnosi tak duży sukces – m.in. dzięki wspaniałej piosence „Tylko we Lwowie", wykonanej przez nich po raz pierwszy – że wytwórnia filmowa K.S. Popławski podpisuje z Wajdą i Vogelfängerem kontrakt na kolejne cztery produkcje.

Latem 1939 r. aktorzy występują w kolejnym filmie, „Serca batiarów". Na jesień ekipa filmowa planuje wyjazd do USA, gdzie ma rozgrywać się akcja następnej komedii o przygodach naszej dwójki. Jednak tym planom nie jest już dane się spełnić, 1 września wybucha II wojna światowa.

CZAS WOJNY | Niemcy podchodzą pod Lwów. 11 września Szczepko i Tońko wraz z pracownikami radia opuszczają miasto – radiowcy mają przygotować rezerwowe nadawanie ze wsi Tatarów (w województwie stanisławowskim). „Wesołofalowcom" wydaje się, że opuszczają rodzinne miasto na krótko. Jednak do Lwowa już nie wrócą. 17 września, dowiedziawszy się, że Związek Sowiecki dołączył do III Rzeszy, przekraczają granicę z Rumunią.

Tutaj niestrudzony Budzyński przy wsparciu YMCA (Związek Młodzieży Chrześcijańskiej) organizuje Polski Zespół Artystyczny „Lwowska Fala". Słowo „wesoła" szybko usuwają z nazwy, jako niepasujące na czas wojny. Artyści występują dla polskich żołnierzy, którzy również schronili się w Rumunii, oraz dla cywilnych uchodźców.

Wajda występuje nie tylko jako Szczepko w duecie z Vogelfängerem, ale także solo, recytując patriotyczne wiersze.

Z czasem „Lwowska Fala" przenosi się do Francji, gdzie nadal występuje przed rodakami, a potem do Wielkiej Brytanii. Formalnie obaj aktorzy zostają żołnierzami 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka.

WYCZERPANIE | W Wielkiej Brytanii duet Szczepko i Tońko przestaje istnieć. Wajda coraz częściej leczy się w szpitalu (problemy z kręgosłupem zaczęły się w Rumunii, teraz bóle są całodobowe). Vogelfänger jest zmuszony pisać dla siebie monologi, nie mają możliwości przygotowania wspólnego programu.

Jednak kryzys ma też drugie dno: Wajda od dawna ma dość roli Szczepka. W 1933 r., gdy Budzyński poprosił go, by pomógł adwokatowi, myślał, że to partnerstwo będzie tymczasowe. Postać Szczepka przylgnęła do niego tak, że w efekcie utrudniła mu otrzymywanie dramatycznych ról w teatrze. Tymczasem on marzył właśnie o nich.

Jeszcze przed wojną Wajda uznał, że postacie Szczepka i Tońka wyczerpały się – wymyślanie dla nich nowych dialogów stawało się coraz trudniejsze.

Koledzy proszą Wajdę, by duet trwał – dialogi Tońka i Szczepka zawsze są gwoździem programu. Gdy pozwala więc na to zdrowie, występuje. Ale tylko z solowymi numerami – czyta fragmenty dramatów Stanisława Wyspiańskiego, kompozycję wierszy Jana Kasprowicza.

WARSZAWA | Pod koniec 1947 r. Wajda wraca do pojałtańskiej Polski. W Krakowie osiedliła się jego siostra Stanisława wraz z rodziną i matką. Lwów, aneksowany ponownie przez Sowietów, opuścili pod koniec 1945 r. Mąż siostry pochodzi z Krakowa, tu są jego krewni.

Kazimierz wraca nie sam. Pół roku wcześniej poślubił aktorkę Mirę Grelichowską. Uchodźczyni z Warszawy, dołączyła do „Fali" w Rumunii. Jego ślub zaskakuje kolegów – we Lwowie był zatwardziałym kawalerem. Twierdził, że nigdy się nie ożeni, bo nie urodziła się jeszcze kobieta, która mogłaby z nim wytrzymać. Gdy poznał Mirę, uznał, że się mylił.

Małżonkowie osiedlają się w Chyliczkach koło Warszawy, gdzie Grelichowska ma dom z ogrodem – ten majątek, stylizowany na szlachecki, należał do jej rodziny od końca XIX w. Kazimierz prowadzi w stołecznym radiu cotygodniowy program humorystyczny „Przy sobocie, po robocie". Mira pracuje w radiu jako aktorka i recytatorka.

Tworzą humorystyczny duet, w którym on pisze dialogi. Ich koncerty podobają się publiczności, ale nie odnoszą takiego sukcesu jak duet Szczepko-Tońko. Powodem jest także PRL-owska cenzura: nie wolno wspominać o Lwowie, nie wolno mówić ze sceny bałakiem ani grać lwowskiego batiara. A poza lwowskim folklorem fortuna nie sprzyja Wajdzie.

TĘSKNOTA | Wajda bardzo tęskni za swoim ukochanym Lwowem. Niemożliwość odwiedzenia go, oddychania szczególnym lwowskim powietrzem, rozdziera mu duszę.

Jesienią 1953 r., podczas urlopu w śląskich Cieplicach, pisze nostalgiczny poemat „Gródeckie kwiaty". Tytuł mówi sam za siebie: uliczki, na których spędził dzieciństwo, przylegają do słynnej ulicy Gródeckiej. Przypomina w nim sobie ojca i mamę, z którą chodził na zakupy, siostry, skrzypka w restauracji (a nawet jego piosenkę bałakiem: „Na placu Krakowskim / Stała si cholera / Jóżku Marynowski / Strzyla z liworwera!"). Rudowłosą sprzedawczynię Rózię, chleb „Kulikowski" (marka przedwojennego Lwowa). I wiele więcej.

Podczas każdej wizyty u krewnych w Krakowie mówi, że miasto to przypomina mu Lwów. Bywał tu już przed wojną – występował z Tońkiem w Teatrze Starym. Jednak teraz, gdy Lwów stał się dla niego otwartą raną, spotkania z Krakowem mają szczególny wydźwięk.

3 kwietnia 1955 r. w Krakowie umiera Wiktoria, jego mama. Stojąc przy jej grobie na cmentarzu Rakowickim, Kazimierz prosi, by pochowano go również tutaj.

Ciężko przeżywa odejście matki. Miesiąc później, 8 maja, niespełna 50-letni Kazimierz jedzie warszawską ulicą swoim autem, zwanym w Polsce „dekawką". Nagle traci przytomność. Wylew krwi do mózgu, śmierć.

Jego prośba została spełniona, spoczął obok matki. Mira przeżyła go o 33 lata.

© STANISŁAW CALIK

Autor jest pisarzem i scenarzystą. Pochodzi z Kijowa, mieszka w Krakowie. Wydał (razem z Olegiem Chornym) książkę „Tylko we Lwowie. Tońko, Szczepko i wszyscy inni" (Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2024).

REKLAMA

Radio Kraków

Nadajemy do myślenia
radiokrakow.pl


LUDZIE


których chce się słuchać

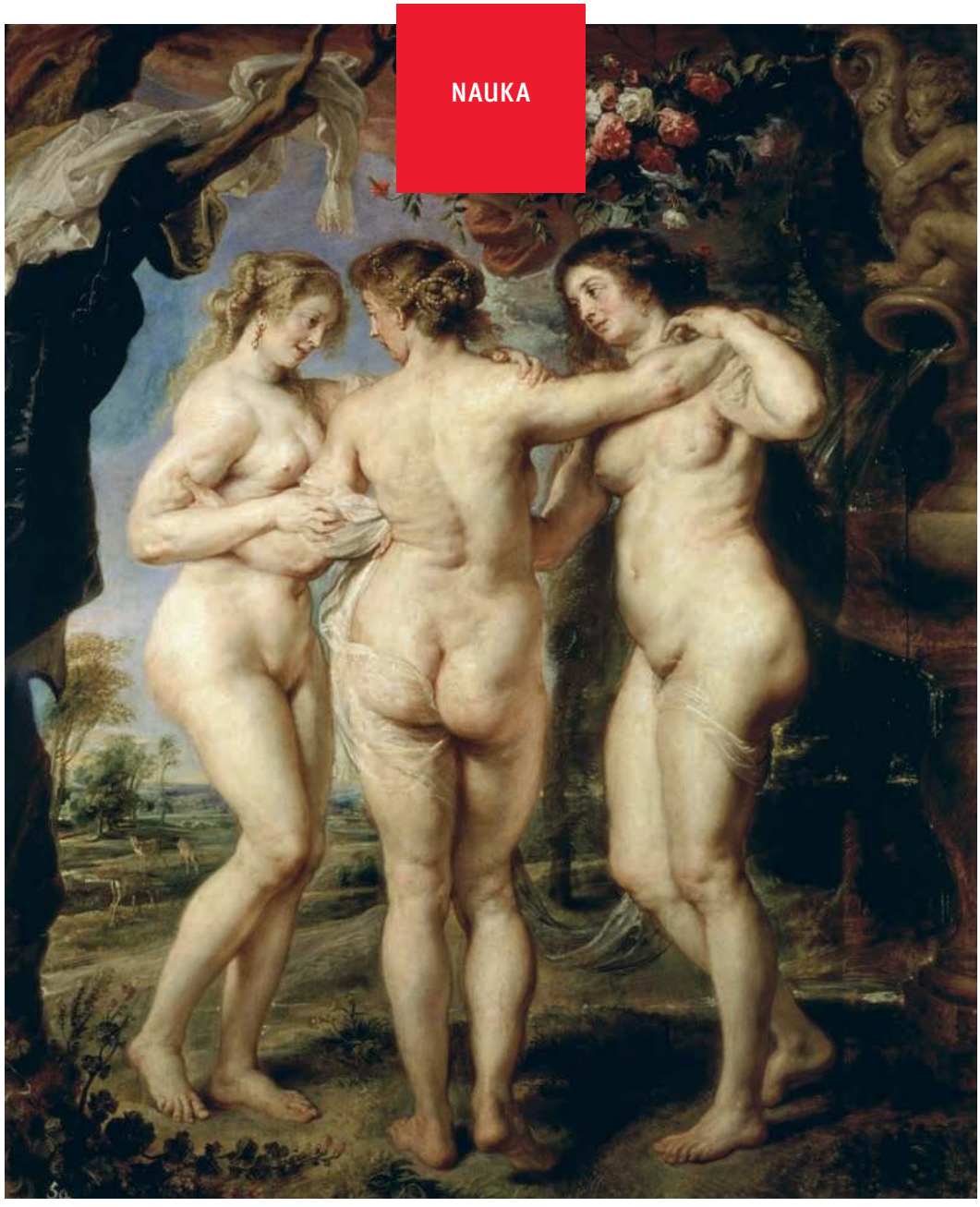

AKG-IMAGES / BE&W

Peter Paul Rubens, „Trzy Gracje", ok. 1638-40 r., Muzeum Prado

JESTEŚMY GATUNKIEM PIELGRZYMÓW

JUAN LUIS ARSUAGA, ANTROPOLOG:

Nie mamy się czego wstydzić przed końmi czy gepardami. Nasze ciała też są doskonale zaprojektowane. Tylko czasem zapominamy, do czego.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Z wykształcenia jest Pan biologiem, pracuje jako paleoantropolog, ale w swojej najnowszej książce, poświęconej ludzkiemu ciału, wiele miejsca przeznacza Pan nie na wykopaliska i skamieniałości, tylko na muzeum Prado i sztukę. Dlaczego?

JUAN LUIS ARSUAGA: Bo jestem zwyczajnym człowiekiem i kocham sztukę. Moja mama zabierała mnie do Prado od dziecka. I w przeciwieństwie do większości zwiedzających, zaczynaliśmy nie od obrazów, tylko od rzeźb greckich i rzymskich.

Niedługo wybieram się do Grecji i zamierzam spędzać czas, zwiedzając muzea i szukając inspiracji. Jeśli interesuje cię ludzkie ciało, musisz jechać do Grecji i musisz iść do muzeów. Reszta świata była długo barbarzyńska. To Grecy odkryli, że mamy ciało, że można je przedstawiać i że ciało wyraża umysł. Wielu pojęć, które dziś uważamy za uniwersalne – piękno, proporcje, harmonia – tam zostało wymyślonych.

Dziś często bywam w Prado, myślę nawet o napisaniu kiedyś książki o tym muzeum. Historia sztuki to przecież w ogromnej mierze historia przedstawiania ludzkiego ciała.

A jednocześnie, i o tym Pan pisze, większość z nas swoje własne ciało ignoruje.

Moi studenci świetnie znają ciało z ilustracji, ale prawie nic nie wiedzą o własnym. Mówię im: nie patrzcie tylko na rycinę. Macie własne ciało. Badajcie je. Dotykajcie. Sprawdzajcie, gdzie są kości, ścięgna, mięśnie. Pewnego dnia ktoś mnie za to pewnie pozwie, bo dziś to tabu.

Problem polega na tym, że żyjemy w kartezjańskim świecie: jest „ja" – umysł, duch, osobowość – i jest ciało jako „pojazd", który ma nas tylko wozić. A ja próbuję ten obraz odwrócić: nie jest tak, że umysł ma ciało. To ciało ma umysł. Właściciel „ja" jest cielesny.

Mamy z ciałem relację podobną do tej, którą ja mam ze swoim samochodem: wiem, że ma gdzieś silnik i jak wleję benzynę, to pojedzie. Ale nie mam pojęcia, jak to działa. Różnica jest taka, że ciało posiada wrażliwość – czujemy świat przez nie. A jednak myślimy o nim dopiero, gdy nas boli.

Skąd ta dziwna niechęć do własnego ciała? Religie? Kultura? Wstyd?

Wszystko naraz. Religie – chrześcijaństwo, islam, judaizm – są bardzo nieufne wobec ciała. Ciało jest słabe, grzeszne, podejrzane. W sztuce islamskiej przez wieki prawie nie przedstawiano ludzi.

W chrześcijaństwie przez stulecia jedną z nielicznych nagich postaci był... Jezus na krzyżu. To paradoks, prawda? Reszta ludzkości była ubrana, jedyny nagi człowiek to Jezus.

Albo historia Adama i Ewy: w raju chodzą nago i nawet nie są tego świadomi. Dopiero po wygnaniu odkrywają, że są nadzy, i się wstydzą. W raju byli nudystami, poza nim już nie. To opowieści, ale dobrze pokazują, jak bardzo ciało wiązano z winą i wstydem.

W końcu przychodzi Kartezjusz i jego *cogito ergo sum*. Wielki filozof, mam do niego ogromny szacunek, ale jego radykalny dualizm – dusza tu, ciało tam – bardzo się zakorzenił. Przez długi czas uważało się, że prawdziwy intelektualista nie uprawia sportu, nie ogląda tenisa w telewizji, tylko czyta. Ciału nie wypadało poświęcać uwagi.

Ja jestem raczej epikurejczykiem: materialistą, który uważa, że powinniśmy poznać ciało i czerpać z niego przyjemność – także intelektualną.

Przejdźmy do ewolucji. W podręcznikach często czytamy, że tym, co nas naprawdę definiuje, jest mózg. W Pana książce równie ważne stają się jednak ręce, stopy, sposób poruszania się. Co właściwie „czyni nas ludźmi"? Mózg, ręce, stopy, coś innego?

Z punktu widzenia ewolucji najpierw pojawiła się dwunożność, dopiero potem duży mózg. Te dwa kluczowe dla człowieka elementy są „rozsynchronizowane". Postawa wyprostowana pojawia się około 4 mln lat temu, wraz z australopitekami.

Wcześniej mamy prawie czarną dziurę: wiemy z genetyki, że linia ludzka rozeszła się z szympansią 5-7 mln lat temu, ale skamieniałości z tego okresu są bardzo fragmentaryczne. Czy ówcześni przodkowie człowieka byli dwunożni? Spieramy się o to. Moim zdaniem najwcześniejsze homininy, czyli gatunki obejmujące przodków ludzi i szympansów oraz ich najbliższych krewnych, prawdopodobnie nie były jeszcze w pełni dwunożne.

Australopiteki znamy dobrze. Wiemy, że były dwunożne, chodziły krokiem zbliżonym do naszego. I – co fascynujące – miały ręce i ramiona bardzo podobne do naszych. Nie tylko stopy! W zapisie kopalnym nowoczesne dłonie i nowoczesne stopy pojawiają się równocześnie. Dlaczego? Czy istnieje genetyczny związek między rozwojem stóp i rąk? Nie wiemy. Stopy rozumiemy: służą do dwunożnego chodu. Ale zręczne dłonie? Przecież można manipulować przedmiotami, nie będąc w pełni dwunożnym. A jednak u kandydatów na najwcześniejszych homininów ani dłonie, ani stopy nie są „nasze". Dopiero u australopiteków pojawiają się w pakiecie.

Czyli: najpierw stajemy na dwóch nogach, dłonie się uwalniają, dopiero potem rośnie mózg?

Tak. Zanim nasz mózg się powiększa, pojawiają się zdolności manualne, manipulacja przedmiotami, proste narzędzia. To prawdopodobnie warunek konieczny, choć niewystarczający, dla późniejszej ekspansji mózgu.

Ale w tej historii jest jeszcze jedna „anomalia". Patrząc na ewolucję innych naczelnych, można by się spodziewać, że pójdziemy w stronę parantropów, kuzynów australopiteków: wielkie szczęki, ogromne zęby, aparat do miażdżenia twardego, roślinnego pokarmu w coraz bardziej suchym, otwartym środowisku. To byłoby logiczne. Tymczasem w pewnym momencie pojawia się nasz przodek, który robi coś dokładnie odwrotnego: zmniejsza zęby i szczęki, a inwestuje w technologię i mózg. Zastępuje biologię kulturą. Gdybym był pozaziemskim zoologiem obserwującym Ziemię, nigdy bym się tego nie spodziewał. To kompletnie inna trajektoria ewolucyjna.

Kolejny spór dotyczy tego, jak bardzo wyjątkowe jest nasze ciało. W książce stawia Pan mocną tezę: *Homo sapiens* to nie jest tylko kolejny wariant, ale „projekt rewolucyjny".

Jedna szkoła mówi: od pasa w dół jesteśmy mniej więcej tacy jak *Homo erectus*. Inna – i do niej należę – twierdzi, że nasza sylwetka to nowość właściwa *Homo sapiens*, pojawiająca się ok. 200 tys. lat temu. To tak jak z Kopernikiem: albo Słońce krąży wokół Ziemi, albo Ziemia wokół Słońca. Nie ma opcji pośredniej. ↦

↦ Tu też mamy dwie niekompatybilne hipotezy. Ja uważam, że to my mamy rację – i że potwierdzą to skamieniałości.

Homo erectus czy neandertalczycy to moim zdaniem „doskonalenie starego modelu". Trochę jakbyś dodawał coraz większe żagle do statku żaglowego. My z kolei jesteśmy jak przejście na napęd parowy. To inny typ projektu biologicznego. Nasze ciało jest wąskie, lekkie, wyjątkowo dobrze przystosowane do długodystansowego marszu i biegu. Jesteśmy gatunkiem pielgrzymów, maratończyków.

Jesteśmy w pełni produktem ewolucji, ale nasz projekt jest inny. Nie jesteśmy tylko wariantem *Homo erectus*. Zrezygnowaliśmy z maksymalnej siły osobniczej na rzecz siły grupy. Neandertalczycy mieli zapewne o 10-15 kg więcej mięśni niż my. Ich ciała były stworzone do krótkich, intensywnych wysiłków – zasadzki, bezpośrednie starcia. My poszliśmy w wytrzymałość i w sieć społeczną: polowanie przez zmęczenie, współpraca, podział ról, sojusze, kontrola terytorium.

Jeśli musisz zabić zwierzę w bezpośredniej walce, musisz być niezwykle silny. Jeśli polujesz z dystansu, przy pomocy oszczepów, pułapek, długiego pościgu grupowego – wystarczy, że jesteś sprytny, dobrze zorganizowany i masz ciało odpowiednie do długiego marszu.

Zwykle słyszymy raczej odwrotną opowieść: że ciało człowieka jest kiepsko zaprojektowane, źle znosi pionową postawę, a bóle kręgosłupa czy stawów to „cena za bycie człowiekiem".

Tak nas uczono: że jesteśmy jedynym gatunkiem źle zaprojektowanym, brzydkim, mechanicznym potworkiem natury. Że najlepiej nas zakryć ubraniem, bo ciało jest wstydliwe. A reszta zwierząt – konie, wilki, gepardy – są piękne i doskonałe. To nieprawda. Jesteśmy bardzo dobrze zaprojektowani – do tego, do czego zostaliśmy zaprojektowani. Ptaka nie należy oceniać po tym, jak pływa.

Lekarze przez lata powtarzali: boli cię kręgosłup? „To cena dwunożności". Wypadają ci zęby? „To cena bycia człowiekiem". Jakbyśmy płacili jakąś biblijną karę za ewolucję. Tymczasem większość naszych problemów ma więcej wspólnego z cywilizacją niż z naturą. Z siedzącym trybem życia, dietą, brakiem ruchu. Nasze ciało nie było projektowane do siedzenia przy komputerze. Jest tak wydajne, jeśli chodzi o zużycie energii, że niezwykle trudno schudnąć tylko dzięki ćwiczeniom.

JUAN LUIS ARSUAGA jest hiszpańskim ewolucjonistą, paleoantropologiem i wpływowym intelektualistą. Syn piłkarza Realu Madryt i historyczki sztuki. Dorastał między stadionem a muzeum, co miało realny wpływ na jego sposób myślenia o ludzkim ciele – jednocześnie jako o sprawnym mechanizmie i jako o obiekcie kultury.



Naukowym centrum jego życia jest Atapuerca – niewielkie pasmo wzgórz nieopodal Burgos, gdzie Arsuaga i inni hiszpańscy badacze opisali liczne skamieniałości z okresu rozciągniętego na przeszło milion lat. Jego najnowsza książka – „Ciało" (tłum. Ewa Ratajczyk, Znak 2025) – to opowieść o człowieku i jego ewolucji z perspektywy kości, mięśni czy cielesnych proporcji. Arsuaga przekonuje, że nasze ciało jest ewolucyjnym dokumentem, z którym się nie rozstajemy, choć go nie „czytamy". I pokazuje, jak wiele można z niego zrozumieć, jeśli połączy się wiedzę biologiczną z wrażliwością wyniesioną z muzeów sztuki.

W ostatnich dekadach w paleoantropologii mamy prawdziwą rewolucję: pojawili się denisowianie, ***Homo floresiensis*****,** ***Homo naledi*****... Jak na Pana, weterana wykopalisk, zadziałały te odkrycia?**

Większość skamieniałości jest ważna, ale niekoniecznie sensacyjna. Wypełniają luki, poprawiają datowania, pozwalają precyzyjniej narysować drzewo rodowe.

Ale są odkrycia, które naprawdę wywracają nam wyobraźnię. Dla mnie takim szokiem był *Homo floresiensis*. Kiedy w 2004 r. dziennikarz zadzwonił z prośbą o komentarz, byłem przekonany, że to żart. Wysłał mi pdf-a z objętą jeszcze embargiem wersją artykułu, w formacie „Nature". Pomyślałem: ktoś podrobił czasopismo, żeby się ze mnie pośmiać.

Zadzwoniłem do kolegów za granicą – oni potwierdzili, że to prawda. Wtedy uznałem, że oni też są w zmowie. Mały, metrowy hominin, na wyspie o hiszpańskiej nazwie Flores, w Indonezji, żyjący obok waranów z Komodo i karłowatych słoni... Brzmiało jak żart primaaprilisowy.

Drugim wielkim szokiem był dla mnie *Homo naledi*. Byłem w tej komorze, gdzie znaleziono szczątki – zejście jest trudne, wręcz klaustrofobiczne. Spędziłem życie, pracując na dnie szybu w Atapuerca, więc jestem przyzwyczajony do jaskiń. W dół jeszcze jakoś człowiek się wciska, pomaga grawitacja. Ale powrót do góry był koszmarem.

Sam gatunek jest zdumiewający: anatomicznie przypomina *Homo habilis* żyjącego 2 mln lat temu, a datowanie daje wynik ok. 300 tys. lat. Czyli gatunek z pozoru „archaiczny", ale żyjący równolegle z pierwszymi *Homo sapiens*. Tu szokuje nie geografia, lecz chronologia.

Do tego dochodzą znaleziska takie jak Mała Stopa – prawie kompletny szkielet australopiteka, czy świetnie zachowane szkielety z jaskini Malapa w RPA (reprezentujące *Australopithecus sediba*). A jednak wciąż brakuje nam tego, co najcenniejsze: powiązanych, kompletnych szkieletów. Często mamy kość udową, ale nie wiemy, jak wyglądała reszta ciała, do którego należała. Czasem żartuję, że do pełni szczęścia brakuje już tylko jakiegoś hominina z Grenlandii.

Wróćmy do książki. W jednej z rozmów powiedział Pan, że to pierwszy w historii „podręcznik anatomii do czytania". Co to znaczy?

Spójrzmy na klasyczne atlasy anatomii: piękne rysunki „ogołoconych" ludzi, wiele łacińskich terminów. Tego się nie czyta, tylko konsultuje. Nikt nigdy nie wziął podręcznika anatomii i nie przeczytał go od deski do deski jak powieści.

A ja chciałem napisać coś, co czytelnik przeczyta. Tekst, który prowadzi przez ciało jak przez narrację, przez opowieść, a nie zestaw tablic. Książka nie ma ilustracji, bo ilustracją jest twoje własne ciało. To książka do czytania i do dotykania.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

MILAGROS ALGABA / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA ZNAK

S-NET GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie



REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami

+48 12 395 71 00

Kultura siłą napędową polskich miast

W wielu miejscach w Polsce, od Pomorza po Podkarpacie, widać, że **kultura jest osią rozwoju i siłą napędową** dla miast i regionów. Impuls do tej zmiany przynosi m.in. program **Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko (FEnIKS), realizowany w latach 2021-2027**, w ramach którego na projekty infrastrukturalne dotyczące zachowania dziedzictwa i rozwoju instytucji kultury Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego dysponuje rekordową kwotą 2,8 mld zł.

To dzięki temu programowi powstają nowoczesne miejsca kultury, które pełnią rolę centrów aktywności społecznej, rewitalizowane są zabytki, a oferta kulturalna staje się bardziej dostępna i atrakcyjna. Program stawia na ludzi, ich zaangażowanie w życie kulturalne, nowoczesność, otwartość i zrównoważony rozwój – łączy troskę o dziedzictwo z patrzeniem w przyszłość.

Program wspiera projekty w dużych metropoliach, ale też mniejszych miejscowościach, aż **31 proc. dofinansowanych przedsięwzięć** realizowanych jest w miastach, które przez lata traciły funkcje gospodarcze lub społeczne. Kultura coraz częściej staje się tam symbolem pozytywnej zmiany.

Kultura jako inwestycja w ludzi

Celem programu jest tworzenie nowoczesnych, otwartych i przyjaznych miejsc spotkań. Nowe instytucje kultury powstają nie po to, by wypełnić lukę w infrastrukturze, ale by **dać ludziom powód do pozostania** – i tworzenia lokalnej wspólnoty. FEnIKS promuje współpracę, łączenie tradycji z nowoczesnością, zielone rozwiązania i większą dostępność – także dla osób z niepełnosprawnościami.

– *Program FEnIKS wpisuje się w wizję kultury jako źródła wspólnoty, edukacji i rozwoju lokalnego* – mówi **Marta Cienkowska, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego**. – *Chcemy, by kultura była dostępna dla każdego, by miasta i regiony, szczególnie te, które utraciły swoje gospodarcze lub społeczne funkcje, mogły na nowo zaistnieć poprzez inwestycje w infrastrukturę kultury i turystyki. Dzięki FEnIKS powstaną miejsca aktywności, integracji i kreatywności, które staną się sercem życia społecznego. Wierzymy, że efekt będzie długofalowy – wzrost uczestnictwa w kulturze, wzmocnienie tożsamości lokalnej oraz realny impuls dla turystyki.*

Efekty w liczbach

Program od początku cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Od 2023 roku do tej pory ogłosiliśmy 6 naborów projektów, w ich ramach wpłynęło aż 212 wniosków, 55 z nich otrzymało dofinansowanie na łączną kwotę 3,5 miliarda złotych, w tym 1,7 mld zł to wkład UE. Projekty te są w zaawansowanej fazie realizacji.

Ostatni nabór wniosków zakończył się 30 września 2025 roku. O dofinansowanie ubiega się 87 projektów na łączną kwotę 3,35 miliarda złotych, z czego ponad 2 miliardy to wnioskowana kwota z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego. Decyzje o dofinansowaniu zostaną ogłoszone wiosną 2026 roku. Szczegóły dotyczące naborów można znaleźć na stronie **www.feniks.kultura.gov.pl**





Gmina Bytów, projekt: Budowa Bytowskiego Centrum Kultury

Co dzięki Programowi FEnIKS zyskają odbiorcy?

W niewielkim, liczącym 18 000 mieszkańców **Bytowie** na Kaszubach, powstaje nowoczesny budynek centrum kultury, składający się z dwóch obiektów o łącznej powierzchni prawie 3 tys. m² przeznaczonej na działalność kulturalną i edukacyjną. – *Znajdzie się w nim sala kinowa na 104 osoby i wielofunkcyjna sala widowiskowa dla ponad 300 widzów. Nowy obiekt zastąpi stary, niefunkcjonalny budynek, oferując przestrzeń dostosowaną do potrzeb współczesnych użytkowników. W efekcie powierzchnia udostępniana mieszkańcom na cele kultury i aktywności społecznej zwiększy się o ponad 30 procent* – mówi Mariola Wejman, kierownik Wydziału Rozwoju Lokalnego i Promocji Urzędu Miejskiego w Bytowie.

Z kolei w **Krakowie**, w sercu Nowej Huty, trwa realizacja projektu *„Modernizacja i rozbudowa dawnego kina Światowid na potrzeby Muzeum Nowej Huty”*.

– *Budynek kina zostanie kompleksowo wyremontowany i odrestaurowany. Nastąpi rozbudowa, głównie w części podziemnej, gdzie znajdzie się wystawa stała, oraz nadbudowa na dachu, gdzie powstanie ka-*





Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, projekt: Modernizacja i rozbudowa budynku dawnego kina Światowid na potrzeby Muzeum Nowej Huty

wiarnia i kino letnie – informuje Krzysztof Haczewski, kierownik działu komunikacji z Muzeum Krakowa, które realizuje ten projekt. – *Przestrzeń wokół zyska nowe tarasy, miejsca parkingowe i rowerowe, a teren będzie miał ozdobną zieleń, wspierając bioróżnorodność. Powstanie też przestrzeń społeczna – sąsiedzka, miejsce spotkań lokalnej społeczności, wymiany myśli i wiedzy. Liczba zwiedzających zwiększy się niemal czterokrotnie. Będzie to efektem zaspokojenia ogromnego popytu oraz znacznego zwiększenia możliwości obiektu. Projekt otwiera się na nowe grupy odbiorców – osoby z niepełnosprawnościami i seniorów – zwiększając włączenie społeczne. Promując historię dzielnicy, podniesie atrakcyjność turystyczną Nowej Huty, uzupełniając ofertę Krakowa i wspierając ideę zrównoważonej turystyki. Nowa Huta zyska miejsce kompletnej opowieści o jej historii i dziedzictwie. W ten sposób Muzeum Nowej Huty może wpłynąć pozytywnie na rozwój okolicy*.

Kultura buduje wspólnotę

Dla wielu beneficjentów Program FEnIKS to nie tylko źródło finansowania, ale przede wszystkim **narzędzie do wzmacniania wspólnoty**. – *Zwiększenie poczucia przynależności, budowanie więzi z miejscem i dumy z dostępnej przestrzeni – nie tylko historycznej, ale też współczesnej, jako miejsca spędzania wolnego czasu w gronie rodziny i przyjaciół – to jeden z celów realizacji projektu „Ochrona i podniesienie atrakcyjności turystycznej podziemnych wyrobisk Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu"* – podkreśla Bartłomiej Szewczyk, dyrektor Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu.





Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu, projekt: Ochrona i podniesienie atrakcyjności turystycznej podziemnych wyrobisk Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu

FEnIKS to inwestycja nie tylko w budynki, ale przede wszystkim w **ludzi i ich wspólną przestrzeń**. Dzięki realizowanym projektom mieszkańcy mają zyskać większą dostępność kultury, ale też motywację do tworzenia własnych inicjatyw. Kultura staje się tu nie luksusem, lecz realnym czynnikiem rozwoju – narzędziem włączania społecznego i odbudowy lokalnych więzi.

Przykładem takiego podejścia jest powstający w Gdańsku **Dom Literatury** – projekt, w ramach którego siedemnastowieczny Zespół Sierocińca zostanie zrekonstruowany i zaadaptowany do nowych funkcji kulturalnych i turystycznych.

– *Widzę Dom Literatury jako otwarte serce literackiego Gdańska – miejsce, które pozwoli twórcom rozwijać skrzydła, mieszkańcom spotykać się z literaturą w sposób żywy, dostępny i bliski codzienności* – mówi Aleksandra Dulkiewicz, prezydent Gdańska. – *To będzie przestrzeń dialogu, edukacji i twórczej odwagi, w której lokalne opowieści łączą się z międzynarodową perspektywą. Ufam, że w najbliższych latach Dom Literatury stanie się naturalnym domem dla wszystkich wierzących w siłę słowa*.

Beneficjenci programu podkreślają też, że inwestycje te realnie zwiększają uczestnictwo w kulturze. Dyrektor **Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu** mówi: – *Zwiedzający będą mogli lepiej poznać historię regionu w sposób angażujący i przystępny. Interaktywne trasy i programy edukacyjne zachęcą do częstszego uczestnictwa w życiu kulturalnym, również osoby, które wcześniej były mniej zaangażowane. Przede wszystkim z oferty będą mogli korzystać wszyscy, bez wykluczenia. Zaplanowane warsztaty i zajęcia z „śląskiej godki" zbudują poczucie współtworzenia i dumy z lokalnego dziedzictwa*.

Muzeum Górnictwa staje się coraz ciekawszą atrakcją turystyczną, czego niezbitym dowodem jest fakt, że Sztolnia Królowa Luiza, której dotyczy realizowany przez Muzeum projekt, otrzymała tytuł Cudu Polski 2025 w plebiscycie Cuda Polski 2025 organizowanym przez „National Geographic Traveler".

Wspólna mapa kultury

Program **FEnIKS** to znacznie więcej niż inwestycje. To **impuls dla kultury, edukacji, turystyki i wspólnot lokalnych**. Dzięki wsparciu Funduszy Europejskich w całym kraju powstają i modernizowane są centra kultury, muzea, sale widowiskowe oraz przestrzenie edukacyjne





Gmina Gdańsk, projekt: Przywrócenie wartości siedemnastowiecznemu Zespołowi Sierocińca w Gdańsku z konserwacją i rekonstrukcją zabytku oraz adaptacją budynków i terenu dawnej instytucji do nowych funkcji – kultury i turystyki

i wystawiennicze. Z każdym z tych miejsc wiąże się lokalna historia – i ludzie, którzy wierzą, że kultura potrafi realnie zmieniać świat.

W rezultacie polska kultura zyskuje nie tylko nową infrastrukturę, ale też **nową energię** – taką, która potrafi zatrzymać ludzi w ich małych ojczyznach, a jednocześnie **otworzyć te miejsca na świat**.

Dzięki starannej selekcji projektów, współpracy instytucji i potencjałowi środków unijnych coraz więcej miast i regionów realnie się zmienia. Przykłady opisane wyżej pokazują, że efekty są już widoczne, a ich znaczenie będzie odczuwalne w skali całego kraju. Warto śledzić, jak rozwija się ten proces – i jak **kultura staje się siłą napędową polskiej zmiany społecznej i gospodarczej**.

O wszystkich projektach zrealizowanych z Programu FEnIKS, jak i z wcześniejszych jego edycji można przeczytać na stronie www.feniks.kultura.gov.pl w sekcji mapa projektów.



DAWID GRZELAK / MATERIAŁY PRASOWE

KULTURA

LUBIĘ WIDZIEĆ BUŹKI

BŁAŻEJ KRÓL, MUZYK:

Działam raczej spokojnie, obserwuję i czekam na sygnały, które daje mi ciało, głowa. Daję sobie z wieloma rzeczami czas. Chcę się otwierać, ale trochę się tego cykam. Więc cykam się i otwieram.

EWELINA BURDA: Co lubisz w piosenkach?

BŁAŻEJ KRÓL: Lubię słyszeć rym w piosence. Lubię prostotę, ale też patos i teatralność śpiewania. A najbardziej chyba to, że słowo można w piosence interpretować inaczej niż to, które jest tylko napisane.

A ile w pisaniu piosenek jest z poezji?

Zawsze twierdziłem, że to, co piszę, to nie są żadne utwory, wiersze – to są piosenki, proste teksty. Zahaczam o poetyckość, to prawda. Ale nie lubię czytać swoich tekstów takich nagich. One działają z muzyką, na płycie, razem. A najbardziej działają podczas koncertu.

Co się wtedy dzieje?

Wpływa na nie intonacja, euforia, zmęczenie, kondycja dnia. Czasem zmieniam wtedy subtelnie teksty: bo widzę na przykład, jak rzeczownik dookreślony przymiotnikiem traci swoją moc, zamiast ją zyskiwać. Estetyka końcowa jest dla mnie najważniejsza. I teraz dokładam do tego sens.

BŁAŻEJ KRÓL jest wokalistą, kompozytorem i autorem tekstów. Urodził się 9 lutego 1984 r. w Gorzowie Wielkopolskim. Działał w zespołach Kawałek Kulki i UL/KR. Wydał osiem albumów (siedem solowych i wspólny z Katarzyną Nosowską). Związany z projektem Męskie Granie, artystycznie działa także z żoną, Iwoną Król.

Robisz coś inaczej?

Staram się pisać bardziej fabularnie. Nawet jeżeli piosenka nie jest całkowicie zamkniętą historią i wciąż blisko jej do impresji, to staram się, żeby nie było tam wykluczeń, dbam o spójność. Nie upieram się już, że wszystkie rzeczy, które mam w notatkach, muszą zostać wykorzystane. I niedawno sobie pomyślałem o tym, że przecież nikt nie wie, co tam mogło być. Przez długi czas piosenki bardziej kleiłem niż pisałem. Taki styl trochę dadaistyczny. Sens lub jego strzępy zyskiwało to później. I część moich piosenek, jak patrzę na nie dziś, to nie wiem, o czym jest. Może tak się broniłem przed tym rymowaniem, poetyckością?

Dużo poprawiasz?

Trochę jest szlifowania, ale chcę, żeby to miało też pierwotną ulotność, może nawet jakiś błąd. Do wielu zmian w muzyce zainspirowała mnie moja cudowna przyjaciółka, która jest moją żoną. Iwona w tym roku sama wydała album, artystycznie działa jako Sujka. Muzycznie bardzo jej pomagałem, ale tekstowo to jej praca, jej tematy. I tu się różnimy.

To znaczy?

U mnie temat czy temperatura mogą zostać zauważone dopiero, gdy to jest napisane. Trochę z lenistwa i z takiego poczucia, że tak mogę. Album Iwony to tematy, które sobie zadała. Proste, bardzo intymne pisanie: o stracie, pożądaniach, o różnych życiowych, codziennych sprawach.

A Twoje piosenki o czym są?

Czasem zastanawiam się, czy w ogóle muzyk powinien opowiadać, o czym jest piosenka lub płyta: bo jak to nie czyta się samo, to może jest po prostu słabe? Niektóre utwory z wcześniejszych lat nie są mi już bliskie, to już nie jestem ja albo zapomniałem o sobie z tamtego czasu.

A taka konieczna interpretacja kojarzy mi się ze szkołą: „Wyjaśnij, co poeta miał na myśli". Strasznie tego nie lubiłem, nie umiałem, nie byłem w tym dobry. Mama polonistka, ale ja byłem trójkowo-dwójkowym uczniem, jakieś dysleksje, problemy. Dłuższe formy to była dla mnie trauma.

Zostałeś przy krótszych: na nowej płycie „Popiół" jest dziesięć piosenek.

Gdy mam o tej płycie opowiadać, do głowy przychodzi mi czuły barbarzyńca. Jest w niej jakaś militarność, słowa z tego porządku, ale jest i chłopięcość. Jest spojrzenie na siebie i zobaczenie czegoś pod tą grubą często tkanką. Taka zabawa w chowanego.

A „popiół"?

Wokół tego słowa jest mnóstwo opowieści kulturowych: posypywanie głowy, feniks, odrodzenie. Wszystko może zamienić się w popiół – ale sam popiół? W co on się zamienia? I różne impresje: papierosy, popielniczki, ogniska, dymy. Podoba mi się to słowo i kojarzy miło, a zarazem przerażająco: bo żeby powstał popiół, ogień musi coś pochłonąć. ↦

↦ Mój kolega z zespołu UL/KR, który dziesięć lat temu tworzyliśmy, powiedział kiedyś, że popiół jest jedną z najczystszych form. Nigdy tego nie sprawdziłem, ale lubię to powtarzać.

Lubię też albumy: słuchać ich, nagrywać je. Przy tym muzycznie pracowałem z Pawłem Krawczykiem, bez niego on nie byłby tak ciekawy. Długo pracowałem sam, staram się teraz bardziej otwierać na ludzi, którzy potrafią inne rzeczy niż ja.

Chciałeś ten album zadedykować „braciom i ojcom". Co mieli usłyszeć?

Iwona mi to trochę odradzała, że to dziś może być źle odebrane.

To nie są żadne recepty. Nie jest to szturchnięcie, bardziej poklepanie. Ale nie w duchu: chłopy, jesteśmy tacy silni, chodźmy. Tylko bardziej tak: jak nie masz siły iść, to czasem to też jest spoko. Pewne rzeczy mijają, będzie dobrze. Po deszczu wschodzi słońce, tak mówią, ale jeśli idzie kolejny burzowy tydzień, to też będzie dobrze.

Staram się, żeby to wszystko było tutaj, dziś. Nie jutro, nie wczoraj. Trochę frazes, ale mi to jakoś też pomogło.

Po raz pierwszy mam ciarki, gdy śpiewam swoje piosenki. Wcześniej niektóre tylko po karku przejechały wietrzykiem. Teraz jest inaczej. Na tej płycie najbardziej się przedstawiłem. Piosenki opisują też tego czterdziestoletniego mnie.

„Żeby te moje wszystkie lata / Chociaż w połowie równały się z mądrością / Bo już nie liczę tych wszystkich razy / Które przed snem w gardle stają ością". To z piosenki „Rozkaz".

Takie otwieranie się jest dla mnie ciekawe, ale też się go trochę cykam. Cykam się i otwieram. Działam raczej spokojnie: obserwuję, czekam na sygnały które daje ciało, głowa. Daję sobie z wieloma rzeczami czas. Jestem chyba mniej gwałtowny, raptowny, zwłaszcza w takich sprawach, gdzie głośno brzmiało „muszę".

To brzmi, jakby ta czterdziestka dobrze robiła w głowie. Bałeś się jej?

Kurde, strasznie ją przeżyłem. W ogóle nie myślałem, że istnieje taki wiek. Ten czas razem z Iwoną tak nam leciał, nie zauważyliśmy tego. Moja żona jest ode mnie rok starsza, pierwsza przekroczyła tę czterdziestkę. I całkiem przyjemnie to zrobiła.

A Ty?

Po dziesięciu latach przerwy poszedłem do lekarzy. Bez przerwy odkładałem różne badania, to było ucieczkowe. Poczułem taki mały ból w plecach i ruszyłem z całą machiną: robiłem USG, chodziłem do kręgarzy, długo nie mogłem złapać, co to jest. I myślę o tym jak o takim sygnale od ciała, że jest jakaś data ważności.

Gdy mam o tej płycie opowiadać, do głowy przychodzi mi czuły barbarzyńca.
Jest tu jakaś militarność, ale jest i chłopięcość.

A z małego Błażeja ile jest w Tobie teraz? Jaki on był?

Dużo nie pamiętam z dzieciństwa. Mama lubi opowiadać anegdotę, że urodziłem się w ciszy, bez krzyku. Mam młodszego brata, pięć lat nie miałem towarzystwa. Lubiłem bawić się sam, budować swoje światy. Byłem raczej chłopcem, który potrafił zająć się sobą. Bardziej na świat to otworzyłem się dzięki Iwonie.

A muzyczne początki?

W przedszkolu była próba z ogniskiem muzycznym. Później rodzice zapisali mnie na saksofon do szkoły muzycznej. Trzy lata koszmaru. Na dyplom z saksofonu już nie poszedłem. Sprzedałem instrument, kupiłem gitarę.

Sam uczyłeś się grać?

Miałem w domu taki śpiewnik z klasykami: Lady Pank, Perfect. Własne piosenki zacząłem pisać z lenistwa, bo nie chciało mi się uczyć czyichś tekstów na pamięć. Grałem jakieś utwory typu „Autobiografia", słyszałem fragment melodii i dalej wymyślałem sam. I ten nastoletni Błażej tak sobie pisał.

A śpiewanie?

Świadomość śpiewania i głosu pojawiła się u mnie dwa lata temu, po dwudziestu latach robienia tego. Wcześniej się po tym ślizgałem, mniej lub bardziej umiejętnie. To było dla mnie trudne, bo głos nie działa jak gitara, trzeba o niego dbać, nie nastroisz go zawsze. A jak nie masz warsztatu, jesteś odwodniony, zmęczony, to żaden pisk z ciebie nie wyjdzie. Teraz to uwielbiam, bo wiem, na co mogę sobie pozwolić, i w tym moim rejestrze bawię się świetnie.

Podobno prowadziłeś kiedyś scholę.

Tak. Jak ktoś pytał, gdzie mieszkam, to zawsze mówiłem: trzeci dom za kościołem. Dzwony, gotycki budynek na Wieprzycach, przedmieściach Gorzowa Wielkopolskiego. Do kościoła byłem raczej gnany, nie było to na początku przyjemne, ale były też rzeczy, które tam lubiłem. Z paroma osobami z okolic zaczęliśmy grać. Taki chłopak, Piotr Bartoszek, który został później księdzem, biegał na tę scholę, a ja za nim jako druga gitara. Dzieciaki śpiewały, fajna radość, mieliśmy swoje miejsce. I popatrz, ale dziwna sytuacja: on mi się śnił parę dni temu, Piotrek, a nie mamy zbytnio kontaktu.

Później ciekawiły mnie klimaty muzyki chrześcijańskiej, już mocniejszej: zespół Armia, 2Tm2,3. I sam grałem w zespole chrześcijańskim, robiliśmy covery zespołu The Doors z tekstami po polsku. Jeden z księży miał straszną fiksację na The Doors i to, że sam zespół z opowieścią chrześcijańską się nie kleił, nie było tu problemem. Nazywaliśmy się Ryba. Pamiętam, jak graliśmy melodię z „People are strange" i śpiewaliśmy: „Jezus się zbliża, jest coraz bliżej...". I jeszcze na dodatek ten zespół prowadził perkusista Papa Dance, który pochodził z Gorzowa Wielkopolskiego.

Brzmi jak Polska w pigułce.

To było tak powykręcane, że mnie kręciło. Byli ludzie, którzy grali z serca, nie było w tym fanatyzmu, więc znajdowałem tam miejsce dla siebie. I chyba też przez to mam tak do tej pory... No, modlę się. Wiem, że w Kościele jest dużo... Ale nie chcę w to wchodzić. To, co mam, to jest moje, i dobrze się z tym czuję.

A miłość?

Dużo jest miłości w moim życiu. I wydaje mi się, że mogę mieć cechy romantycznej osoby. Nie przeżyłem w życiu żadnych dramatycznych wydarzeń miłosnych czy rozstań, choć pewnie w tamtych momentach mogłem je bardziej odczytać.

A z Iwoną jak to było? Opowiedz.

Poznaliśmy się na imprezie w domu kultury, na parterze była knajpa. I ona była w pracy na zastępstwo, chyba jako barmanka. No i to odzwierciedlenia w naszym życiu nie znajduje, ale połączyła nas impreza. Nigdy nie myślałem, że taka kobieta... Bo zawsze obracałem się wśród dziewczyn: pięknych, mądrych, ale dziewczyn. A ona była kobietą. Taką zobaczyłem ją pierwszy raz. I nie dawałem sobie jakiejś wielkiej szansy.

Myliłeś się.

Po roku znajomości wzięliśmy ślub. Jesteśmy trzynaście lat razem. I jakoś tak znajdujemy radość z różnych etapów związku. Wiele jest porad dla związków, a my się do nich nie stosujemy. Że trzeba mieć swoje osobne strefy – a nam przez wiele lat wystarczała tylko ta wspólna. Że łączenie pracy, szczególnie twórczej, jest niedobre – a my to jakoś robimy.

Iwona jako muzyczka działa znacznie krócej niż Ty.

Kiedy się poznaliśmy, Iwona była tylko słuchaczką. Wiedziała, co lubi, jeździła na koncerty. Ale nie tworzyła. Patrzyła uważnie, co ja robię. Ja pokazywałem akordy, zachęcałem do zaśpiewania.

Czyli Ty byłeś pierwszym nauczycielem.

Tak. Ale nie sądzę, że byłem dobrym nauczycielem, chociaż mam wykształcenie pedagogiczne. I w pewnym momencie Iwona zapisała się na pianino. Pamiętam zdjęcie z korytarza przed salą, gdzie czekała na zajęcia z samymi dzieciakami. Bardzo była w tym wytrwała, uczyła się wszystkiego od zera, pokłony dla niej. Potem śpiewanie: zaczynała od krzyczenia, melorecytacji, uczyła się dalej. I to nie jest wciąż rozwinięty warsztat, ale ona już chce nagrywać płyty, i podoba mi się ta bezczelność. Wie, co chce grać. Jako artystka ona wymyśliła się sama.

A jakim jesteś partnerem do pracy?



MATERIAŁY PRASOWE

„Popiół" to ósmy solowy album Błażeja Króla, osobisty i autorefleksyjny. Autorką obrazu na okładce jest Julia Soboleva.

Chyba różnym. W poniedziałek była próba, były na niej łzy. Iwona powiedziała, że jestem straszny. Nie zawsze jest super. Jak jest dobrze, to nie mówię zwykle nic. Jak jest źle, to mówię od razu. Iwona też coraz bezczelniej ingeruje w moje rzeczy. I są tarcia, ale najważniejsze, że ta chęć, żeby naprawdę komuś doradzić, żeby coś było lepsze, działa w dwie strony. My się inspirujemy, wymieniamy wrażliwościami.

A ta odległość od Warszawy i showbiznesu pomaga Wam w tym tworzeniu?

Mieszkamy w Gorzowie. To zawsze było moje, nasze miejsce. Przez lata było wiele propozycji, żeby wynieść się do większego miasta, nawet niekoniecznie do Warszawy, chociażby Poznania. Ale zostaliśmy. Daleko mamy i do tych przyjemności, i do tych nieprzyjemności. Obserwujemy sobie to z dystansu, w Warszawie wolimy być gośćmi.

I jak myślisz, co ten dystans Ci dał?

Może dzięki niemu nie miałem żadnego zachłyśnięcia się, a potem drastycznego upadku? Ta moja twórcza droga jest taka linearna, idzie do góry, stopniowo. Nie było też tak, że nagle dostałem jakieś straszliwe pieniądze. Wydaję ósmy album solo, ale wciąż muszę pracować, nie jestem artystą, który ma tantiemy wystarczające na dziesięć lat do przodu. Jeszcze pięć lat temu pracowałem w Media Markcie.

Zadowolony byłeś wtedy z życia?

Tak. Naprawdę lubiłem tam pracować, spędziłem tam dziesięć lat. Bardzo lubię powtarzalność, rutyny, cykle – to zawsze jakoś tak ułatwiało życie. Zrezygnowałem z tej pracy, bo ta muzyczna część bardzo mi się rozwinęła i to już nie łączyło się w całość. Nie mogłem przecież brać ciągle wolnych weekendów kosztem kolegów i koleżanek.

O tej pracy mówiłeś, że mocno trzymała przy ziemi. A teraz co Cię tak trzyma?

Iwona. Iwona i dom. Dom to może być mieszkanie, pokój, ale zawsze to jest ta przestrzeń, którą się opiekujesz. Mamy szczęście mieć piękny ogród, który Iwona rozwija w sposób zadziwiający jak na czasy suszy. Zwierzęta też tak na mnie działają, stabilizująco: mamy pieska trzyletniego, dwa trzynastoletnie koty. Nie mamy dzieci i wydaje nam się, że nie będziemy ich mieli, to jest nasz wybór.

Niedawno znaleźliśmy takie wyjątkowe miejsce, blisko Jeleniej Góry. Kupiliśmy stare mieszkanie, które remontujemy. I to jest ciekawy rozdział dla nas, bo nigdy nie tworzyliśmy takiego miejsca dla siebie od początku. Elektryka, kontakty. Ciekawe to jest. Iwona jest w tym znacznie lepsza. Ja bym mógł mieszkać w gołych ścianach, mieć bardzo proste rzeczy.

W czym jeszcze lubisz prostotę?

Lubię grać kameralne koncerty, lubię taki intymny kontakt z publicznością, widzieć emocje, nawet znudzenie. Lubię widzieć w masie części. Lubię widzieć buźki.

A ostatnio tę prostotę jeszcze w jednej czynności bardzo doceniam.

Opowiedz.

Bardzo zainteresowała mnie kulturystyka. Późno, wiem. Jak miałem 39 lat, zapisałem się na siłownię i od tego czasu staram się ćwiczyć. Zacząłem podnosić ciężarki: mniejsze, większe. Widzę progres i w tych prostych czynnościach znajduję dużo radości. Ostatnio rozmawiałem z Iwoną o tym, że jakbym miał rok wolnego, kasę i miałbym się zająć jedną rzeczą, to zająłbym się siłownią: zrobiłbym ↦

↦ konkretny plan treningowy i zobaczył, co mogę zrobić ze swoim ciałem w tym czasie.

Cieszy Cię to, widać.

Tak. Ale to siłowanie jest też dziwne i skrajnie różne od tego, kim jestem, a raczej od tego, kim starałem się być. Bo zawsze starałem się raczej rozwijać głowę i serce niż mięśnie. Chociaż serce też jest mięśniem. I po takim roku treningu to mógłbym zostać na przykład trenerem personalnym. To by było. Wtedy bym w pracy na co dzień też widział te buźki. Mógłbym wtedy zgłosić się do jakiegoś *reality show*, jak „Love Island" lub „Hotel Paradise", miałbym odpowiednią sylwetkę. Ale chyba jestem już za stary. No i żonaty.

Zdradzasz właśnie mimochodem swoje guilty pleasure?

Tak. Bardzo to lubię i się nie wstydzę. Powiem więcej: „Hotel Paradise" nas uratował w czasie pandemii. Mieliśmy bardzo ciężki okres, bo doświadczyliśmy śmierci, dużo śmierci. Iwony rodzice zmarli w ciągu roku. Mieszkaliśmy razem, byliśmy obok, na co dzień. I to dotknęło nas bardzo mocno. I jest taki moment, że chcesz przekierować myśli tak zupełnie gdzie indziej. Oglądaliśmy wtedy ten „Hotel" po osiem czy dwanaście godzin dziennie.

Wiem, że to nie jest żaden poważny sposób na przepracowanie żałoby, ale jeśli to pomogło zapomnieć o czymś ciężkim? Mamy takie rytuały, pozornie głupie programy, do których wracamy. Fakt, to jest marnowanie czasu. Ale jak się fajnie marnuje go z kimś ważnym dla ciebie, to czasami można.

Wyszła nam tu rozmowa o miłości.

Ostatnio rozmawiałem z jedną dziennikarką, której Iwona udzielała wywiadu. Zapytała mnie: „Czy wy musicie cały czas opowiadać o sobie nawzajem?". Ale jak inaczej mówić o sobie, o najważniejszych sprawach, dumach? To, że tutaj jestem, z tymi wszystkimi plusami i minusami, to nasza wspólna zasługa. Jestem z niej dumny. Ale ani się za nią nie chowam, ani nie chcę jej wypchnąć. I lubię mówić o Iwonie.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

Technologia i nostalgia

MICHAŁ WALKIEWICZ

SERIAL | Miasteczko Hawkins, jak i Druga Strona – mroczny ląd zamieszkały przez wytwory wyobraźni – to przestrzenie, w których wszyscy możemy się spotkać.

To było w wigilię roku 1992. Mama paliła papierosa, braciszek zadawał szyku krawatem w zielone romby, a pod choinką czekała paczka. Cokolwiek znajdowało się w środku, pachniało demolką i klejem do plastiku. Dni smoków, gangsterów z Yakuzy oraz boazerii były policzone.

Ilekroć oglądam serial „Stranger Things" o dzieciakach, które na przełomie lat 80. i 90. buszują po centrach handlowych prowincjonalnej Ameryki oraz metafizycznej krainie pełnej potworów, przypomina mi się ta chwila. Katalizatorem wspomnień jest zazdrość. Ależ to wszystko lśniące, kolorowe, stylowe i... obce. Jak gładko układa się pejzaż nieprzeżytego dzieciństwa. Jak kuszącym czyni rytuał zapośredniczonej nostalgii.

Gabinet luster

Pamiętacie całonocne sesje „Lochów i smoków" w piwnicach? Śmiganie na BMX-ach wśród równo przyciętych żywopłotów? Śpiewanie piosenek z „Niekończącej się opowieści" na głosy? Ja też nie, ponieważ wychowałem się w Polsce, gdzie do piwnicy chodziło się po weki, łańcuchy rowerowe spadały po dwustu metrach, a niekończącą się opowieścią były roraty.

Żeby nie było – mieszkańcy miasteczka Hawkins w stanie Indiana też coś stracili. Nie skakali po kanapach, krzycząc: „Podłoga to lawa!". Nie spacerowali tak, by omijać łączenia płyt chodnikowych. Nie nawijali sobie ściągaczy od plecaka na palce. Nie zamieniali lodów waniliowych w ciapaję. Też mi dzieciństwo.

Serial Braci Duffer pokazuje ich wędrówkę od jednego „pokoleniowego doświadczenia" do drugiego. Angażuje bohaterów w niekończący się dialog z esencjonalnymi tekstami epoki – filmami, książkami, komiksami, grami wideo. Umieszcza ich w wielkim gabinecie luster, do którego tzw. prawdziwe życie przesącza się wyłącznie pod postacią efektownych narracyjnie i dramaturgicznie konfliktów: kruchego rozejmu z rodzicami, miłosnych wzlotów i upadków, aktów poświęcenia jednostki na ołtarzu przyjaźni.

Z perspektywy rodzimego widza przypomina to wszystko podróż do kolebki wielkich znaków współczesnej popkultury – często rozumianych dosłownie, przybierających postać logotypów, marek i haseł reklamowych. Lata 90. w Polsce były przecież królestwem podróbek – importowanych z Tajwanu konsol do gier, butów Abibas, bułgarskiej konfekcji ze stadionu. Serialowe dzieciaki, szczęściarze, grają na Super Nintendo. I choć nie znajdą na bazarku trzydziestu gier w cenie jednej, to przynajmniej nie męczą się z Pegasusem.

Jednocześnie zarówno Hawkins, jak i Druga Strona, czyli mroczny ląd zamieszkały przez wytwory nasiąkniętej kinem grozy wyobraźni, to przestrzenie, w których wszyscy możemy się spotkać. Gdy kurz po transformacji opadł, nadrobiliśmy przecież obowiązkowe lektury amerykańskich dzieciaków. Pal licho, że sami zbliżaliśmy się wówczas do trzydziestki.

Podróż sentymentalna

Skoro o metryczkach mowa, nastoletnie gwiazdy „Stranger Things" starzeją się znacznie szybciej niż ich bohaterowie. W 2016 r. aktor Finn Wolfhard był równolatkiem granego przez siebie Mike'a Wheelera. Dziś różnica wieku wynosi sześć lat. W przypadku zaś Gatena Matarazzo (ekranowy Dustin Henderson) – siedem lat.

Rekordzistą pozostaje nieco starszy w momencie premiery cyklu Joe Kerry,



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z serialu „Stranger Things", sezon 5., Netflix

33-latek, który w nadchodzącym piątym sezonie serialu wcieli się w dwudziestolatka.

Wychowani na klasyce w rodzaju „Beverly Hills 90210" zwykliśmy dostrzegać w takim obsadowym rozdaniu powód do żartów. Tyle że o sile serialu świadczy również kontekst streamingowej rewolucji, dzięki której „telewizja" stała się jeszcze efektywniejszym wehikułem sentymentalnych podróży. Technologia i nostalgia istnieją w ścisłej symbiozie. Głównie dlatego, że wraz z rozwojem tej pierwszej, świadectwa tej drugiej stają się coraz wyrazistsze, pełniejsze i emocjonalnie angażujące.

Binge-watching, czyli rozpowszechniona w dużej mierze dzięki Netfliksowi oraz „Stranger Things" praktyka pochłaniania całych sezonów seriali, to fantastyczna metafora splotu technologii i nostalgii. Jeden seans odpowiada jednemu dniowi w latach 80.

W świetnym eseju „Nostalgia jako źródło cierpień" (tłum. Iwona Boruszkowska) amerykańska teoretyczka kultury Svetlana Bojm pisze tak: „Nostalgik chciałby przekształcić historię w prywatną czy też zbiorową mitologię, odwiedzić ponownie czas tak jak odwiedza się przestrzeń, odmawiając ukorzenia się przed nieodwracalnością czasu, która jest zmorą kondycji ludzkiej. Stąd przeszłość nostalgii, parafrazując Williama Faulknera, nie jest nawet przeszła. Może być jedynie lepszym czasem lub czasem wolniejszym – czasem poza czasem, nie obciążonym kalendarzem terminów".

Wspomniany fragment – choć pierwotnie odnosi się do nostalgii jako przejawu buntu przeciw galopującemu postępowi – zaskakująco dobrze wyraża narracyjną logikę serialu. Mit idealnego dzieciństwa nie jest na ekranie parawanem, który należy zedrzeć, by odsłonić jakąś bolesną prawdę o inicjacji w dorosłość.

Jasne, bohaterowie dojrzewają wraz z rozwojem fabuły. Ich relacje zmieniają się w kontaktach z dorosłymi (figury heroicznej matki granej przez Winonę Ryder oraz skruszonego patriarchy portretowanego przez Davida Harboura są w opowieści kluczowe). Z kolei ich lęki, traumy i nadzieje stanowią temat wielu odcinków. Scenarzyści dbają jednak o to, by pozostali owadami uwięzionymi w bursztynie. Nostalgia ma być nie tylko punktem wyjścia, ale i dojścia.

Droga wyjścia

Czwarty sezon serialu zawiera jedną z moich ulubionych scen w całej historii, przepraszam za wyrażenie, ruchomych obrazów. Oto dziewczynka, zaciągnięta do krainy cienia przez istotę żerującą na dziecięcych lękach i kompleksach, pada bez życia na trawnik. Z letargu – i w materialnym, i w astralnym świecie – wybudza ją piosenka Kate Bush „Running Up That Hill". To wielki hymn o niezrozumieniu i zarazem pragnieniu bliskości drugiego człowieka.

Kate Bush, „Koszmar z ulicy Wiązów", szczypta Stephena Kinga, no i odrobina „Goonies", bo bez „Goonies" przecież nie da rady. Wreszcie – klasyka kina inicjacji – od „Klubu winowajców" Johna Hughesa po „Stań przy mnie" Roba Reinera (zresztą na podstawie prozy Kinga). Mówiąc krótko, ustawiono w tej scenie chyba wszystkie totemy lat 80. Może poza synthwave'ową nutą oraz VHS-owym ziarnem.

A jednak, jakimś cudem, konwencja okazuje się znacznie pojemniejsza. Pod zwałami cytatów, nawiązań i autoreferencji pulsuje ukryte serce tej historii. To opowieść o popkulturze będącej azylem; drogą wyjścia z labiryntu sprzecznych wymagań społeczeństwa, mapą pułapek dzieciństwa i dorosłości; punktem odniesienia w świecie niejasnych wartości.

Ucieczka z domu

O ile pierwszy sezon rzeczywiście przypominał dzieła z lat 80. ubiegłego wieku, jesiennej aurze towarzyszyła zaś chropowata faktura obrazu oraz stylizacja na mroczniejsze filmy Kina Nowej Przygody, o tyle kolejne odsłony ugrzęzły w kolorowym lukrze retro-popu. Z początku nie byłem fanem tej estetycznej trajektorii. Przehandlowanie reinterpretacji epoki za jej gładziutką kopię wydawało mi się drogą na skróty. Dziś sobie myślę, że może właśnie tego potrzebowali twórcy, by wyeksponować jeszcze jeden istotny wątek: nostalgii jako ucieczki od skomplikowanej, nieprzejrzystej teraźniejszości.

Mnożone bez umiaru wątki nieufności wobec rządu, nauki oraz wszelkich „oficjalnych wersji wydarzeń"; opowieści o inwigilacji, utracie prywatności oraz totalitarnych praktykach realizowanych w imię „bezpieczeństwa narodowego"... Wszystko to dziedzictwo zimnowojennych paranoi, które w reaganowskiej Ameryce ze „Stranger Things" są oczywistym polityczno-społecznym kontekstem. I dość powiedzieć, że w 2025 r. pozostają zaskakująco aktualne.

Wstęp piątego, ostatniego i podzielonego na trzy części sezonu serialu można już oglądać na Netfliksie. I zanim pomylimy go ze swoim dawnym życiem, zastanówmy się, czy nie przypomina może tego obecnego. Przerażający Demogorgon, cwany Łupieżca Umysłów i inne bestie nie czyhają pod naszymi łóżkami. A jednak lęk przed Drugą Stroną, gdzie silniejszy pożera słabszego, kłamstwo ma długie nogi, a o przyszłości rozmawia się językiem przemocy, wciąż jest odczuwalny. ©

Naród na scenie

DARIUSZ KOSIŃSKI

TEATR | Rosja nie kieruje się sentymentami, a logika jej historii nie ma litości dla słabych. Gdy przerażony Stanisław August widzi, że wkrótce straci tron, Rosjanin radzi: tańcz, świetnie tańczysz.



Wieczór 22 listopada 2025 r. był zimny. W Warszawie nie było jeszcze ani płatka takiego śniegu, jaki padał na południu, więc miasto nie wyglądało zachęcająco. Wiadomo: zima to inny kraj, a Kraków – inna Polska. Tłumy jak zwykle przewalały się przez Złote Tarasy, pod teatrem Kwadrat jakaś grupa starszych osób czekała na przedstawienie, mieszając się ze stojącymi po wyjątkowo popularny z jakiegoś powodu kebab. Przez ciemny Ogród Saski szybko przemykały grupki szukające zabawy.

W Teatrze Narodowym zaskakująco spokojnie. Owszem – kolejka po wejściówki stoi jak zawsze, ale żadnego nadzwyczajnego ruchu ani napięcia nie czuć. Jakby nie miało się za pół godziny zacząć jedno z najbardziej oczekiwanych przedstawień sezonu, premiera, która ma potwierdzić lub podważyć słuszność decyzji o oddaniu dyrekcji Janowi Klacie.

Nie widać też zwiększonych środków bezpieczeństwa, więc pewnie para prezydencka nie przyjęła zaproszenia i nie pojawi się na uroczystej premierze „Termopil polskich" Tadeusza Micińskiego. Szkoda.

Twoja stara

Zaczyna się z całych sił. Grający na żywo zespół Gruzja robi hałas, jakiego te mury dawno nie słyszały. Znów, jak przed premierą „Wesela" w Krakowie, przy wejściu wręczano zatyczki do uszu. W Krakowie były zupełnie niepotrzebne, bo grającą tam Furię jednak przyciszono. Gruzja gra głośno i ostro, mieszając metal, punk i wiele jeszcze innych rzeczy w koktajl powalający, dla wielu osób na sali pewnie za mocny.

Nie ma zmiłuj. Scena otwierająca przedstawienie i dyrekcję Jana Klaty w drugim teatrze narodowym, którym kieruje, to polska apokalipsa. Książę Józef Poniatowski (Karol Pocheć) za chwilę zginie w nurtach Elstery, wygłaszając swoje wiekopomne zdanie o honorze Polaków. Jeden z jego oficerów przekonuje, że honor to przeżytek średniowiecza. Jakiś lekarz biega jak oszalały między przecinającymi scenę bruzdami ziemi (scenografia Justyna Łagowska), bo wciąż jeszcze tyle rąk i nóg do obcięcia.

Z przodu sceny duch życia księcia Józefa, Wita (Anna Grycewicz) trzyma za rękę wyrywające się ich wspólne dziecko (Arkadiusz Pyć) w mundurze małego warszawskiego powstańca. To cytat z poprzedniej inscenizacji „Termopil polskich", które Klata wyreżyserował w Teatrze Polskim we Wrocławiu (prem. 3 maja 2014).

Przedstawienie nie było grane zbyt często i długo, ale tak się szczęśliwie złożyło, że je widziałem i pamiętam jako jedno z moich mocniejszych teatralnych przeżyć. Miało niezwykłą energię, sporo szaleństwa i przewrotnego humoru, których centrum był Patiomkin Bartosza Porczyka. A kończyło się, jak podpowiada mi pamięć, sceną, gdy widmo poległych za ojczyznę straszy Polaków wypoczywających w wersji *all inclusive* w jakiejś Hurghadzie czy innej Antalyi.

W wersji warszawskiej cień obojętności tych, co zrzucili płaszcz Konrada, by ubrać modny dres wczasowy, wraca w wykrzykiwanej przez Gruzję gniewnie ironicznej pieśni „Aleksandria": „jedziemy do maka / pod monte casino / no i chwała no i cześć" (tekst Dominik Gac).

Słowa wybijane są wielkimi literami na zamykającym scenę ekranie, gdzie niemal przez cały czas wyświetlane będą jak zawsze znakomite i niepokojące jak zawsze projekcje wideo Natana Berkowicza. „Twoja stara / nasza nowa / aleksandria". Tak – tamta „Nowa Aleksandria" rzeczywiście jest już stara i moja, bo w 1986 r. nic tak jak ta płyta zespołu Siekiera nie wychwytywało emocji i napięć buzujących w Polsce wielkiej smuty po stanie wojennym. Niedługo potem nadszedł przełom, którego nowa energia właśnie wydaje się ostatecznie wyczerpywać w jałowym, a popisowym okładaniu się zarzutami o zdradę i przypisywaniu prawa do polskości tylko sobie. Czyżby czas na kolejną całkowitą zmianę?

Caryca ciemności

Nową Aleksandrią nazywano Petersburg, więc nic dziwnego, że przenosimy się tam – na groteskowy dwór, gdzie książę Patiomkin (Oskar Hamerski) tresuje stadko faworytów dla Jej Wieliczestwa Carycy Katarzyny (Danuta Stenka). Jej pojawienie się to jedno z najwspanialszych wejść teatralnych, jakie dane mi było zobaczyć.

Imperatorowa wynurza się powoli spod podłogi w błyszczącej, ogromnej sukni upiętej na rozłożystej jak stół biesiadny krynolinie. Gdy zbliża się powoli do przodu sceny, widać, że pod suknią są ukryci aktorzy, którzy pomagają carycy się poruszać. Za chwilę wypadną spod niej ubrani w bluzy hokejowej reprezentacji Rosji, ale z gołymi nogami i w białych majtkach (ta kostiumowa kompozycja to jeden z wielu majstersztyków stworzonych w tym spektaklu przez Mirka Kaczmarka).



KAROLINA JÓŹWIAK / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

Danuta Stenka jako caryca Katarzyna w przedstawieniu „Termopile polskie", reż. Jan Klata, Teatr Narodowy w Warszawie

Oto miłośnicy niezaspokojonej władczyni, która długo sprawia wrażenie postaci groteskowej i niemającej kontaktu z rzeczywistością. Mówi z silnym akcentem, miesza pełny błędów polski z francuskim i niemieckim, wydaje się całkowicie zależna od Patiomkina i zainteresowana tylko kolejnymi kochankami. Gdy na jej dworze pojawi się książę Józef, natychmiast przypomni jej się „miły Staś" i wzbudzi pragnienie rzucenia się w objęcia jeszcze jednego Poniatowskiego.

Ale groteskowa caryca, której szarże wzbudzają na widowni śmiech, staje się z czasem coraz groźniejsza. Danuta Stenka niezwykle precyzyjnie prowadzi rolę, odważając jej składniki bez popadania w zbyt łatwy stereotyp demonicznej błaźnicy. Pod pokrywą znudzenia i zmęczenia, z którego wyrwać może tylko pragnienie kolejnego kochanka, jest w jej Katarzynie autentyczna, przerażająca ciemność. Jej eksplozja następuje, gdy caryca wyrzuca z siebie prawdę osiągniętej władzy: że z jej wyżyn widać pustkę nieba i absolutną nędzę tego, co na dole. Patiomkin czym prędzej wraca do swoich intryg. Książę Józef ucieka.

Ta sama ciemność, która wydobyła się z Katarzyny, zdaje się ogarniać jej dawnego faworyta, którego uczyniła królem Polski. Na pierwszej premierze Stanisława Augusta grał Jan Frycz (rolę dubluje Jerzy Radziwiłowicz), pełen przejmującej goryczy, a zarazem usilnie próbujący się jeszcze uczepić choćby najdrobniejszej resztki nadziei. Jakby w młodości odebrał jakiś potężny coaching, który naładował go tak cenioną dziś pozytywną energią.

W obliczu walących się jeden za drugim planów, król wciąż nie poddaje się zwątpieniu, wciąż wierzy w racjonalność polityki i historii. I wciąż jest przekonany, że ze względu na dawny związek caryca zgodzi się na jego plany umocnienia armii i państwa, a może nawet na dziedziczny tron dla „synowca". Patiomkin brutalnie pozbawia go tych złudzeń. Rosja nie kieruje się sentymentami, a logika jej historii nie ma litości dla słabych. Na przestrzeni kilku zdań „najjaśniejszy pan" staje się „hrabią Poniatowskim". Gdy przerażony Stanisław August wreszcie widzi jasno, że straci tron, i pyta, co będzie robić, skoro nie ma innego fachu poza byciem królem, Rosjanin odpowiada: tańcz, świetnie tańczysz.

Król, który od jakiejś chwili przebierał się za parawanem, ukazuje się ubrany w różową baletową paczkę. Wykonuje powoli i niezgrabnie kilka kroków, skłonów, obrotów. Oto jest obraz polskiej apokalipsy inny zupełnie, ale bardziej dotkliwy niż ten z początkowego pobojowiska: stary władca jako żałosna baletnica.

Nasz hymn

Pisanie o warszawskich „Termopilach" Jana Klaty o tyle jest trudne, że z konieczności niestety prowadzi do psucia efektu zaskoczenia, czy może nawet szoku, na którym zasadzają się jego kluczowe momenty, takie jak wejście carycy czy taniec króla. A przede wszystkim finał pierwszej części. Poprzednio nie uprzedzałem, ale teraz jednak to zrobię – jeśli wybierasz się na to przedstawienie, ten fragment opuść.

W obliczu śmiertelnego zagrożenia Polacy podejmują wreszcie próbę zreformowania państwa – Sejm Wielki. Kolejne daleko idące propozycje zmiany ustroju są jednak wciąż powstrzymywane przez króla, który obawia się, co powiedzą ci albo tamci. To może fragment najbardziej aluzyjny, najoczywiściej kojarzący się z bezwładem i brakiem zdecydowania „obecnie rządzących". Ale ani Klata, ani Frycz nie podgrywają tego – skojarzenie wręcz oczywiste i nie wymaga wzmocnienia. Ciekawe, czy pojawiło się też w głowach osób ministerialnych zasiadających na premierze w specjalnie dla nich zarezerwowanym rzędzie?

Król wciąż liczy to na Prusy, to na Rosję, ale w końcu widzi, że nic z jego rachub nie będzie, i mimo gwałtownych, a spektakularnych protestów zgadza się na zaprzysiężenie konstytucji. Odrobina nadziei wciąż jest, póki żyjemy. Niespodziewanie Jan Frycz wstaje i słabym głosem intonuje hymn narodowy. Lekka konsternacja – król Stanisław August nie mógł śpiewać „Mazurka Dąbrowskiego". Znad bębnów wstaje perkusista Gruzji. Zza kulis wychodzi Marcin Przybylski, tu występujący jako marszałek Małachowski, i też staje obok króla, śpiewa razem z nim. Już wiadomo.

Pierwsze osoby na widowni podnoszą się z miejsc, a za nimi zdecydowana większość publiczności. Kolejne zwrotki. Wydaje się, że za moment cała sala włączy się w śpiew. Na premierze to nie nastąpiło, ale nie zdziwię się, jeśli na którymś ze zwykłych przedstawień tak się ↦



KAROLINA JÓŹWIAK / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

„Termopile polskie", reż. Jan Klata, Teatr Narodowy w Warszawie

↦ stanie. I Teatr Narodowy huknie hymnem narodowym, wpadając w pułapkę przewrotnej ambiwalencji, jaką zastawił reżyser. Oto, co zostaje słabym – zaśpiewać, że nie zginęła, bo przecież żyjemy, nawet wtedy, gdy już za chwilę nie zostanie kamień na kamieniu.

Gdzie jesteśmy

Po hymnie nie może już być kolejnej sceny, a skoro widzowie wstali, to zróbmy przerwę. W kuluarowych rozmowach powraca pytanie: czym się zakończy to przedstawienie? Co może pojawić się w finale, skoro w półfinale odśpiewano hymn Polski?

Druga część jest krótsza niż pierwsza, ale mimo to bardziej męcząca. Właściwie całą poświęcono klęsce. Zaczyna się od sceny, w której targowiczanie dręczą Witę okrążając ją i śpiewając „Żeby Polska była Polską" (duch teatru aluzji powraca). Potem schodzimy w kolejne kręgi piekła upadku: od wiadomości, że król przystąpił do Targowicy, przez sąd nad polskimi przywódcami klęczącymi z głowami przyklejonymi do katowskich pieńków, po pobojowisko zaścielane trupami ofiar rzezi Pragi, nad którymi Cezary Kosiński, wcześniej występujący jako Kościuszko, wygłasza wielki monolog Mnicha o konieczności śmierci. Z krwi pomordowanych rodzi się mesjanizm. Leżące na scenie ciała podrygują w groteskowej parodii zmartwychwstania.

Niespodziewanie spod podłogi wynurza się Stanisław August. Jan Frycz powoli, ale dobitnie mówi wiersze o wiele lepsze niż wszystko, co w „Termopilach" zdołał napisać Miciński. To „Grób Agamemnona" Słowackiego – fragment, którego kiedyś w każdym liceum uczono na pamięć. „Na Termopilach? – Nie, na Cheronei / Trzeba się znowu załamać koniowi / Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei / Dla małowiernych serc podobne snowi". Podnośnik obniża się. Król znika.

Na scenie znów pobojowisko. Równe bruzdy ziemi, a między nimi trupy, resztki broni, tuman nad tym wszystkim i cisza. Z tej ciszy finał, którego nikt na pewno nie odgadł, „*When I was just a little boy, I asked my mother what life will be...*". „Que sera sera", ale w dziwnej chóralnej wersji, śpiewanej jakby z akcentem rosyjskim. Brzmi potężnie, jak chór Armii Czerwonej, choć nigdzie nie udało mi się znaleźć potwierdzenia, że taki cover istnieje. Nieważne. Ważne, że gra, co tam komu w duszy – w całej niepokojącej wieloznaczności i bezsilności. Dokładnie tu jesteśmy. Tu oto. „*Whatever will be – will be*". I tyle sobie możemy powiedzieć o przyszłości.

Co nas boli

Oklaski. Owacje na stojąco. Długie. Zasłużone. Więc chyba pod „Termopilami" dziś teatralne zwycięstwo, choć bardziej niż od reakcji widzów premierowych zależy to od przyjęcia przedstawienia przez bardziej codzienną, nieśrodowiskową publiczność. Ogromnie jestem go ciekaw.

Gdy Jan Klata zaczynał dyrekcję w Narodowym Starym Teatrze, jako swoje pierwsze reżyserskie przedstawienie wystawił „Do Damaszku" Strindberga. Zakończyło się to groteskową ustawką z rzekomym protestem publiczności, który miałby jakiś sens, gdyby na początek swoich rządów w Krakowie Klata pokazał choćby te wrocławskie „Termopile". Byłoby się wtedy o co spierać, a tak skończyło się na idiotycznym pokrzykiwaniu na biedną Dorotę Segdę, że kiedyś grała św. Faustynę.

Nie wiem, czy tamto doświadczenie było jakąkolwiek motywacją do tego, żeby dyrekcję w Warszawie rozpocząć zupełnie inaczej, ale nie sposób wątpić – Jan Klata wszedł na scenę im. Bogusławskiego bez kompromisów, wystawiając jako pierwszą premierę swojej dyrekcji własne przedstawienie wręcz modelowe dla tego nurtu jego twórczości, który uznać można za „narodowy".

Oczywiście tym przymiotnikiem da się określić tylko część ważnych przedstawień Klaty, ale co najmniej od „Trylogii" (jeśli nie od stoczniowego „H."), przez „Utwór o matce i ojczyźnie", pierwsze „Termopile", „Wesele" i „Wyzwolenie" taka linia się układa. Warszawskie „Termopile" zdecydowanie do niej należą, zawierając wszystkie jej podstawowe cechy: mierzenie się z polską historią i mitami, mocne a zaskakujące rozwiązania sceniczne, kontrastowe a odważne zestawienia elementów uniwersum kulturowego, budowanie zaskakujących i zmuszających do myślenia pasaży od „wtedy" do „dziś".

Przede wszystkim zaś jest to kolejne przedstawienie, w którym Klata diagnozuje stan obecny zbiorowości. Nie tyle atakuje jej postawę i sposób myślenia z punktu widzenia jakiegoś popieranego zestawu rozwiązań, zachwalanego programu czy marzenia politycznego (jak czyni to teatr krytyczny), ile ukazuje jej artystycznie ukształtowany obraz z ciekawością, czy się w nim rozpozna, a jeśli tak, to czy z tego rozpoznania coś wyniknie. Nieuchronnie nasuwa się cytat: „Teatr narodu, sztuka, polska sztuka!".

Dnia 22 listopada 2025 teatr narodu wkroczył do Teatru Narodowego. Gwałtownym atakiem zdobył jego główną scenę i nie wydaje się, żeby zamierzał komukolwiek ją oddać. Trzymam kciuki, żeby mu się udało. I żeby kiedyś na widowni zasiadł urzędujący prezydent.

© DARIUSZ KOSIŃSKI



▪ *Hania Rani,* **NON FICTION. PIANO CONCERTO IN FOUR MOVEMENTS**, *Universal Music Polska*

Tytuł nowej płyty Hani Rani sugeruje wyraźny akces do świata klasycznego. Koncert fortepianowy to w końcu forma uświęcona dwustuletnią tradycją (Mozart, Beethoven, Chopin i inni). Wielbiciele artystki nie mają jednak powodu do obaw – mimo tytułu i pewnych wyzwań formalnych, twórczyni pozostała wierna swojej estetyce, tworząc eufoniczne dzieło na progu muzyki filmowej („z tych lepszych"), minimalu i ambientu. Proszę jednak pozostać ostrożnym wobec obietnic artystki, bo rezultaty pojawiających się w opisie płyty takich odstraszających terminów jak „aleatoryzm kontrolowany" tak się mają do twórczości Lutosławskiego (twórcy tej techniki), jak spacer ciepłym zmierzchem do wspinaczki wysokogórskiej. I to jest główna cecha kompozycji Hani Rani: łagodnie łechce ona zmysły, jest ładna i miła w odsłuchu. Przetworzone elektronicznie dźwięki fortepianu i orkiestry nie rywalizują ze sobą, lecz tworzą barwny dywan, unoszący słuchacza w świat repetytywnych pogłosów. Jeżeli jednak chcemy prawdziwego, bardzo atrakcyjnego koncertu fortepianowego dnia dzisiejszego – sięgnijmy po mistrzynię Elżbietę Sikorę. Jeżeli chcemy impetu – po III Koncert Hanny Kulenty. A jeżeli pragniemy przede wszystkim przyjemnie spędzić czas – Hania Rani doskonale spełni oczekiwania. Niezależnie od ideowych eksplikacji utworu, jakie można przeczytać w odautorskim komentarzu do płyty.

© JAKUB PUCHALSKI



▪ **FESTIWAL BOSKA KOMEDIA**, *4–14 grudnia, Kraków*

Od osiemnastu już lat każdy kolejny rok w polskim teatrze wieńczy krakowski festiwal Boska Komedia, stanowiący przegląd najważniejszych osiągnięć i panoramę trendów minionego sezonu. Program Boskiej zawsze jest bogaty i naprawdę trudno sobie wyobrazić, że ktoś zdoła zobaczyć wszystkie propozycje. Cóż, życie jest sztuką wyboru – a życie festiwalowe szczególnie. Z pewnością będą osoby, które postawią raczej na znane nazwiska i tytuły, takie jak „Tkocze" przełożonego na śląski Hauptmanna w reż. Mai Kleczewskiej, „Heksy" Agnieszki Szpili w reż. Moniki Pęcikiewicz czy „Wczoraj byłaś zła na zielono" Elizy Kąckiej w reż. Anny Augustynowicz. Dodadzą do tego może autorskie propozycje nowych odczytań klasyki przygotowane przez młode, a cieszące się już uznaniem osoby twórcze takie jak Pamela Leończyk czy Kamil Białaszek. Inni będą kierować się kryterium geograficznym i zdecydują się w pierwszej kolejności na obejrzenie przedstawień przywożonych z miejsc cieszących się wysoką renomą, ale odległych od głównych szlaków, zwłaszcza z Olsztyna czy Szczecina, albo na poznanie w pigułce dorobku scen krakowskich przygotowujących na czas festiwalu atrakcyjny repertuar, obejmujący też pokazy premierowe. Jeśli coś szczególnie zwraca uwagę w tegorocznym programie Boskiej, to liczne propozycje z niezwykle ciekawego pogranicza teatru i innych sztuk przedstawieniowych, przygotowane przez Wojciecha Grudzińskiego, Magdę Szpecht, Annę Karasińską, Michała Zadarę czy Linę Lapelytė. Jeśli dodać do tego specjalne wydarzenie, jakim są pokazy przedstawienia „Rok bez słońca" Florentiny Holzinger – największej europejskiej sensacji festiwalowo-teatralnej ostatnich lat – to otrzymamy festiwalową linię wysokiego napięcia pełną pytań o teatr i świat.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

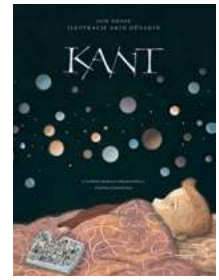



▪ **KANT**, *Jon Fosse, tłum. Iwona Zimnicka, ilustr. Akin Düzakin, Widnokrąg*

▪ **DZIEWCZYNKA ZE SKRZYPCAMI**, *Jon Fosse, tłum. Monika Grossman-Kliber, ilustr. Øyvind Torseter, Widnokrąg*

Twórczość Jona Fossego, norweskiego noblisty z 2023 r., postrzega się jako filozoficzną i trudną percepcyjnie. Owszem, wymaga ona skupienia i czasu, gdyż pisana prawie bez interpunkcji, strumieniem świadomości, z licznymi repetycjami i potocznym językiem, potrzebuje, niczym praktyka medytacji, wyznaczonej sesji na nieprzerwaną lekturę. W jej efekcie pojawia się jednak satysfakcja z uczestnictwa w dojmującej, dotykającej życia rozmowie o kondycji ciało-psycho-duchowej. Dobrze wiedzieć, że Fosse pisze również dla dzieci. W tym roku ukazały się po polsku dwie pozycje. W obu odnajdziemy cechy jego „dorosłego" pisarstwa, ale zaadaptowane do wrażliwości młodego czytelnika (i świetnie wsparte przez ilustratorów). W kostiumie opowiastki filozoficzno-realistycznej („Kant") i baśni („Dziewczynka ze skrzypcami") opowiada Fosse o doświadczeniu dziecka, w tym o relacjach z ojcem. Sygnalizuje trudne uczucia towarzyszące zarówno myślom na temat „kantu" wszechświata, jak i zwykłym sytuacjom egzystencjalnym. Wybawcą bywa, jak w „Kancie", dorosły (z małą pomocą filozofa), albo, jak w baśni, obdarzone magicznym rekwizytem dziecko. Fosse nie podkręca niepokoju i grozy, zaznacza je na tyle, by zarezonowały u młodych odbiorców. Wielu odnajdzie tu echa własnych rozmyślań o świecie oraz relacji z dorosłymi. Ważne, że wszyscy mogą doświadczyć katharsis, gdyż ojcowie prędzej lub później okazują się empatyczni i mądrzy, a przynajmniej potrafią odbudować w dziecku poczucie sprawstwa i na tym – bezpieczeństwa.

©℗ MACIEJ SZKLARCZYK

Co nas rozgrzewa



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Ta historia pozwala na całego zanurzyć się w drapieżnej rzeczywistości. I przedrzeć się stopniowo na jej jaśniejszą stronę.

Gdyby amerykańsko-tajwańskie relacje wyglądały tak harmonijnie, jak między Seanem Bakerem a Shih-Ching Tsou, azjatycki tygrys mógłby spać spokojnie. Proszę wybaczyć to naciągane porównanie, lecz twórca „Anory" wiele zawdzięcza swojej koleżance z Tajpej – i pewnie *vice versa*. Była jego producentką, montażystką, współscenarzystką czy kostiumografką, a teraz on wyprodukował i zmontował jej reżyserski debiut, pomagając także przy scenariuszu.

Nic więc dziwnego, że „Left-Handed Girl. To była ręka... diabła!" jest filmem tak bardzo „bakerowskim", choć kto wie – może to ręka Tsou odcisnęła się bardziej na twórczości amerykańskiego kolegi ze studiów? Swoją drogą, symbiotyczne (bądź pasożytnicze) relacje pomiędzy twórcami są tematem arcyciekawym i często trudnym do zgłębienia.

Niewątpliwie pierwszy film Tsou, chociaż zrealizowany w dalekowschodniej ojczyźnie, nosi wiele podobieństw do „The Florida Project", zarówno w temacie, jak i w tonie czy estetyce. Za to kolorytlokalny robi sporą różnicę. Aż nie chce się wychodzić z nocnego targu w Tajpej, gdzie rozgrywa się większa część „Leworęcznej dziewczynki", jakkolwiek w tym kolorowym zgiełku dzieją się rzeczy niewesołe czy mało prawdopodobne. Patrzymy na nie jednak przez dziecięcy filtr, tak dobrze znany nam skądinąd.

Tsou i Baker stosują tę nakładkę na rzeczywistość wręcz dosłownie, wyznaczając nam na przewodniczkę małą I-Jing, wyposażoną już na wstępie w kalejdoskop pełen wielobarwnych szkiełek. Wiadomo zatem, że niby-dokumentalna sceneria tego filmu (kręconego, podobnie jak „Mandarynka" tegoż Bakera, za pomocą iPhone'ów) będzie trochę naiwną projekcją. Równocześnie spojrzenie zadziornej kilkulatki dodaje odrobinę szorstkości.

Dziewczynka, pomagająca samodzielnej mamie (Janel Tsai) na bazarowym stoisku z kluskami, nadzwyczaj sprawnie porusza się po brutalnym świecie, gdzie nawet najbliższa rodzina jest rodzajem bezwzględnego biznesu. Na czele stoi babcia, która robi szemrane interesy z paszportami, oraz dziadek, który „śmierdzi jak zgniłe tofu" i w pełni sobie zasłużył na to dziecięce określenie – nie mogąc zaakceptować leworęczności wnuczki, zatruwa ją demonicznymi fantazjami.

Stąd polski podtytuł „To była ręka... diabła!", nawiązujący oczywiście do filmu Paola Sorrentina, wypełnionego podobnym realizmem baśniowym. „Left-Handed Girl" wyrosła też z osobistych doświadczeń reżyserki, której tajwański dziadek zakazywał ponoć używania „diabelskiej" ręki. Dla filmowej I-Jing leworęczność staje się przekleństwem, supermocą i rodzajem alibi dla łobuzerskiej aktywności. Szkoda tylko, że pod koniec filmu twórcy trochę zapominają o swojej rezolutnej bohaterce, przepysznie zagranej przez małą Tajwankę Ninę Ye, i „Left-Handed Girl" staje się bardziej rodzinną dramą czy zwariowaną komedią omyłek.

Siłą tego kina jest bowiem przede wszystkim żywa energia miejsca i wcale nie kolorowego dzieciństwa, które po swojemu próbuje ubarwiać i porządkować świat dookoła. W tym świecie raczej niefajnie urodzić się dziewczynką: ciągle faworyzuje się męskich potomków i to na kobiety spada cały ciężar wychowania dzieci, kiedy mężczyzna znika. Stąd Tsou opowiada głównie o matkach i córkach, włączając również nastoletnią siostrę (Ma Shih-yuan).

Ojciec pojawia się dopiero tuż przed swoją śmiercią i, co znaczące, do samego końca pozostanie kompletnie niemy. Na dodatek w tym świecie kobiet zmuszonych do samowystarczalności kartą przetargową często bywa ich ciało. Dopiszmy do tego szerszy kontekst społeczno-ekonomiczny – nocny targ, sprzedający „wszystko" (kluski, betel, cudowne mydło i powidło), zamienia się w pigułkę rzeczywistości, którą rządzi niewidzialna ręka rynku.

Drobną przedsiębiorczość czasem dzieli włos od drobnej przestępczości i nawet jeśli cała ta straganowa krzątanina wypada na ekranie bardzo filmowo, stoją za nią ludzkie dramaty. Dobrze chociaż, że wiecznie nieobecny mężczyzna, oprócz

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM



MATERIAŁY PRASOWE

LEFT-HANDED GIRL. TO BYŁA RĘKA... DIABŁA!
(Zuopiezi nuhai) – reż. Shih-Ching Tsou. Prod. USA/ /Wielka Brytania/ /Francja/Tajwan 2025. Dystryb. So Films. W kinach.

Shih-Ching Tsou pochodzi z Tajwanu, w USA zaczynała jako współtwórczyni filmu „Take Out" (2004) Seana Bakera. Pracowała potem przy kilku jego filmach: „Gwiazdeczka" (2012), „Mandarynka" (2015), „The Florida Project" (2015) czy „Red Rocket" (2017). „Left-Handed Girl" jest jej pierwszym samodzielnie wyreżyserowanym tytułem i tegorocznym tajwańskim kandydatem do Oscara.

Na zdjęciu: kadr z filmu „Left-Handed Girl. To była ręka... diabła"!

długów i zaległych alimentów, zostawi swoim kobietom w spadku... surykatkę. Autorzy filmu wiedzą, jak krytyczny ogląd zamienić w surrealizm. Bo świetnie ogląda się tę opowieść wtedy, kiedy ma się wrażenie, iż pisze ją leworęczna, plująca kulkami z tapioki dziewczynka. Gdy kamera pozostaje na jej wysokości, śmigając po neonowych uliczkach bazaru.

Najlepiej, choć i najbardziej znajomo brzmi właśnie ów smarkaty wdzięk, z jakim odtwarza się w „Left-Handed Girl" śmieciowe realia i wieczną prowizorkę. Zmuszają one tych najmniej uprzywilejowanych, pozbawionych szansy na wykształcenie i dobry start, do bycia twardzielami – a raczej twardzielkami. Kiedy dzieci biorą diabelskie czy boskie sprawy w swoje ręce (patrz: „The Florida Project" czy nasi „Ministranci"), widać w całej jaskrawości, że coś fundamentalnie jest nie tak z naszym światem.

Filmom to zazwyczaj bardzo służy, trudno wszak znaleźć na ekranie większe napięcie niż w scenach z dzieckiem balansującym między beztroską zabawą a nieodległą przepaścią. Jednak zwłaszcza w finale za bardzo bierze górę „wielka draka", czyli duch bliższy „Anorze". Tamten film Bakera odzyskiwał na końcu swoją stawkę, rozproszoną zrazu w satyryczno-awanturniczej galopadzie; u Tsou wygrywa telenowelowe rozwiązanie rodzinnej tajemnicy i aktorska nadekspresja.

W omówieniach „Left-Handed Girl" powraca modne ostatnio słowo „rezyliencja", czyli psychiczna elastyczność pozwalająca przetrwać w mało sprzyjających warunkach, tutaj nie tylko gospodarczych, ale także obyczajowych, naznaczonych konserwatywną hipokryzją. Ta historia, aczkolwiek nie pachnie „zgniłym tofu", raczej orientalną mieszanką ulicznych spalin, pieczonej kukurydzy i klopsików z kałamarnicy, pozwala na całego zanurzyć się w drapieżnej rzeczywistości. I dzięki przewodnictwu I-Jing, wcale nie tak czułemu, przedrzeć się stopniowo na jaśniejszą stronę.

Chwilami scenariusz poszukuje tej drogi za bardzo na skróty, sięgając po łatwe atrakcje, konwencje, szarże. Twórcze wyrachowanie ustępuje na szczęście miejsca szczerej empatii i autentycznemu zaciekawieniu portretowanym mikroświatem. Ostatecznie ten film jest niczym jedna z tych błyskawicznych zupek, które pochłania I-Jing. Wiemy, że sporo w niej ulepszaczy i konserwantów, lecz co poradzić, że tak wybornie smakuje. ©

Lektor: *Odwiedziny u poetki*



▪ *Joanna Gromek-Illg*
POWRÓT POGUBIONYCH RZECZY. FOTOOPOWIEŚĆ O WISŁAWIE SZYMBORSKIEJ
Opracowanie graficzne Michał Pawłowski. Wydawnictwo Znak, Kraków 2025, ss. 240

Zacznijmy od jednej z rozkładówek. Dwa duże zdjęcia: po lewej piękna młoda kobieta, po prawej z ciemnego tła wyłania się przystojna, ale i trochę jakby groźna twarz nieco starszego mężczyzny. I teraz wyobraźmy sobie salę Starego Teatru w Krakowie. Jest zimno, bo ogrzewanie słabe, a mamy 31 stycznia 1945 r. Sala jednak wypełniona po brzegi, bo to pierwszy poranek poetycki po wyjściu Niemców.

Na widowni jest niespełna 22-letnia Wisława Szymborska, wśród występujących Czesław Miłosz. Autor wydanych przed wojną arcydzielnych „Trzech zim" czyta wiersze z „Ocalenia", które niedługo się ukaże. „Wygląd gniewnego cherubina – wspominała Szymborska – głos świetnie postawiony. Pamiętam, że pomyślałam: to wielki poeta". Ponad pół wieku później w tej samej sali odbędzie się pierwsze po Noblu publiczne spotkanie z poetką, a dwoje noblistów będzie się w Krakowie spotykać. To jedna z wielu historii, które można wysnuć z obrazów w tej pięknej książce.

Wisława Szymborska była osobą raczej skrytą i dbającą o prywatność, którą udało jej się ocalić – przy walnej pomocy swego sekretarza, Michała Rusinka – nawet po Noblu, i tylko czytelnicy dość długo musieli czekać na nowy tom wierszy. Ciepła i wyjątkowo starannie skomponowana plastycznie fotoopowieść żadnych sensacji nie przynosi, choć informacji sporo. To raczej spokojny spacer przez biograficzną przestrzeń, od rodzinnych korzeni Szymborskich i Rottermundów (dużo zdjęć!), poprzez burzliwe lata 50., po tłumne pożegnanie na zaśnieżonym wtedy cmentarzu Rakowickim. Z mocno wyakcentowanym wątkiem uczucia, jakie Szymborską połączyło w latach 60. z Kornelem Filipowiczem, niebywale zresztą fotogenicznym. „Straciłam największą miłość mojego życia" – napisała po jego śmierci do Gizeli i Erwina Szancerów, przyjaciół, którzy po Marcu '68 wyemigrowali, a których poznała dzięki Filipowiczowi właśnie.

Ze zdjęć widać zresztą, jak wierna była w przyjaźniach i jak lojalna. Z pierwszym – i jedynym – mężem, Adamem Włodkiem, utrzymywała po rozwodzie przyjazne stosunki, zajęła się też jego spuścizną. Nie zmieniła zresztą nigdy przyjętego przy ślubie podwójnego nazwiska. A kto chce się przekonać, jak uzdolniona także plastycznie (wyklejanki!) poetka rysowała, polecam jej ilustracje do napisanej przez Włodka bajeczki „Mruczek w butach"... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Gałązki oliwne płoną



Cztery tysiące osób zapisało się na listę oczekujących na półlitrową puszkę tegorocznej oliwy z gaju w wiosce Deir Dibwan nieopodal Ramallah, na Zachodnim Brzegu Jordanu. Każda kosztuje w przeliczeniu jakieś 150 złotych, a to jeszcze bez transportu, szczególnie kosztownego nie tylko z racji dystansu (no cóż, oliwki zawsze rosną daleko), ale też rozmaitych restrykcji, jakie na logistykę rolnictwa palestyńskiego narzucają warunki okupacji. 300 złotych za litr to jest cena superpremium, godna towaru z najbardziej prestiżowych miejscówek w Europie – takich jak brzegi jeziora Garda albo okolice miasteczka Taggia w Ligurii, skąd wedle włoskich gastrofaszystów powinno się wyłącznie brać oliwę do najprawdziwszego bazyliowego pesto. Inaczej to nie to, za każdym razem, kiedy wlewacie jakiegoś generyka z dolnej półki, wpada do beczki z oliwą i umiera mały kotek.

Ten fanatyzm w pilnowaniu wydumanych zasad zasługuje na więcej niż rechot, bo w swoich rozwiniętych (i podsycanych przez politykę) formach pokazuje niestety, że kołtun wepchnięty pod czapkę poprawności zawsze i tak wylezie gdzieś z boku. W dziedzinach niesłusznie uznanych za mniej istotne, takich jak jedzenie. Ale tym się zajmiemy kiedy indziej, bo przemoc symboliczna odprawiana nad talerzem nie zabija, nie okalecza, nie głodzi. Tymczasem w szczycie nowego sezonu oliwnego warto się zająć tą prawdziwą przemocą.

Jak się zatem rzekło, oliwa z Palestyny jest piekielnie droga, nawet w kontekście tego, że w ogóle najlepsze, dopieszczone promocyjnie i estetycznie butelki tego tłuszczu zaczynają powoli służyć snobom jako śródziemnomorski symbol statusu, wypierając przy tym wino, które traci popyt, prestiż i luksusową aurę. A jednak ten towar „schodzi" u nas w Europie bez problemu, podobnie jak daktyle i inne jeszcze płody rolne stamtąd. Firmy nimi handlujące raportują od dawna stały wzrost obrotów. Oczywiście mówimy o ilościach homeopatycznych, cała produkcja tego kraju – wolno tak powiedzieć czy to już deklaracja polityczna? – to jakieś 20 tysięcy ton, z czego większość spożywana jest na miejscu. Dla porównania, pierwsza na świecie Hiszpania produkuje z grubsza półtora miliona ton oliwy albo i więcej, jeśli urodzaj dopisze. Świat by nie zauważył, gdyby oliwa palestyńska zniknęła – co wcale nie jest wykluczone w niedalekiej przyszłości: rok w rok na wzgórzach Zachodniego Brzegu izraelscy osadnicy lubią sobie wyciąć i spalić trochę cudzych gajów albo pogonić kijami ludzi udających się na zbiór owoców po uzyskaniu wszystkich niezbędnych w poruszaniu się po własnej ziemi przepustek.



Z punktu widzenia globalnego rynku oliwnego mówimy więc o czymś nieistotnym, jednak dla tamtejszych, coraz mniej licznych producentów możliwość sprzedaży części urobku z dużą górką to istotny budżetowy zastrzyk. A też i psychiczny, jako się rzekło – gaje i ich właściciele są od lat obiektem systematycznych ataków wandalizmu i zastraszania. Wycięcie drzewa oliwnego to szczególna krzywda, i to nie z racji tego, że jego gałązka symbolizuje pokój. Jeśli wróg spali ci pole rzepaku, za rok obsiejesz nowym, zbierzesz i wytłoczysz. A nowo zasadzone drzewo będzie potrzebować dwudziestu lat, by wydać owoce.

Kampania antyoliwna jest dobrze udokumentowana jeszcze od czasów daleko poprzedzających obecną wojnę, kiedy dało się jako tako rozmawiać o niegodziwościach popełnianych przez osadników na Zachodnim Brzegu oraz sprzyjające im organy władzy izraelskiej bez zyskiwania z automatu łatki antysemity. Dziś właściwie to już niemożliwe, ale dla porządku zaznaczmy, że po świeższe relacje z gajów nie trzeba sięgać do mediów arabskich albo po organy raczej niechętnej Izraelowi zachodniej lewicy, takie jak „Guardian". Wystarczy czytać gazetę „Ha'aretz" lub izraelski serwis informacyjny „+972".

Czy to zatem wyłącznie czytelnicy „Guardiana" przepłacają za oliwę z Palestyny? Faktycznie, największy jej rynek w Europie to Wielka Brytania. Można więc to interpretować jako „etyczny zakup" ze strony świadomych konsumentów, dobrze już oswojonych z faktem, że ich solidnie wypchany



ISSAM RIMAWI / ANADOLU / ABACA / EAST NEWS

Izraelscy żołnierze interweniują podczas zbiorów oliwek przez palestyńskich rolników i pomagających im aktywistów. Wioska Barka, Ramallach, Zachodni Brzeg, 20 października 2024 r.

portfel w czasach, gdy prawdziwą władzę sprawują „rynki", może być bardzo skutecznym narzędziem działania na rzecz czegoś. Albo przeciw czemuś. Pieniądz staje się wówczas niematerialnym kamieniem, którym ciskają, zostawiając akcję bezpośrednią młodym i biedniejszym.

Można też nieco złośliwie zauważyć, że taka politycznie motywowana konsumpcja to charakterystyczna dla spasionego Zachodu forma usypiania wyrzutów sumienia, jakie powinni mieć ludzie dysponujący na tygodniowe zakupy spożywcze budżetem porównywalnym z tym, co gdzie indziej wystarcza rodzinie na pół roku. I ta podszewka fałszu sprawia w nieunikniony sposób, że nie kieruje nimi rozsądny namysł nad poprawianiem świata tam, gdzie to naprawdę będzie skuteczne, tylko odruch stadny. I wtedy różne bieżące paniki moralne decydują, kto będzie w danej chwili beneficjentem łaskawości.

To bardzo grząska sprawa mówić ludziom, jak powinni czynić dobro. Teraz, kiedy w adwencie szmacianosiwe świty ożywia blask roratnich świec (wiem, lubicie pospać, to tylko taka metafora) i w tym blasku sami chcemy wypaść przed sobą jacyś lepsi.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Dziękczynny sos z pora

Amerykanie tymczasem mieli swoje Dziękczynienie (mam wrażenie, że to my powoli stajemy się ich indykami do zarżnięcia). Utylizacja resztek po uczcie stanowi osobny, dobrze zakorzeniony gatunek w prasie kulinarnej za oceanem. Kartkując te remanenty, natknąłem się na przecier z pora, który winien być wzbogacany sosem spod indyka, jaki po czwartku zalega w brytfannie. Ale i bez tego stanowi dobry dodatek, np. do purée ziemniaczanego. Kiedyś robiłem go często do pieczonych warzyw korzeniowych.

SKŁADNIKI:

3 duże pory 0,5 l lekkiego bulionu drobiowego lub warzywnego 2 łyżki masła 1 łyżka białej mąki ▪ sól ▪ pieprz ▪ gałka muszkatołowa

Odcinamy z porów zeschłe końcówki, rozcinamy wzdłuż, spomiędzy warstw wypłukujemy ziemię. Tniemy na kawałki ok. 10 cm, dokładnie suszymy ręcznikiem papierowym, kładziemy na blachę wyłożoną papierem do pieczenia i wstawiamy do górnej części piekarnika rozgrzanego do 200 st. C. Kluczowe dla smaku sosu – jeśli nie dodamy potem resztek z pieczeni – jest mocne przypalenie. Powinno to trwać z 10 minut, ale może i więcej, musicie obserwować uważnie – część liści powinna się prawie całkowicie zwęglić, nie bójcie się tego. Możemy pod koniec jeszcze na chwilę obrócić kawałki na blasze, żeby tej spalenizny było więcej.
Kiedy por trochę przestygnie, tniemy go na małe kawałeczki, wrzucamy do blendera z około 300-350 ml bulionu, miksujemy. Powinien wyjść nam rzadki krem, dający się łatwo przetrzeć przez sito. Jeśli trzeba, dodajemy jeszcze trochę płynu. Przecieramy starannie (ale i tak trochę włókien przedostanie się do końcowego produktu).
Ogrzewamy w garnuszku i powoli dodajemy miękkie masło roztarte z mąką – w takiej ilości, by osiągnąć gęstość, jaka nam pasuje. Gdyby ciągle wydał nam się za rzadki, odparowujemy na wolnym ogniu. Doprawiamy pieprzem i gałką – ale delikatnie. Kiedyś oprócz masła dodawałem też odrobinę sera z niebieską pleśnią. Jeśli macie przypadkiem tłuszcz wytopiony z boczku na śniadanie – też pasuje. ©℗



ELENA ZAJCHIKOVA / SHUTTERSTOCK

ZMYSŁY

PRZYSTAŃ PRZYJEMNOŚCI

MAJA MOZGA-GÓRECKA:

Ćwiczenie uważności, uprawianie sportów czy jedzenie zostały wystawione na widok publiczny. Niewidoczność, jak bezczynność, staje się formą kontestacji.



STEVE VIDLER / ALAMY / BE&W

BEATA CHOMĄTOWSKA: Twoja książka, „Figlarnie. Przestrzenie radykalnej prywatności", odpowiada na coraz silniej odczuwaną potrzebę prywatności i nieuczestniczenia.

MAJA MOZGA-GÓRECKA: Tak, choć muszę zaznaczyć, że pierwszy fragment tej książki powstał około roku 2012, kiedy internet i media społecznościowe wyglądały inaczej. Od początku byłam nastawiona wobec nich nieufnie: trudno było mi zrozumieć, czemu ludzie z własnej woli chcą rezygnować z prywatności. W tym sensie książka wzięła się raczej ze zdumienia, dysonansu poznawczego. Prywatność ma zarówno jasne, jak i ciemne strony, a książka pokazuje obie. Tytuł też można czytać na dwa sposoby, choć większość osób odczytuje „figlarnie" jako przysłówek.

Przypomnijmy więc znaczenie rzeczownika.

„Figlarnie" traktuję jako kreatywny przekład na język polski francuskich *maisons de plaisance*, dosłownie „domów przyjemności". Takie obiekty od połowy XVII w. służyły wyrafinowanym uciechom bogaczy, zwłaszcza arystokratów. Luksusowe, wygodne, ozdobione malowidłami i dziełami sztuki, miały dawać estetyczną przyjemność, ale były też świadkami niejednej miłostki czy nawet orgii. Lokowano je często w podmiejskich wsiach i nazywano małymi domami, *petites maisons*, albo *folies*, szaleństwami, być może w związku z miłosnym obłędem, jakiemu służyły, albo – bardziej praktycznie – bajońskimi sumami, jakie trzeba było za nie zapłacić.

Rodzajem takiej figlarni jest Biały Dom w warszawskich Łazienkach, niepozorny budynek, który mijam prawie codziennie. Po lekturze patrzę na niego zupełnie inaczej.

Ja też znam go od zawsze, w zasadzie od dzieciństwa, ale dopiero podczas pisania odkryłam w nim sale i zakamarki, które mogły służyć Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu zarówno do miłosnych schadzek, jak i podczas biesiad z intelektualistami, czyli tzw. obiadów czwartkowych – w letnie miesiące, podczas remontu Pałacu na Wyspie. A także do lektur i kontemplacji.

I to między innymi myśl o kontemplacji towarzyszyła mi podczas pisania. Mam wrażenie, że jest to pojęcie w kulturze Zachodu zapomniane, przynajmniej w jej świeckich obszarach. Kiedy szuka się informacji na ten temat, trafia się niemal wyłącznie na strony katolickich portali. Silnie obecny jest natomiast ruch *mindfulness*, wywodzący się z kolei z tradycji wschodniej, z medytacji buddyjskiej, a to też coś innego.

Jak Ty rozumiesz kontemplację?

Bliski mi jest sposób, w jaki pisze o niej Byung-Chul Han, koreański filozof mieszkający w Niemczech. Dla niego to umiejętność zatrzymania się, wyrwania z kołowrotka nieustannych doznań, w jakim uwięziony jest współczesny człowiek. Świadomego kierowania uwagi i spojrzenia.

Prospect Cottage, domek Dereka Jarmana

Niewiele różni się to od pobocznych efektów medytacji, gdzie obserwuje się wszystko, co się pojawia, wracając uwagą do oddechu czy mantry.

Momentami wydawało mi się, że Han utożsamia jedno z drugim. Dla mnie jest istotne, że podczas kontemplacji zatrzymujesz się i obserwujesz świat z wyostrzoną uwagą, ale nie robisz tego, by coś osiągnąć, na przykład doświadczyć jakichś mistycznych stanów albo udoskonalić umysł, tylko dla samej tej czynności. W tym sensie kontemplacja przypomina zabawę.

Dziś o to trudno, bo *gros* ludzkiej aktywności, czy to będzie ćwiczenie *mindfulness*, jedzenie, czy jogging, zostało wprzęgnięte w utylitarną machinę i wystawione na widok publiczny. Niewidoczność, tak jak bezczynność, stają się formą kontestacji. Han w eseju „Vita contemplativa" przytacza anegdotę o kucharzu, który ćwiczył się w bezczynności, aż nauczył ruchów, które pozwalały mu od niechcenia robić tak precyzyjne szczeliny w mięsie wołu, że rozpadało się samo.

To fragment „Prawdziwej księgi południowego kwiatu" Zhuangzi, chińskiego traktatu taoistycznego. Książki Hana mają w dużej mierze formę wypisów ze starych zeszytów filozoficznych, opatrzonych komentarzami odnoszącymi się do współczesności.

Możliwe, niektórzy twierdzą, że cała filozofia to tylko komentarze do antyku. Zresztą w zachodniej przestrzeni kulturowej też możemy znaleźć podobne motywy. Etyka arystotelesowska opierała się na wartości będącej dobrem samym w sobie, czyli na szczęściu, któremu cnoty służyły, były więc niżej w hierarchii dóbr. A przepisem na najdoskonalsze życie była dla Greka kontemplacja, rozumiana jako badanie świata, filozoficzne dążenie do prawdy.

W każdym razie lektura Hana dała mi do myślenia. Dzięki niemu kontemplacja wraca na duchową mapę Europy. Idąc trochę tym tropem, próbuję ująć prywatność w kategoriach pewnych doświadczeń, a nie tylko przestrzeni w naszych głowach lub domach, których nikt nie podgląda. Ciekawią mnie obszary swobody. Pewne działania lub bezruch, które dzięki prywatności są łatwiejsze lub w ogóle możliwe, czy będzie to rozmowa, uprawianie ogrodu, myślenie – czy choćby figlowanie.

W książce pokazujesz miejsca, które temu właśnie służą. Poza najbliższym polskiemu czytelnikowi Białym Domkiem z Łazienek są to między innymi: letni dom na wyspie Alvara Aalto, gabinet Freuda w Wiedniu, dom-manifest, czyli willa Müllerów w Pradze projektu Adolfa Loosa, i sekretny apartament Carla Mollino w Turynie, który służył mu też za atelier. Które z nich jest najbliższe Tobie?

Dom letni Alvara Aalto na bezludnej niegdyś fińskiej wyspie. Architekt traktował go jako formę ratunku w trudnej osobistej sytuacji, bo schronienie powstało po śmierci jego ukochanej pierwszej żony Aino, z którą łączyła go jedyna w swoim rodzaju więź, zarówno prywatna, jak i zawodowa: projektowali razem. Na wyspie, razem z kolejną kobietą, Elsą-Elissą, która została jego drugą żoną, próbował koić tamtą stratę, zarówno przy pomocy tej architektury ulokowanej pośrodku dzikiej przyrody, jak i zabawy przenikającej się z pracą. ↦

↦ Aalto uważał, że architekt musi wprowadzać element zabawy do swojego zawodu, nie myśleć wyłącznie w kategoriach użyteczności czy budżetów, dziś dodałabym też: setek uciążliwych przepisów. Zostawić sobie – i odbiorcom – miejsce dla wyobraźni. Mówił zresztą, że projektuje dla dorosłych dzieci.

Dom na wyspie jest właśnie manifestacją takiego podejścia. Będąc w nim zastanawiałam się, jak oboje z Elsą funkcjonowali tam na co dzień, bo jest to miejsce mocno nietypowe, położone na skałach tuż nad wodą. Aalto był zafascynowany włoskimi miastami na wzgórzach i chciał je odwzorować w fińskim lesie nad jeziorem.

Rozdział o nim pozwala też odetchnąć po ciemnych sekretach, odkrywanych we wcześniejszych fragmentach. Daje nadzieję, że w dzisiejszym świecie można wciąż czerpać wartość z tego, co prywatne, że może to nas budować, a nie tylko łączyć się z zagrożeniem.

Ciemne sekrety to przede wszystkim historia Adolfa Loosa, którą przywołujesz przy okazji wizyty w zaprojektowanej przezeń willi rodziny Müllerów w Pradze.

Przygotowując się do obejrzenia willi czytałam sporo o Loosie, między innymi książkę amerykańskiego krytyka i historyka architektury, Christophera Longa „Adolf Loos on Trial" (Adolf Loos przed sądem). Opisuje w niej proces sądowy, jaki wytoczono w Wiedniu architektowi, gdy wyszło na jaw, że zapraszał do swojego domu dziewczynki, zaczepiane na ulicy, kąpał je, rozbierał i zachęcał do pozowania w erotycznych pozach. Po tej lekturze Loos, wybitny przecież twórca, spadł dla mnie z piedestału.

Chodząc po praskiej willi Müllerów jego projektu, która stanowi jedno z najwspanialszych dzieł architektonicznych na świecie, myślałam o pokoju dziecinnym Evy, córeczki państwa Müllerów. Czy gdybym sama była zamożną przedstawicielką praskiej elity, wiedząc o tym, co zaszło, pozwoliłabym właśnie temu architektowi zaprojektować pokój własnego dziecka? Cóż, może wówczas wieści nie rozchodziły się tak szybko jak dziś.

Mroczny wydaje się też wiedeński gabinet Freuda i apartament Mollino w Turynie.

Jeśli chodzi o Freuda, mieszkanie przy Bergstrasse w Wiedniu, gdzie przyjmował pacjentów, ale też mieszkał na co dzień z rodziną, funkcjonuje dziś jako muzeum i nie ma oryginalnego wystroju. Zostało splądrowane przez nazistów, a właściciel zabrał część rzeczy, uciekając z rodziną do Londynu. Freud kolekcjonował rozmaite antyczne przedmioty: maski, figurki, płaskorzeźby.

Kiedy pomyśli się, że cały ten zbiór – łącznie kilkaset par oczu i uszu – towarzyszył pacjentom podczas intymnych rozmów, tworząc spory tłum widzów, poufna sesja psychoanalityczna zyskuje charakter milczącego zgromadzenia, na którego obecność pacjent wcale się nie godził. A historia samego Freuda, który lekceważył rygor naukowy, a o chorych wyrażał się *per* „złote rybki", sprawia, że to miejsce traci swoją niewinność.

Mollino zaś, z wykształcenia architekt, ale też człowiek wielu talentów, w wynajętym *piano nobile* przy via Napione przyjmował turyńskie fordanserki i portretował je nago polaroidem. Wnętrza apartamentu, o zasłoniętych oknach, oświetlane za dnia sztucznym światłem, pełne luster i zakamarków, wypchanych zwierząt, olbrzymich muszli, rysunków motyli, funkcjonowały całkowicie poza czasem. Fulvio Ferrari, badacz archiwum Mollina, który wraz z synem opiekuje się mieszkaniem, twierdzi, że artysta budował sobie tam za życia egipski grobowiec, przygotowywał się w taki sposób na spotkanie ze śmiercią.

Czy są jeszcze inne takie miejsca?

Chata Dereka Jarmana – Prospect Cottage na przylądku Dungeness w Wielkiej Brytanii. Filmowiec zaszył się tam, gdy zachorował na AIDS. Zapraszał licznych znajomych, co pokazuje, że prywatność nie jest tylko atrakcją dla introwertyków. Doświadczając terminalnej choroby, bliskości absolutu, pielęgnował nietypowy ogród. Dzięki zbiórce środków od ludzi z całego świata tę przestrzeń po jego śmierci udało się ocalić i przekształcić w rezydencję dla innych artystów.

Obejrzałabym również dom White U w Tokio zaprojektowany przez architekta Toyo Ito dla jego siostry i jej córek jako przestrzeń żałoby, niestety został zburzony.

Ważne było dla mnie, żeby odwiedzić każde z opisywanych miejsc, a więc musiały to być domy lub mieszkania dostępne dla zwiedzających. Tkwi w tym pewien paradoks, bo piszę o prywatności, oglądając ją wystawioną na widok publiczny. Miałabym opory przed zdradzaniem cudzych sekretów – pierwsi właściciele czy użytkownicy opisywanych w książce miejsc już nie żyją. O większości z nich już sporo pisano, więc w esejach przywołuję różnych autorów. Nie jest tak, że sama odkryłam te historie. Mam jednak nadzieję, że udało mi się opowiedzieć o tych przestrzeniach w nieco inny sposób, niż robiono to do tej pory.

Dodatkowy posmak przygody tym wędrówkom dodaje fakt, że większość z odwiedzanych przez Ciebie miejsc ma mocno nietypowy układ wnętrz. Krążymy po nich jak po labiryncie, odkrywając różne zagadki.

Absolutną łamigłówką jest willa Müllerów, która łamie konwencje pod każdym względem. Już studiowanie układu wnętrz tego przestrzennego przekładańca przyprawia o zawrót głowy. Każde pomieszczenie ma inne wymiary i proporcje, stanowi wręcz osobny poziom. Brak jest jednoznacznych podziałów na piętra. Odtworzenie tego z pamięci wydaje się niemożliwe.

Wspomniałaś o ogrodzie Jarmana. Ogrody to w ogóle dobry trop, gdy mowa o miejscach kontemplacji, schronienia, wszelkiego rodzaju „figlarniach". Przypomniały mi się sekretne ogrody przyjemności, zakładane od XIII w. przez Mongołów w Indiach, mające być wyobrażeniem muzułmańskich rajów. Świątynia dumania u Mickiewicza. Lub – by nie szukać daleko – wszystkie ogromne ogrody klasztorne w centrach miast, niedostępne dla osób z zewnątrz.

Taki *hortus conclusus*, inspirowany ogrodami zakonnymi, zaprojektował Peter Zumthor w 2011 r. jako tymczasowy pawilon galerii Serpentine w Londynie. Bardzo żałuję, że go nie widziałam, musiała to być idealna przestrzeń kontemplacji.

MAJA MOZGA-GÓRECKA to redaktorka i dziennikarka specjalizująca się w architekturze i wzornictwie. Przez ponad 10 lat należała do grona stałych współpracowników miesięcznika „Architektura-Murator". Współautorka książki „Form Follows Freedom. Architecture for Culture in Poland 2000+" (2015). Niedawno wydała „Figlarnie. Przestrzenie radykalnej prywatności" (Karakter).



JAKUB SZAFRAŃSKI / KARAKTER

Za to w dzieciństwie często odwiedzałam pewien tajemniczy ogród. To było arboretum w miejscowości, w której spędzałam każde wakacje. Często było zamknięte, ale zakradaliśmy się do środka i w tajemnicy przed dorosłymi eksplorowaliśmy je na własną rękę. Jednocześnie była to przestrzeń bezpieczna dla małych odkrywców. Wtedy przypominała oswojony las, gęsty i bujny, wypełniony fenomenalnymi drzewami z całego świata. Dziś ma już bardziej uporządkowany charakter.

A jakie są Twoje obserwacje dotyczące współczesności: istnieje potrzeba posiadania prywatnych kryjówek, zakamarków, buduarów? Chcemy się chować czy pokazujemy, że nic nie mamy do ukrycia?

Mamy w Europie kryzys mieszkaniowy, niedobór dostępnych cenowo mieszkań, więc trudno mówić o takich zbytkach jak buduary. Ale nawet w luksusowych domach rzadko spotyka się ich odpowiedniki, przestrzenie służące pogrążaniu się w myślach. Raz czy dwa natknęłam się na pokój do medytacji.

Z drugiej strony, wracają kameralne nisze, ażurowe przesłony, parawany, a także drzwi zlicowane ze ścianą, pomalowane albo obite tapetą, o których istnieniu wie tylko właściciel. Częściej pojawiają się strefy wypoczynkowe obniżone względem głównego poziomu pomieszczenia, co też ułatwia skupienie się na tu i teraz. Odkrywa się zalety amfilad, którymi długo pogardzano. Raczej jednak przy większych metrażach, w mieszkaniach par, a nie dużych rodzin. Takie amfiladowe wnętrze w każdym pokoju może skrywać jakąś niespodziankę.

„Wall Street Journal" opublikował niedawno artykuł o tym, że ultrabogacze wydają dziś fortuny na prywatność. Trudno jednoznacznie przewidzieć, co przeważy w przyszłości, te zjawiska są bardzo płynne. Ciekawi mnie też, jak potrzeba prywatności przejawia się w przestrzeniach publicznych.

W nowym budynku Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, stworzonym przez pracownię Projekt Praga, inwestor chciał, by okna wychodzące na atrium były przeszklone, zapewniające transparentność podczas zajęć. Ale nie każdy dobrze się czuje ze świadomością bycia wystawionym bez przerwy na widok publiczny. Architekci rozwiązali to w prosty sposób – poprzez zasłony. Budynek oferuje więc dwie możliwości, zależnie od potrzeb. Podczas mojej wizyty wszystkie te przeszklenia były zasłonięte.

Jeśli patrzeć na Twoją książkę jak na pewien architektoniczny wzór, to też układa się on w amfiladę. Pośrodku odkrywamy sporo ciemnych zakamarków, ale pierwszy i ostatni rozdział – Biały Domek i dom letni Aalto – łączą się ze sobą. To historie, w których jest dużo śmiechu i światła, typowe figlarnie.

Zgadza się. Wizyta w domu Aalto pozwoliła mi domknąć opowieść w optymistyczny sposób, pokazując, że jest ratunek dla prywatności, bo wcześniej czułam, że piszę raport z gruzów, dokumentuję zjawisko, które przeminęło, zbieram okruchy.

Świat wokół zmienia się dynamicznie. Wiedza, jaką się dobrowolnie dzielimy w internecie, może zostać wykorzystana przeciwko nam przez autorytarne reżimy, jeśli tylko nasze dane trafią w niewłaściwe ręce. Gdy widzimy szefów gigantów technologicznych zebranych przy jednym stole w Białym Domu i komplementujących Trumpa, taki scenariusz przestaje brzmieć jak dystopia.

Mam nadzieję, że nie zbliżamy się do takiej sytuacji jak w Japonii epoki Edo. Narastająca opresyjność władzy była podobno jednym z czynników, które wpłynęły wtedy na spopularyzowanie sztuki bonsai, którą zajmowano się w prywatnych ogrodach. Symbolem wolności w tej historii staje się miniaturowe drzewo. Ale nie musimy mieć od razu prywatnego ogrodu czy bezludnej wyspy i zbudowanego samodzielnie domu na niej. Wiele jest w naszych rękach. Jakimś schronieniem jest świadomy sposób przeżywania tego, co nas otacza.

Przedstawiasz się jako osoba ceniąca sobie prywatność – i to widać też w „Figlarniach", choć znamienne, że im bliżej końca, tym więcej jednak prywatności odsłaniasz.

W trakcie pracy zaczęłam sobie uświadamiać, że opisując prywatność, tym samym ją naruszam. Uznałam więc, że skoro wystawiam te miejsca na widok publiczny, powinnam w zamian ofiarować bogom prywatności trochę wina z własnego stołu.

© Rozmawiała BEATA CHOMĄTOWSKA

TOMASZ

Stawiszyński: *Anonse i wiry*



Znałem kiedyś człowieka, który niezwykle szczegółowo wyobrażał sobie każde swoje potencjalne działanie. Nie zanim je jeszcze podjął, lecz... zamiast. Wystarczyło cokolwiek mu zaproponować – spacer, wyjście do kina, wspólny wyjazd – a od razu zaczynał tworzyć scenariusze, w których rekonstruował domniemane warianty zdarzeń. Mówiło się doń, dajmy na to: „Słuchaj, kolega urządza dziś imprezę, może się wybierzemy?", on zaś deklamował cały przebieg wieczoru, z kilkoma alternatywnymi zakończeniami. Podobnie z relacjami. Zanim się jeszcze jakaś znajomość zdążyła rozwinąć, znał w detalach jej dynamikę.

W efekcie (a jest to zjawisko w psychologii znane) człowiek ów z takim zaangażowaniem antycypował w wyobraźni niezaistniałe sytuacje, że doświadczał ich tak, jakby faktycznie następowały. Co naturalnie sprawiało, że natychmiast tracił nimi zainteresowanie i przenosił uwagę gdzie indziej. Na imprezę, której przebieg odtwarzał, nie szedł, bo w zasadzie wracał z niej, zanim się zaczęła. Obiecujących relacji nie rozwijał, czuł się bowiem tak, jakby naprawdę mu się przydarzyły, choć przecież nie przydarzyły się wcale. Swoją drogą, rzeczywistość okazywała się za każdym razem znacznie bardziej zaskakująca, a jego scenariusze nigdy się nie sprawdzały. Nie wytrącało go to jednak z kontenansu. Mówiąc szczerze, wcale się tym nie przejmował, bo zajęty był analizowaniem kolejnych możliwych opcji, które zresztą nie realizowały się w takim samym stopniu, jak poprzednie. Nietrudno się domyślić, że skutkiem tego była niemal całkowita bezczynność, a zarazem wielkie bogactwo towarzyszących jej afektów. Oraz zupełnie nieuzasadnionych przekonań dotyczących nie realiów, lecz tego, jak realia mogłyby oraz powinny wyglądać.

Przypadek ów – intrygujący, ale wcale nie tak odosobniony – przypomina mi się nieodmiennie, kiedy widzę, co dzieje się z artykułami i tekstami anonsowanymi w mediach społecznościowych. Wiadomo, bezlitosna dyktatura klikalności rządzi się swoimi prawami. Osoby odpowiedzialne w danej redakcji za media społecznościowe muszą konstruować posty w sposób maksymalnie skrótowy i dosadny. W praktyce oznacza to często – zbyt często – wyjmowanie pojedynczych zdań z większej całości i umieszczanie ich w postach w roli specyficznego *pars pro toto*. Tekst, zwłaszcza publicystyczny (także felieton), tym się jednak między innymi różni od jedno- albo dwuzdaniowego posta-anonsu, że zawiera wielokrotnie więcej zdań. Zdania te układają się w akapity, akapity zaś w wywód mający swój porządek i logikę. I dlatego dopiero zapoznanie się z całością, linearnie, od początku do końca, umożliwia adekwatne zrozumienie nie tylko treści artykułu, ale również intencji autora. Pojedynczy klikbajt nie daje takiej możliwości, a nierzadko wprost przeciwnie – wytwarza zupełnie niereprezentatywny sens, który z tym, do czego teoretycznie odsyła, nie ma nic wspólnego.

Słowem, jakkolwiek ekscentrycznie i obrazoburczo dzisiaj to brzmi: żeby wiedzieć, co jest napisane w tekście, trzeba ten tekst przeczytać. Wydawałoby się, że to oczywiste, i że właśnie po to pisze się tekst, nie zaś dwa zdania, żeby powiedzieć to, co mówi się w tekście, nie zaś to, co by się mogło powiedzieć w dwóch zdaniach.

Cóż, skoro użytkownicy mediów społecznościowych coraz częściej przypominają tego mojego znajomego. Doświadczają ekstremalnie intensywnych emocji bez kontaktu z domniemanym ich przedmiotem. Zachowują się tak, jakby przeczytali to, co komentują, mimo że nic takiego nie zaszło. Oburzają się, plują jadem, śmieją się do rozpuku, jak również euforycznie potakują wyłącznie na podstawie jednego czy dwóch zdań, jakby znali całość, gdy tymczasem nie mają o niej pojęcia.

Doprawdy, nie przestaje mnie zadziwiać absolutna, niezachwiana pewność siebie, z jaką masa ludzi potrafi formułować radykalne oceny tekstów (oraz ich autorów), z których zna w najlepszym razie drobniutki wyimek. Na dodatek wybrany specjalnie tak, żeby te dzikie afekty stymulować. Przy czym poziomy tej, by tak rzec, niereferencyjności rosną w miarę pojawiania się kolejnych komentarzy. O ile początkowo ludzie komentują post nie przeczytawszy tekstu, o tyle na dalszych etapach komentarze odnoszą się już wyłącznie do wcześniejszych komentarzy. Nikt nie czyta więc nic poza tymi postami i komentarzami, bo po intensywnej erupcji złości, oburzenia lub szyderstwa nie ma już potrzeby ani motywacji, żeby sięgać do źródła. Czy ono w ogóle ma jeszcze znaczenie? Standardowy wirtualny nienawistnik ani myśli się nim przejmować, czuje się już bowiem głęboko emocjonalnie usatysfakcjonowany, jeśli kogoś wyszydził, wyśmiał albo obrzucił inwektywami. Wiadomo, nic tak nie uspokaja i nie poprawia samooceny, jak dewaluacja innych i sygnalizacja własnej nieskalanej cnoty.

Opis przyczyn takiego stanu rzeczy to temat na inny tekst, tu warto tylko zauważyć, że – w zasadzie – publikowanie zapowiedzi tekstów w mediach społecznościowych wydaje się dziś przeciwskuteczne. Jeśli, oczywiście, celem ma być skłonienie kogoś do lektury czy też wywołanie merytorycznej dyskusji. Jeśli natomiast chodzi o wzbudzanie absurdalnych wirów, stymulowanie konfliktów i nagonek, generowanie pustych afektów i zwiększanie ruchu na tej czy innej platformie – a, to co innego. W takim przypadku wszystko, można by rzec, idzie zgodnie z planem. Pytanie tylko – czyim? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

REKLAMA

SZUKAJĄC ULGI W CIERPIENIU, TRAFIŁ DO PIEKŁA.

Poznaj wstrząsającą relację człowieka, który spędził kilka lat w sekcie. Ucieczka z Nieba była dopiero początkiem jego trudnej drogi do odzyskania wolności i własnej tożsamości.

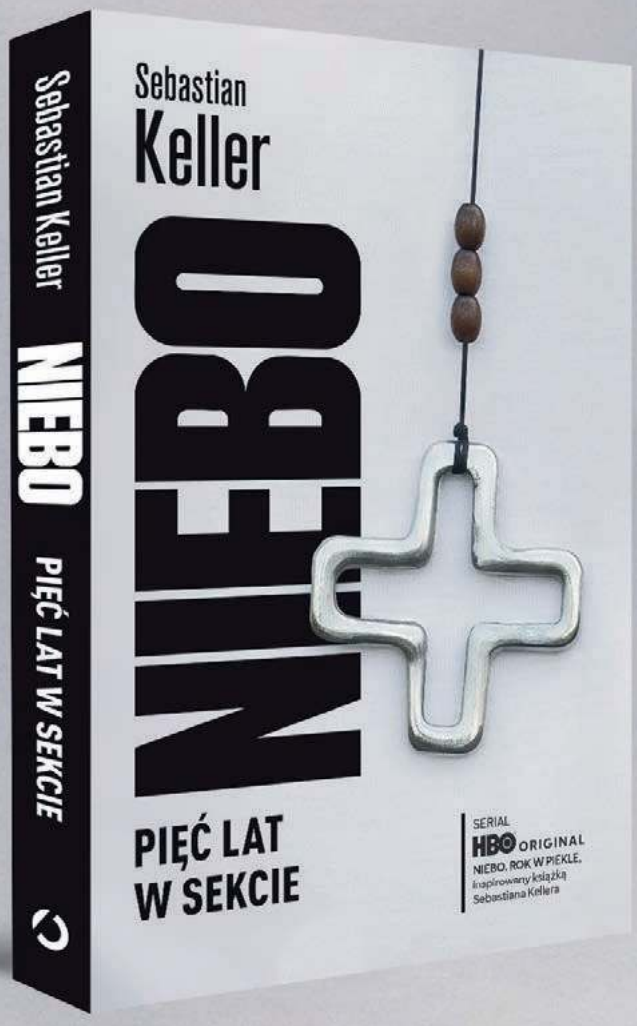

Sebastian Keller dołączył do sekty Niebo, wierząc, że znajdzie w niej uzdrowienie, spokój i sens życia. W zborze stopniowo tracił własną tożsamość. Charyzmatyczny guru Bogdan Kacmajor nadawał mu kolejne imiona: Zawsze, Zawsze Pana, Wulkanizacja Przestrzeni Kosmicznej, Windą Do Nieba, Ekstra Mocne. Odizolował go od rodziny i przyjaciół, narzucił restrykcyjne zasady życia. W zamian za bezwzględne posłuszeństwo obiecywał ulgę w cierpieniu, bogactwo, a nawet... wskrzeszanie zmarłych.

Brutalnie szczera opowieść Sebastiana Kellera nie kończy się w chwili jego ucieczki z sekty. Autor opisuje traumę, która odcisnęła piętno na całym jego życiu, i trwającą latami walkę o siebie. Jego historia stała się inspiracją dla twórców serialu *Niebo. Rok w piekle*, dostępnego na platformie HBO Max.

Niniejsza książka to nowe wydanie wspomnień Sebastiana Kellera – uzupełnione o refleksje i fakty, które okazały się ważne dla rzetelnej oceny wydarzeń sprzed lat, oraz przedmowę doktor Agnieszki Bukowskiej, socjolożki i badaczki sekt.

HISTORIA TA NIE JEST ANI PRZYJEMNA, ANI ŁATWO PRZYSWAJALNA, ale zgłębianie jej może dać – w jakimś dziwnym sensie – szansę dowiedzenia się czegoś więcej o człowieku, o jego mrocznych stronach i potrzebach. Niesamowite jest to, że wchodząc do Nieba, przekracza się próg piekła. Praca nad serialem *Niebo. Rok w piekle* inspirowanym książką Sebastiana Kellera była niezwykłym wyzwaniem. Zbliżyłem się do świata, który był mi kompletnie obcy.

TOMASZ KOT, aktor

OTWARTE

REKLAMA

HISTORIA POLSKI NA NOWO OPOWIEDZIANA

WIELKI POWRÓT "WŁADCÓW POLSKI"

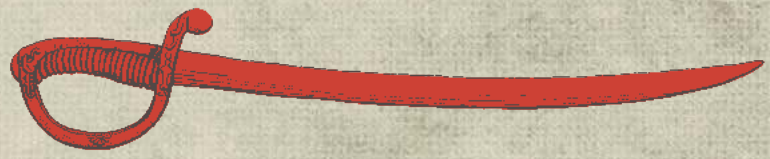

Mirosław Maciorowski w rozmowach z wybitnymi historykami i historyczkami na nowo opowiada dzieje polskich powstań – od walk o niepodległość po opór wobec komunizmu. Zderza perspektywy, obala mity i pokazuje, jak historia zrywów narodowych kształtuje nasze myślenie o wolności, wspólnocie i patriotyzmie.

Pomysł na tę książkę jest prosty i genialny: Maciorowski pyta, historycy odpowiadają. Kluczem do sukcesu jest to, że on wie, o co pytać, a oni świetnie znają polskie dzieje. Dzięki temu dostajemy historię Polski żywą, erudycyjną, opartą na najnowszych badaniach, napisaną z polotem, zaskakującą aktualnością. To lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy chcą zrozumieć polskie losy. Można ją śmiało postawić na półce obok dzieł Pawła Jasienicy i Normana Daviesa.

CEZARY ŁAZAREWICZ,
reportażysta, pisarz, laureat Nagrody Nike w 2017 roku

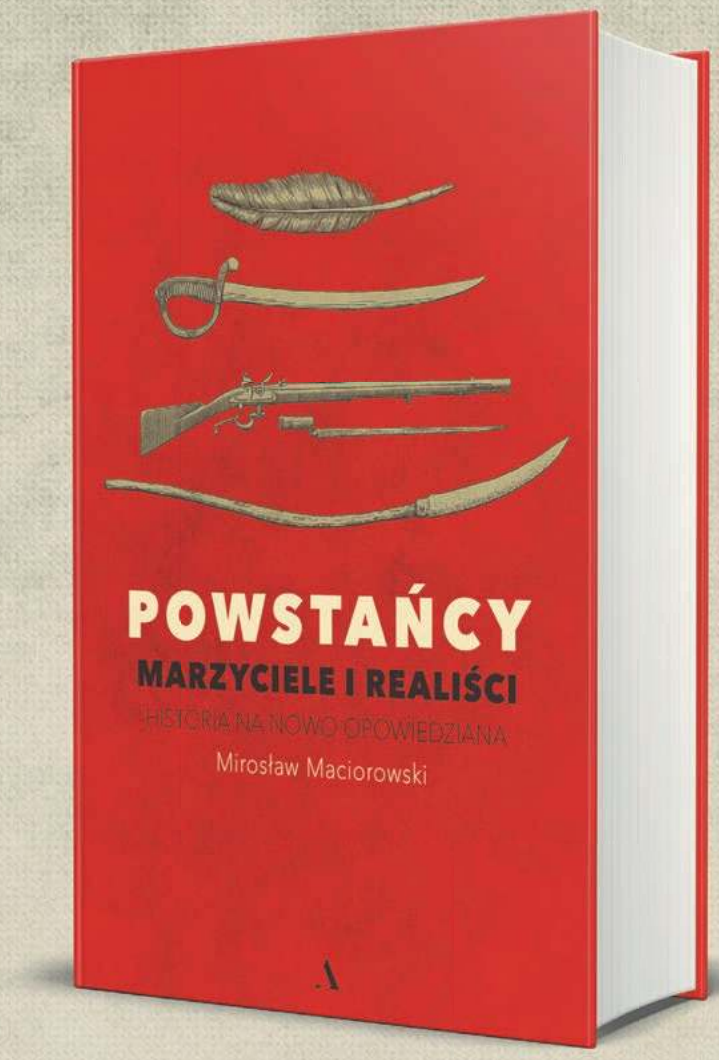

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora